

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Marek Nowakowski

Książę Nocy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

KSIĄŻĘ NOCY

Nasz świat był mały, a wydawał się olbrzymi. Codziennie kolejka EKD wozila nas z dalekiego przedmieścia przez pola i niską drewnianą zabudowę do centrum miasta. Uciekaliśmy z naszych domów, od narzekania rodziców, szkolnych obowiązków, spokoju i niezmiennego ładu naszej zasiedziałej od pokoleń dzielnicy, gdzie na szambiarza wołano „złociarz” i to przewisko niczym sztafetowa pałeczkę przekazywali starsi chłopcy młodszym. Uciekaliśmy od tego głosu: „Handlarz, kupuje starzyznę, stare ubrania”, lub „Blacharz, lutuje, reperuje stare garnki”, a oczy nie chciały już patrzeć na ciągle ten sam widok przed oknem. I wydawało się nam, że naprawdę uciec można. Nieraz pozbawiony butów, ubrania albo zamknięty w mieszkaniu przez matkę, przymykałem oczy i różne niesłychane światy się otwierały. Rośnący stukot kół na szynach budził wyobraźnię do działania. Na tej naszej trasie stosunki pa nowały familijne, znaleźliśmy konduktorów i oni nas znali, nieraz też pozwalali jechać na gapę. Mijaliśmy Wiktoryn, piekarnię Rappa, krzyż przy drodze i szczęśliwickie glinianki. I tak po dwudziestu minutach docieraliśmy do centrum miasta.

Centrum miasta to były nieliczne ocalałe kamienice, sterczące wśród ruin i ceglanych wysypisk. Tramwaje i dorożki, zdobny w secesyjne płaskorzeźby stary hotel, bazary i budy, gdzie kipiało handlowe życie, sklepy, warsztaty, knajpki. Tu w śródmieściu wydawało się nam, że dotarliśmy do rdzenia wielkiego świata. I od przystanku naszej niebiesko – żółtej kolejki deptaliśmy te ulice niezmordowanie, nieustannie na coś licząc, nieustannie czegoś się spodziewając. Najlepszą porą była noc. Osłaniała wszystko gęstniejącą ciemnością, latarni jeszcze wtedy było mało i każda brama, każde wysypisko gruzów ogromniało, potęgując ten podniosły nastrój tajemnicy. Krzyki, szepty i charkoty dochodziły z ruin, a my, dygocąc z przejęcia, wyobrażaliśmy sobie dramaty pełne grozy i patosu. Taką nocną porą zatrzymał nas Książę Nocy.

– Moja stajnia jest zagrożona – oświadczył wzburzony. Zbyszek Młotek i ja byliśmy gotowi na każde jego skinienie. Książę Nocy nos miał krogulczy, szpakowatą szopę włosów i nosił niezwykle wzorzyste apaszki. W rozmowie używał gęsto obcych słów i znane mu były stosunki panujące w wielu więzieniach Europy. Już na oko jak pstry ptak wyglądał. Ci młodzi milicjanci, co to prosto ze wsi do pilnowania porządku w mieście przyszli, patrzyli na niego w niemym zagapieniu. Taka jedna starucha postrzelona, która wysiadywała w „Kopciuszku”, ciągle nim zadziwiona: – Gdzie taki kwiat mógł wyrosnąć? – Więc był inny. To nam właściwie wystarczało.

Niedawno Książę Nocy pokazał nam swoją stajnię. Kroczyły te dziewczyny majestatycznie, dostojnie. Pierwsza ta chuda, wysoka, Hanka Żyletka. Nieco z tyłu szła Ita o pięknych włosach. Książę Nocy uśmiechnął się wtedy diabelsko. Znaleźliśmy te jego uśmiechy. Swoisty szyfr. Ten znaczył radość pogromcy.

– Puszczam je w miasto... – buchnął nam w oczy kłębem dymu z cygara, które wytrzasnął nie wiadomo skąd. – A rano... – przeciągał słowa – będę liczył kasę.

Piliśmy jak miód te słowa. Wszystko, co powiedział, wiele znaczyło dla nas. Zbyszek Młotek i ja. Młodzi, niespełna szesnastoletni chłopcy, co uganiali się szukając Bóg wie czego.

– Gniece – powiedział murarz Piątek z naszego przedmieścia. – Cięgiem gniece. – I ręką zataczał krąg szeroki. Zawsze tak mówił, kiedy był trzeźwy. Wypiwszy sobie radował się i wrzeszczał: – Kira bella, beliissima!

Przypomniałem sobie nieraz to jego „gnicie”, przypisując temu wielorakie znaczenia.

Zbyszek Młotek miał zrosnięte żebra i twierdził, że przyjmuje każdy cios. A ja nie miałem nic. Chudy szczeniak o sterczących niesfornie włosach, bić też nie umiałem się za dobrze. I

tak bardzo pragnąłem, żeby coś się stało! Tak jak kiedyś mierzyłem się niecierpliwie na framudze drzwi pragnąc przerosnąć ojca, który był niskiego wzrostu. Już dużo przeżyłem rozczarowań, wdzierając się w głąb śródmieścia. Mimo to ciągle na coś liczyłem. Obaj więc ze Zbyszkim Młotkiem uznaliśmy zgodnie dotychczasowe nasze życie za płaskie i nieciekawe.

Toteż jak trafił się nam ten Książę Nocy, od razu wszystko zawirowało jak karuzela. Wdzięczni byliśmy Księżciu Nocy i mógł na nas zawsze liczyć.

A wdzięczni mu byliśmy przede wszystkim za to, że nas właśnie wybrał. Tylu chłopaków przecież włóczyło się po śródmieściu i wystawało na pikiecie pod zegarem. Każdy z nich był tak samo niecierpliwym i spragnionym. Mógł Książę Nocy wybierać wśród niemałej gromady i każdy by za nim poszedł. Taki Heniek Bankier, Lechu Papuga albo Rysiek Tabaczka. Inni jeszcze. Różne oni wymyślali zabawy i ciągle czegoś było im brak. Zbierali watahy do walki z Pragę, wyznaczali pole bitwy przy pomniku koło cerkwi i potem rozgrywała się zawzięta, krwawa walka z tek samo niecierpliwymi i na wszystko gotowymi chłopakami z Pragi.

Czy choćby Tońko z Grochowa lub Edek, co tak pięknie pluł. Z tego pieprzonego czekania, że złości na to przeciekanie dni nauczył się tak świetnie pluć. Chodziliśmy nieraz z Edkiem, a on wypatrywał sobie jakieś ofiary, najczęściej była to para zakochanych, i idąc za nimi pokrywał ich płaszcze gęstwą plwociny, celnej, nieomyślnej, gdzie chciałeś, mógł trafić, w sam czubek czapki, kołnierz, mankiet rękawa czy nogawkę przy bucie. I tak pluł ten Edek z zawziętą miną. I nigdy się nie uśmiechał. Czasem tę zabawę z nudów nasycił większym hazardem. Opluwał milicjantów i wtedy rzeczywiście emocja była znacznie większa. Nieraz uciekaliśmy i goniły nas groźne okrzyki „Stój!” lub przeraźliwe gwizdki. Edek z powodu tego plucia bardzo był popularny zarówno u nas pod zegarem, jak też na Pradze przy ruskim kościele. Raz, schwytany przez rozjuszonego kolejarza, tłumaczył się ze zboląłą miną, że jest po prostu gruźlikiem.

– Wypluwam płuca – mówił bezczelnie.

Kolejarz z zaskoczenia popuścił nieco swojej łapy na jego kołnierz. Wtedy Edek uciekł.

A Tońko z Grochowa z pedałami wymyślał hece. Był taki łysy, obrzękły, co prowadził Fotoplastikon. Tońko, śniady chłopak o migdałowych oczach, na niego właśnie zagiął parol. Przedtem założył się z nimi.

– Rozpracuję go – oświadczył.

Podał dokładny termin. Skutkiem tego rozpracowania miała być forsa. Podchodził więc pod kasę w tym Fotoplastikonie i wlepił te swoje gały migdałowe w obrzękłego pedała. Pedał wiercił się i sapał. Zapraszać zaczął gościnnie do wnętrza. Pokazywał specjalnie dla niego najlepsze programy. Takie jak: *Wycieczka na Hawaje, Nowy Jork – miasto gigant, Łowcy głów na Borneo czy Bali Wyspa tancerki*. A kiedy dłużej już wytrzymać nie mógł, zaczął się ocierać o Tońka i jak kot zamykać oczy. Tońko mężnie znosił te obrzydliwości. Ale kiedy pedał sięgnął do rozporka, powiedział: Stop! Udręczony pedał pieniędzmi sypnął. I tak miał Tońko forszę na kino. A pięknych filmów cała seria szła. *Mściwy Jastrząb, Bohaterki Pacyfiku, Pięciu zuchów*. I ten odkrywany dopiero przez nas rodzaj powieści w obrazach, pełen dramatyzmu i efektów akustycznych, bardzo wciągał. Na pikiecie przez pewien czas wielu chłopców miało przezwiska z filmów właśnie. Co sprytniejsi zresztą stawali się konikami, czyli handlarzami biletów, pod kinem „Atlantic”. Zbyszek Młotek też chciał się tam dostać. Ale go przepędzili. Ich szef, taki starszy, przezwiskiem Sztajer, nawet go uderzył.

Tak więc Tońko nawet od tych koników mógł bilety sobie kupować i nas czasem zapraszał. A wstępu do rozporka bronił nieugięcie. Opowiadał ze szczegółami te seanse z pedalem. Tamten dwoił się i troił, żeby dotrzeć do sedna. Wódką go poił, nawet taką mieszaną piorunującą wykombinował, gdzie razem spirytus, likier i wino. Tońko, choć rzygnął, jednak czujności nie stracił i uciekł. Mieliśmy niezłą zabawę, kiedy Tońko tym swoim śpiewnym głosem z lwowskim akcentem, pomagając sobie wyrazistą gestykulacją, to zdarzenie odtwarzał. Miał Tońko głębokie przekonanie o wielkich pieniądzach, które może z powodu swej ładnej twarzy

uzyskać. Wystawał też nieraz pod tym sklepem jubilerskim, gdzie taka tłusta baba za kontu-
arem urzędowała. Liczył na nią, bo różnie o niej mówili. Nawet spróbował ją zaczepić, a że
mu się śpieszyło, powiedział wprost, na co liczy. Dostał w twarz od tej grubej baby i my się
śmieliśmy. Potem wspólnie wykonaliśmy zemstę. Tuż przed opuszczeniem żaluzji na okna
szybę kamulcem wybiliśmy. Był krzyk i tupot uciekaliśmy przez podwórka, przechodnie
bramy i płoty. Schowaliśmy się w szopie za kościołem Świętej Barbary. Przebiegli koło szo-
py, ale nas nie odkryli.

Jednak w tym swoim łażeniu po śródmieściu szczęścia nie miałem i wcale na orłów jesz-
cze się nie natknąłem. Raczej wątle ptaszki. I sprawy jałowe. Nie takie, o jakich marzyłem.
Tak wystawałem wśród chłopaków na pikiecie, słuchałem ich czczych przechwałek i wcale
słuchać mi się nie chciało. Doskonale wiedziałem, że oni tak samo jak ja przeważnie się roz-
glądają i tego nieoczekiwanego wypatrują. Choć był taki jeden... Drut go nazywali. Albo Stu-
dent. To drugie znaczyło, że mądry, cwany i trochę jakby obcy. Bo zawsze tak jakoś spoglą-
dał z dystansu. W nim była bezwzględność. Jak strasznie tak jakoś kopał tego chłopaka z bry-
gady, co bikiniarzom plerezy, czyli te długie fryzury, ścinała. Zajadle, bezlitośnie. Buty
miętko wchodziły w ciało leżącego.

– Trzeba go odzwyczaić – powiedział Drut swoim cichym, grzecznym głosem.

A wszyscy z pikiety patrzyli w milczeniu. I tylko co uderzenie buta, to niektórzy drżeli
lekko.

Drut znikł potem z pikiety. Mówili, że zaczął duże numery na Wybrzeżu. Nie dziwiłem się
temu. Twarz miał taką nieruchomą i te okulary tak spokojnie przed bójką zdejmował. Zazdro-
ściłem Drutowi. Ale kiedy próbowałem czegoś podobnego, nie wychodziło mi wcale.

Nosiłem w tym czasie andersowski beret ze wstążeczką i bluzę typu battle – dress, którą
dostałem od szwagra. Paradowałem w tym stroju, nadrabiałem miną i udawałem nie byle ja-
kiego bywalca. Szanowali mnie chłopcy, a niektórzy zazdrościli. Zmierzyć się więc musiałem
z Kazikiem Gierojem. Gieroj najlepiej się bił ze wszystkich chłopaków pod zegarem. Nato-
miast ja bić się raczej nie umiałem, ale nie wycofałem się z tego pojedynku. Stanęliśmy na-
przeciw sobie w trzecim podwórku kamienicy z kariatydami. Tak to się zaczęło. A Zbyszek
Młotek był sędzią. Nie bałem się wcale, powtarzam. I tak obojętnie, opuściwszy ręce, czeka-
łem. Gieroj, pięściarz zawołany, spieszył się nieco tą moją nonszalancją. Ten beret, ta bluza,
miny cyniczne i chód rozkołysany, to jednak ciągle działało. Długo tak staliśmy. Wreszcie
Gieroj ruszył do przodu. Dalej czekałem z opuszczonymi rękoma. Wtedy zaatakował. Przy-
padkiem udało mi się uniknąć ciosu i ja cios zadałem. Tym ciosem rozgrzał się Gieroj i jak
taran ruszył do ataku. Obrywać zacząłem solidnie i wcale bronić się nie umiałem. Upadłem.
Zbyszek Młotek jak na prawdziwym meczu bokserskim liczyć już zaczął. Szybko jednak po-
derwałem się z ziemi i znowu natarłem na Gieroję, waląc na oślep i obrywając bolesne razy.
Kolejny cios spowodował, że wszystko zawirowało mi przed oczyma i zatoczyłem się na mur.
Ciągle wszystko mi wirowało i ręce miałem ciężkie, jak ołowiane, nawet osłaniać się nie mo-
głem. Gieroj po rycersku zaprzestał ataku. Zbyszek młotek, unikając mojego spojrzenia, uznał
jego zwycięstwo. Podaliśmy sobie ręce. Nigdy jednak Kazik Gieroj nie wyśmiewał się ze
mnie i później nawet fachowych ciosów i uników uczył mnie z bezinteresownego koleżeń-
stwa. Nie zapomnę tego Gierojowi, który najlepiej bił się ze wszystkich chłopaków pod zega-
rem. A uderzenie głową, z którego nieraz skutecznie korzystałem, to właśnie jego nauka.

Ale właściwie odbywając ten termin na śródmieściu ciągle jednak byłem w gorzkim nie-
spełnieniu. Dużo więcej sobie obiecywałem. Jeszcze jako dzieciak. Powód być może w dłu-
gotrwalej chorobie, która zmusiła mnie do inwencji w wypełnianiu pustego łóżkowego czasu.
Wycinałem z papieru łodzie wikingów i Waregów, płynąłem z nimi rzekami i morzami, od-
krywałem nieznanne lądy i walczyłem z żywiołem, kolejno wcielałem się w Olafa Trygvasona
i Haralda Widłobrodego, kochałem się w pięknej Gudrun i wraz z drużyną króla Rogera zdo-
bywałem Sycylię. Nieobce też mi były przygody konkwistadorów w Peru czy Meksyku, czę-

sto bywałem Atahualpą broniącym świętego miasta Cuzco, a niepomysłne wiatry dla hiszpańskiej armady przeżywałem równie silnie jak bohaterowie tamtych czasów. Później, zagłębiwszy się w lektury książek podróżników, przemierzałem dżungle nad Amazonką, Kongiem i Zambezi, brałem udział w wyprawie Stanleya i byłem Edmundem Strzeleckim w Australii. Pędziłem też na dromaderze przez pustynie u stóp gór Hoggaru, walczyłem z Tuaregami i saharyjskim hamsinem. A jeszcze później, odkrywając starą historię średniowiecznej Europy Karola Seignobosa, wziąłem udział w wyprawach krzyżowych i najazdach Normanów na Anglię. Z tak oto rozbudzona wyobraźnią, która wzbogaciła się rzeczywistymi zdarzeniami z wojny i niespokojnego czasu tuż po wojnie, równocześnie zafascynowany ostatnio przeczytaną książką Sergiusza Piaseckiego *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, ruszyłem naszą niebiesko – żółtą kolejką EKD, gdzie konduktorzy nosili jeszcze okrągłe czapki z lakierowanymi daszkami w kształcie francuskich kepi. Ruszyłem do śródmieścia na poszukiwanie Złotego Runa. Tak oto zanurzyłem się w ten macecznik gruzów, ruin i piwnicznych zakamarków w nielicznych ocalałych kamienicach. Ale ciągle niestety dwa rozgrywały się światy. Ten, co w głowie swojej szczeniackiej dźwigałem, i ten drugi, który był wokół. Ciągle więc jeszcze miałem w zanadru ten zarząd dzielnicowy ZMP, gdzie traktowano mnie z uznaniem jako gorliwego instruktora wydziału szkolno – harcerskiego i zawsze z ochotą proponowano pogadanki i odczyty w jakiejś szkole czy hotelu robotniczym. Jednak i to coraz mniej już mi odpowiadało. Zaciekle złość czaiła się z tego powodu w e mnie. Kiedy Edek powiedział o tym ślepcu, co grzebienie sprzedaje, że forsya ma on jak lodu i trzeba iść za nim aż do celu, to znaczy w drzwiach tej sutereny, gdzie mieszka, cegłą go stuknąć czy czymś równie twardym, prawie jak Sergiusz Piasecki przed wyprawą przemytniczą się poczułem i nie mając żadnego wyboru, na pomysł Edka, co tak pięknie pluł, zgodziłem się bez wahania. Kilka dni więc snuliśmy się za tym ślepym sprzedawcą grzebieni. Czujnie wypijaliśmy wzrok w pieniądze, które wrzucał do sakiewki przytroczonej do pasa. Towarzyszyliśmy mu nawet do bramy, gdzie siakał. Wystawaliśmy pod barem „Współczesnym”, gdzie zjadał bigos i wypijał swoją szklanecką wódkę. Nasze oczy błyszczały wilczo i zaciskaliśmy niecierpliwie pięści. Aż zapadł wreszcie ten wieczór. Ślepiec zaczął powoli zbierać do skrzynki swój przenośny kram i szykował się do powrotu do domu. Stałem blisko i dokładnie widziałem tę bladą, pomarszczoną twarz i nieruchome, martwe oczy. Wtedy wahać się zacząłem i pograżony w tym wahaniu wcale nie czułem, jak Edek szarpie mnie za ramię. W kieszeni zaciskałem dłoń na metalowym pręcie, który był przeznaczony do ogłuszenia handlarza. Naraz moje palce rozluźniły ucisk na gorącym, śliskim metalu. Osaczało coraz więcej wątpliwości. Ograbiony starzec. Krew płynąca z jego rozbitej głowy. Taka miała to być przygoda. Ten nasz zamiar już tylko wstrętny, odpychający. I w miarę jak za ślepcem zbliżaliśmy się do tej piwnicy w ocalałym strzępie wielopiętrowej kamienicy z powykrzywianymi jak połamane ramiona szynami po balkonach, sterczącej samotnie wśród wysypiska cegieł – chęć działania słabła i wstyd, upokorzenia zaczęły brać górę. Ten ponury pejzaż powojenny też jakoś dziwnie przygnębiająco nastrojał. Marzenie o czynach pełnych rozmachu i brawury, przygody barwne i niezwykle – jak szyderstwo w zestawieniu z tą wypaloną postacią i brudnym, oberwanym ślepcem, który monotonna postukiwał białą laską.

– Nie mogę – wyszeptalem do Edka.

On spojrzal na mnie i zatrzymal sie raptownie. Tez w oczach mial zwatpienie, niepewnosc. Ale nadrabial miną i powiedzial pogardliwie: – Tchórzysz, tak?

Wtedy zaczalem bełkotać jak w goracze: – To ma być to! To! To! – A Edek cofnal się zdumiony moją gwałtownością.

I tak oto pozwoliliśmy temu, co „grzebienie, grzebienie!” wołał, zejść spokojnie po schodkach w dół i otworzyć drzwi sutereny.

Dopiero Książę Nocy właśnie nauczył mnie nie przywiązywać znaczenia do rzeczywistych wydarzeń, a najbardziej nijakim, szarym i bezsensownym przydawać fantazją krasę i czar

niezwykły. Te czary dopiero pod jego wpływem sugestywnym działać zaczęły i otworzyły przede mną upragnione bramy. Na razie jednak przybywał goryczy, bo ciągle brak było nawet mglistych konturów tego niezwykłego. I pełno było na pikiecie chłopaków tak samo zajadłych, niecierpliwych, i tak wszyscy miotaliśmy się po omacku. Często ze Zbyszkim Młotkiem wybieraliśmy się na Dworzec Główny. Bieganina, głosy z megafonu, świst parowozów i kłęby pary. Było to okno w daleki świat i nieraz, wykorzystując nieuważę bileterów, wymykaliśmy się na peron. Patrzyliśmy w dalekie światła i wsłuchiwaaliśmy się w rosnącą wibrację szyn. Wkrótce znaleźliśmy dokładnie rozkład jazdy pociągów międzynarodowych i te ogromne odległości, które one pokonywały, zadziwiały nas najbardziej.

– Moskwa – Berlin! – obwieszczał nieomylnie Zbyszek Młotek i tylko kiwał głową, spoglądając na wynurzające się z hukiem cielska wagonów z obcojęzycznymi napisami. Tem na dworcu pojawiali się rozmaici ludzie. Zarośnięci włóczędzy z tłumokami na plecach polegający na ławach i pogadujący niemrawo. Łowcy wiejskich dziewczuch zagubionych w wielkim mieście. Oryginałowie cierpiący na bezsenność. Złodzieje o rozlatanych oczach i łatwe kobiety.

Tam też snuł się rudy oberwaniec, zbierający wśród podróźnych pieniądze w blaszaną puszkę zawieszoną na szyi. Raz zobaczyliśmy go, jak nagle, powodowany jakąś tajemniczą siłą, tańczyć zaczął i wykręcać się w karkołomnych pozach. Wreszcie upadł, tocząc ślinę z ust i waląc zajadle głową kamienną posadzkę. Ktoś wetknął mu klucz w zęby. Wyprężył się i znieruchomiał. Później przybiegli pielęgniarze w białych fartuchach z noszami. Czytałem gdzieś, że dawniej uważano epilepsję za świętą chorobę. W tym jego tańcu naprawdę było coś nadprzyrodzonego. Nawet Zbyszek Młotek, niełatwo ulegający takim zastanowieniom, powtarzał: – Kurza jego twarz, co za numer kozacki! – I dziwił się, jak głowa może wytrzymać takie uderzenia o kamienną posadzkę.

Wracając z dworca włóczyliśmy się jeszcze długo, przypatrywaliśmy się nocnym pracom w mieście. Tramwajarze zmieniający szyny, oślepiające ognie acetylenowych palników. Kanalarze w długich, zawiniętych nad kolanami butach, którzy unosili ciężkie pokrywy, odkrywając wejścia do cuchnących bebeczów miasta. Znikali tam pod ziemią, czasem dobiegały na górę ich ochryple przekleństwa.

Zobaczyliśmy pewnego razu, jak kanalarze zwabili do siebie pod brezentowy namiot zakrywający wejście do kanału pijaną dziewczynę. Ostrożnie podsunęliśmy się bliżej i obserwowaliśmy tę scenę. Tam pod brezentem świeciła się lampka, a oni poili ją winem. Potem kolejno kładli się na niej w tych długich, ohydnie ubłoconych kanałową mazią butach. Dziewczyna stękała, piszczała, wzdychała, wreszcie zupełnie zacichła. Odeszliśmy stamtąd i długo nic nie mówiliśmy do siebie.

Wreszcie to ciężkie milczenie przerwał Zbyszek Młotek.

– Dobrze jej tak – powiedział zajadle.

A ja zacząłem lżyć ją wymyślnymi słowami. Wtedy spędziliśmy pierwszą noc poza domem, kuląc się z zimna na kamiennych ławach naszej poczekalni EKD i obserwując starą, skretyniałą prostytutkę, która obnażała swoje zniszczone ciało i bełkotała zachęcająco do co młodszych mężczyzn.

Nasze sprawy z dziewczynami też były ciemne i zagmatwane. Nagości podpatrywane w kiblach i krzakach. Połączenie dwóch ciał w zawziętym, pogmatwanym zwarcium. Później kłębiło się to uparcie w głowie i ciemną udrekę jeszcze bardziej potęgowało. Na naszym dalekim przedmieściu nieraz chodziliśmy z Jankiem Piechur z Bud na carskiej forty podglądać tam parzące się pary. Pełzaliśmy w trawie, otaczając upatrzoną zdobycz. Długo syciliśmy się widokiem tej splecionej i podrygującej nagości.

Janek Piechur z Bud podrywał się nagle i zapytywał: – A placowe skurwysynu, płaciłeś?

Tak z jakąś zawziętością, pełną chęci i nienawiści zarazem, wciągaliśmy się w sprawy mężczyzn z kobietami. Miałem w tym czasie już swój ideał podniosły. Była nim Danka, sen-

na i blada dziewczyna z vis a` vis. Fascynacja ta miała charakter skryty, marzycielski i ani razu do tej Danki się nie odezwałem, tylko serce bolało, kiedy tak szła żwirowa drogą, obejmując swego chłopaka. Później, już w śródmieściu, odbywaliśmy pierwsze zbliżenia w gruzach lub w krzakach nad Wisłą. Były to rozkosze śpieszne, byle jakie, i te kobiety ciągle właśnie dla nas niedostępne dalekie.

A więc wciąż jeszcze byliśmy nieśmiali. Zbyszek Młotek z tej nieśmiałości chodził i rozganiał dziewczyny. Nie wiedział po prostu, jak gadać z nimi. Najchętniej więc wołał: – Te, lalunia! – Oglądały się, Zbyszek Młotek uśmiechał się głupawo i powiadał: – Ja nie do ciebie, tylko do kunia!

Toteż kiedy ta ładna dziewczyna z rozciętą do połowy uda spódnicą zaczęła gładzić mnie po włosach i spoglądać powłóczyście, zupełnie nie wiedziałem, co robić. Wreszcie odepchnąłem ją i odszedłem śpiesznie.

Starsi chłopcy, dzollerzy, ci co chodzili na fajfy do „Bristolu”, uwielbiali śpiew Dżonsonki i Elisabeth Charles, palili Camele, a niektórzy z nich nosili nawet prawdziwe amerykańskie ciuchy z metkami w angielskim języku, więc ci starsi chłopcy patrzyli na nas z góry. „Gnojki” o nas mówili.

Niemalą satysfakcję miał Zbyszek Młotek, który za to obraźliwe słowo walnął w szczękę jednego z nich, takiego eleganta wymuskanego i beczelnego, a tamten padł jak ścięty. Wtedy dziewczyny patrzyły na Zbyszka Młotka z uznaniem.

Tońko wciąż uprawiał zabawy z pedałami. Sam im się nadstawiał, opanował biegle wachlarz min i gestów. I coraz jakiś na nim szedł smętnie. Nam też to polecał. Polowali oni na nas przecież, głodnych życia, spragnionych i nieobytych.

– Dobrze stoimy na tej giełdzie – chichotał Tońko.

Rzykanci z tych pedatów poniekąd, bo nieraz w łeb dostawali i portfel czy zegarek musieli oddać. Właśnie Tońko w tym się zaczął specjalizować.

Mówił: – On mi łapę tam! A ja go za portfel cap! I patrzę mu w ślepie. No to jak będzie z nami, pytam. Albo inaczej: on mi łapę tam, a ja mu prawiczka podgrywam. Wrzeszczę, w michę go raz za razem walę i za zegarek czy sygnet przy okazji... Oni przeważnie strasznie nadziani.

Słuchaliśmy go chętnie, choć głośno wyrażaliśmy sprzeciw. Szczególnie jak Tońko o tej łatwej przyjemności mówił.

– Co tracisz? – zapytywał. – Nic. A jednak lżej się czujesz.

Też myślałem o tym nieraz.

I pamiętam takiego nachalnego ze złamanym nosem, w skórzanej czapeczce, który to mi zaproponował. W „grzybku” to się zdarzyło, czyli w takim miejscu, gdzie sikać się chodziło, na placu Trzech Krzyży w kępie krzewów. Szczyrzył zęby i patrzył śmiało w oczy. Poszliśmy Książęcą w dół, na to śmietnisko wśród gruzów. I pozwoliłem mu sięgnąć do rozporoka. Dziwnie, wstyd, strach i rozkosz jednak. On wlepiony tą swoją gębą plugawą w moje krocze. A ja patrzyłem w niebo i wyobrażałem sobie wspaniałe kobiety, które na mnie czekają.

Jaki kac potem, ta jego wstrętna, beczelna gęba, to co mu dałem robić ze sobą tam w rozporoku, te pordzewiałe blachy, połamane ramy okienne, puszkki po konserwach i nadpalone papiery, w których się tarzaliśmy, i to moje wspaniałych kobiet wyobrażenie. Znowu przybyło mi zawziętej goryczy w kącikach ust. Laryngologa z dzieciństwa sobie przypomniałem. Był to lekarz w ośrodku zdrowia i udałem się do niego z powodu bólu gardła. Mały, łysawy i pachnący jakąś mdłą wodą kolońską. Kazał mi mówić „Aaaa”, wpychał łyżkę głęboko do przełyku.

– No tak – powiedział i zaczął wypisywać receptę.

– Czy całujesz się z dziewczynami? – zwrócił się naraz z pytaniem.

Nie spodziewałem się takiego pytania i zmieszalem się bardzo. Nie całowałem się jeszcze z dziewczynami, ale wykonałem gest głową jakby potwierdzający.

Laryngolog skrzywił się z obrzydzeniem. Wstał od stołu.

– Póki jeszcze możesz, to tego unikaj – powiedział. – One są takie brudne, zębów nie myją, pełno zarazków tam w gębie i z tego rozmaite zakażenia, zapalenia wynikają...

Stworzył ponurą wizję tych chorób z powodu pocałunków z dziewczynami. Podeszedł do mnie i pogładził mnie po plecach. Dłoń zsunęła się niżej. Dotarła do pasa. Jakby się ocknął, poprawił okulary i wrócił do stołu.

– Nic poważnego na razie. Masz receptę – zakończył oficjalnym tonem.

Teraz wiedziałem. Był to na pewno pedał. Z mściwą zaciekłością wyobraziłem sobie, jak masakruję go obcasami, a on skowyczy obrzydliwie. Na twarzy tego laryngologa nałożyła się twarz faceta w skórzanej czapeczce. Ich dwóch masakrowałem bez litości. Czasami taka żalność mnie brała nad sobą. Najchętniej bym płakał. Jakbym przeczuwał, że przemienie mój czas i nic się nie stanie. Oprócz tych miałkich, brudnych przypadków. A wrócić z powrotem w świat książek już nie mogłem. Przyszły po prostu lata włóczęgi i doświadczeń. Wtedy to prześladowała mnie bezsensowna śpiewka z książki jakiegoś rosyjskiego pisarza: „Przyjdą złości, namiętności i połamią tobie kości”. Posępna wróżba, znaczyć to mogło, że lata doświadczeń zniszczą, zamęczą i jałowe zmęczenie tylko pozostanie.

– Zgnoją – powtarzałem z upodobaniem.

Wtedy to słowo było coraz częściej używane. Zbyszek Młotek, choć ciężki w myśleniu, przecież i po ziemi mocno stapał, najlepiej te nasze rozterki z tamtych lat mimochodem wyraził. Staliśmy już długi czas przy dworcu pod zegarem i nic się nie działo. Niewesołe myśli o domu i rodzicach pętały się na domiar złego po głowie. Nie wracałem już piąty dzień, sypiałem na dworcu i ojciec szukał mnie wszędzie. Zbyszek Młotek znów wycisk potężny od ostatniego kochanka swojej matki dostał i najgorzej gryzł go fakt, że nie mógł dać rady tamtemu. Przychodziły znajome dziewczyny z rozciętymi według mody spódnicami. Paru chłopaków, podrygując w takt jazzu, stało naprzeciw, w bramie prowadzącej do Fotoplastikonu. Zmalały i marny wydawał się nam nagle ten świat śródmieścia.

– Czasem – odezwał się Zbyszek młotek – tak bym chciał pójść z oczami... Gdzieś daleko, cholera wie gdzie...

Roilo się wtedy od takich jak my chłopaków. Wystawali gdzie bądź i nie wiadomo, na co czekali.

A Książę Nocy nas właśnie sobie wypatrzył.

Już o nim słyszeliśmy niemało. Że jest taki. Taki jakiś. Wszyscy o nim mówili. Czasami się tą naszą trasą przechadza. Żyje, jak chce, i nikt go nie da rady przydusić. Coś kombinuje. Kiedy zamknięty w sobie, nie dochodzi do niego. Nagle wesoły, dorożką sobie jeździ, do każdego się śmieje. Dziewczyny do niego lgną. Świat zna jak własną kieszeń. Ale dotąd go jeszcze nie widziałem. Bywał przecież w takich lokalach, gdzie nas nie wpuszczano. Rozległe ma znajomości. Zna przeróżnych takich, co forsy mają jak lodu. Ale powiadano: on czasem wychodzi na szlak. Rozmaitych ludzi lubi poznawać. I tych na dole, i tych na górze. A ten nasz szlak śródmiejski korsesem nazywa. I nigdy nie wiadomo, co mu po głowie chodzi... Nieoczekiwane ma kaprysy...

Więc z Księciem Nocy to zaczęło się tak. Akurat sterczałem na pikiecie pod Pedalem (tak ten Fotoplastikon ze względu na właściciela ochrzciliśmy) i próbował dorwać mnie taki stary, wytorny, w złotych okularach. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Nie przyszły nasze panie... – zaczął. – Czekamy, czekamy, a one najzwyczajniej w świecie nawaliły... Albo innych wybrały...

Na nikogo nie czekałem, ale przytaknąłem. Byłem ciekawy. Co z tego wyniknie.

– To beztrioskie okrucieństwo kobiet... – ciągnął. – Za prawdziwe uczucie płacą niewiernością. Lekceważenie przyjmują z dreszczem podniecenia. Cóż to za nieprzewidziane istoty... Znów spojrział na zegarek. – I chyba już nie przyjdą.

Dosyć nachalnie mi się przyglądał i uśmiech za uśmiechem posyłał. Znałem się na tym. Te ich sposobiki.

– Cóż pozostaje odtraconym mężczyznom – zaproponował ten wytworny stary pan w czarnej dyplomatce i złotych okularach – po prostu pójść na wódkę. Zastąpić gorycz niespełnienia, otóż to... – mówił dźwięcznym, lekko nosowym głosem, bulgotliwie zniekształcając „r”.

Połąpałem się od razu na rodzaju sieci, którą zarzuca. Ale z nudów przyjąłem propozycję. Każdy łowca ciekawił mnie w tym czasie. Ja to robi, dlaczego, i wreszcie to wyczekiwanie: co z tego wyniknie?

W małej knajpce obok mojej kolejki EKD zajęliśmy ustronny stolik i zaczęła się ta rozmowa, obficie zakrapiana wódką, pełna przedłużonych spojrzeń, uśmieszków i lepkiego obmacywania wzrokiem. Wódki nalewał mi raz po raz, sam opuszczał kolejki. Zakąskę zamówił marną (chyttrze przy tym przemówił do mojej ambicji: prawdziwe męskie picie odbywa się bez żarcia), i coraz bardziej błyszczała złota oprawa okularów, i coraz bardziej nachylał się do mnie ten wieczorny łowca polujący na chłopaków. Dar wymowy posiadał znaczny, opowiadał o roju dziewcząt, którym jest otoczony; zrazu skromnie tylko opisywał ich urodę i wdzięki; szybko przeszedł do intymniejszych zwierzeń, plastycznie przedstawiał, co robi z nimi podczas zmysłowych igraszek. Właśnie, jak to opowiadał! Moja głodna wyobraźnia, nieźle już pobudzona wódką, coraz łapczywiej w tych mrocznych obszarach zaczęła się poruszać. Widziałem te tapczany, fotele i futra, na których zwierzęco i zarazem niezwykle wyrafinowanie przewalają się nagie ciała. Ten jego głos tak miękko, melodyjnie czarował i czarował, pojawiały się wciąż nowe sytuacje; a oczy za okularami jak bagienne jezioro. Nim się ocknąłem, jego dłoń jak obrzydliwie ciepły kotlet spoczywała na moim kolanie. Odsunąłem się gwałtownie. Bałem się. Siebie, swojej łapczywej wyobraźni i jego wypróbowanych sztuczek. Byłem już na tej niebezpiecznej krawędzi, kiedy wystarczy przymknąć oczy i dać ponieść tym wirującym kusząco obrazom; zgodzić się na wszystko. Moje ciało pulsowało zdradziecko. Więc odsunąłem się gwałtownie i tę łapę jadowitą ze swego uda strąciłem. Wtedy posłyszałem z tyłu ostry, przesywający szept:

– Nie ulegaj naiwnym emocjom, panuj nad swoim strachem, nie masz powodu bać się niczego, śmieję się z tych rajdów erotycznych, to tylko wytrych do twoich spodni, wygaś więc podniecenie i śmieję się z tego, omotaj ofiarę uległością, słodyczą i wdziękiem, a dopiero wtedy będziesz górą. I napchasz sobie do pełna kabzę, i wtedy dopiero możesz rozbić ten obmierzły, spocony pysk. Nie zatrzymuj się nigdy w połowie drogi, tę grę musisz doprowadzić do końca. I pamiętaj: to nie ty jesteś bezbronny, ale on obnaża się i traci kontrolę. Minie jeszcze chwila i będziesz mógł lepić to mięcho, tę padlinę starą i gnijącą, jak plastelinę...

Szept to był tak sugestywny, że choć nie wiedziałem, kto mówi, posłuchałem bez wahania i przyjąłem znów tę obrzydliwą dłoń na swoje udo. Pozwoliło jej nawet posuwać się coraz wyżej. Ten głos z tyłu pouczał mnie spokojnie i metodycznie:

– A teraz, kiedy doprowadziłeś go już prawie do szczytu, zamykaj potrzask, wymów się brakiem czasu, czym chcesz zresztą, pożycz trochę pieniędzy i umów się na następny wieczór, ofiara już ślepa i bezbronna, niechybnie zgodzi się na twoje warunki.

Nie czułem już niepokoju, łapczywość niebezpieczna wyobraźni wygasła teraz i jak żołnierz na służbie wykonywałem szeptem polecenia.

W pewnym momencie mój pedał usłyszał ten szept. Zareagował protstem.

– Ja sobie wypraszam!

Głos z tyłu zasyczał złowrogo: – Milcz! I uważaj, żebyś nie miał przykrości, zboczeńcze!

Roześmiałem się wesoło. Z tyłu czuwał nad wszystkim stręczyciel groźny i nieznany. Nie chciałem się oglądać. Ta anonimowość podobała mi się najbardziej. Któż to mógł być? A ten w złotych okularach zgodził się na moje ultimatum. Umówiliśmy się na następny dzień. Poprosiłem o pożyczkę. Bez wahania sięgnął do portfela. Wyciągnął kilka papierków.

– Mało! – znów szept – rozkaz z tyłu.

– Mało – powtórzyłem.

Ten w okularach dołożył jeszcze jeden papierek.

Tak oto poznałem Księcia Nocy. Zawiedziony pedał poszedł sobie, a my zawarliśmy znajomość. Ten jego nos krogulczy i oczy jak płomienie. Chichot, którym zegnał pedała... Oświadczył z nonszalancją, że nudzi się tego wieczoru i zaszedł tu przypakiem, a zobaczywszy mnie w pajęczej sieci pedalskich zabiegów, postanowił zaimprovizować jakąś rozrywkę.

– Ponadto – dodał – byłem bez pieniędzy. I zarobiliśmy sobie na ten zapoznawczy wieczór.

Od razu też przedstawił dalsze plany wobec tego w złotych okularach. Miałem spotkać się z nim następnego wieczoru i dotrzeć do jego mieszkania. Księżę Nocy jak cień będzie sunął na nami. I tak coraz konkretniej tę akcję „Pedał” przedstawiał. Już byliśmy u naszej ofiary. Księżę Nocy wchodzi chyłkiem, nie zauważony. Ja pozostawiłem otwarte drzwi. Ukrywa się za kotarą. Albo jeszcze inaczej. Zdobywam klucz lub też robimy odcisk klucza. Nie! Lepszy będzie jednak szantaż. Pedał bezbronny i uległy. Spokojnie, metodycznie penetrujemy szafy, szuflady i rozmaite schowki. Znajdujemy przy okazji kolekcję zdjęć właściciela z młodymi chłopakami. Wszyscy oni nieletni, nagusieńcy – w sposób oczywisty deprawacja. To jeszcze bardziej wzmacnia atuty naszego szantażu. Odbywa się cała ta akcja w ustronnej willi na Kolonii Staszica. Pedalskie uroczysko ze smakiem i przepychem urządzone. Antyczne meble, inkrustowane biureczka, świeczniki z brązu, porcelanowe caczuszka, pociemniałe ze starości obrazy i zegary, czerwone zasłony i białe futra na podłodze. Woń jakiegoś wschodniego kadzidła, duszna, odurzająca. Pęcznieje łup z tego szantażu. Z pieniędzy zrezygnowaliśmy. Zabieramy biżuterie i dwie paczki dolarowych banknotów. Spokojnie otwieramy drzwi. Adieu, mówi Księżę Nocy. I oto sprawa z pedałem, czyli akcja „Pedał”, przestał go już interesować. Na żadne konkretne plany już nie miał ochoty. Jakby wycisnął już wszystko, stwarzając te fikcyjną sytuację z szantażem. Zabawił się do syta i znudzony porzucił zabawkę.

– Zboczeniec – machnął lekceważąco ręką. – Nudne ścierwo. Trzeba zająć się czymś ciekawszym...

A pomysłów miał mnóstwo, wszystkie pełne rozmachu, brawury, lekkości i barwy, aż rozsadyły tę małą, obskurną i zatłoczoną knajpę. Pierwszy raz tutaj, na śródmieściu, coś mi się zaczęło odsłaniać, nowe szanse, nowy świat. Aż kipiało tym podczas mojej pierwszej rozmowy z Księciem Nocy. Raz mieliśmy pieniądze i towarzyszył nam przepych, to znów ukrywaliśmy się w stogach siana i ścigali nas rozjuszeni wieśniacy z widłami, bywaliśmy też w wytwornym towarzystwie, gdzie mówiło się po francusku, i piękne kobiety nie stawiały nam żadnego oporu, potem lecieliśmy samolotem, niedbale rozparci na miękkich fotelach, i uśmiechnięta stewardessa poila nas zagranicznymi trunkami, równie nagle wracaliśmy na ziemię, walczyliśmy z szajką plugawych opryszków, cmentarnych hien, nasze pięści z łatwością dawały sobie z nimi radę.

– Takie jest życie ze mną – uśmiechał się tajemniczo Księżę Nocy.

Te dni, tygodnie, miesiące... To nasze łożenie po śródmieściu, wśród knajp i ruin. Przygodne znajomości. Dziewczyny i wódka. Doświadczenia w krzakach nad Wisłą. To nasze chciwe wsłuchiwanie się w przeraźliwe głosy syren pogotowia ratunkowego i milicyjnych wozów. Mówiliśmy wtedy: O, coś się stało! Może napad, może afera jakaś? Może uciekają, strzelają?

Syreny już ucichły, a my staliśmy zapatrzeni gdzieś daleko.

I oto poznałem Księcia Nocy.

Zbyszka Młotka to on wyluskał znacznie później. Też nudno i lichy żył ten chłopak, mój kumpel jeszcze z zabaw na carskich fortach. Tylko te swoje żebra zrosnięte miał. Gadał o nich do znudzenia. Ale sam przecież dobrze wiedział, że te żebra to nic prawie. Kto, jak nie Zbyszek Młotek, wieczorami gnał w te krzaki przy kościele Świętej Barbary. Ciągnęło go tam

nieprzeparcie. Biegał jak kot z pęcherzem, odkąd na dziedzińcu kościoła zwinięto tych z Burmajstrem na czele, co to, jak mówiono, broń mieli i nawet radiostację.

W związku z tym Zbyszek Młotek wyobrażał sobie Bóg wie co.

– Tam to było... – mówił i dalej brakowało mu słów. – Chłopaki się zbierali – znów po chwili – i kombinowali fajne numery...

Przystawał zadyszany w tych krzakach przy ceglonym murze, zadzierał głowę i patrzył na kościelną wieżę. Najchętniej właśnie na kościelną wieżę. Wyobrażał sobie, że tam musiała być radiostacja, i te sygnały tajemnicze, szyfry i meldunki wysyłane w szeroki świat fascynowały go najbardziej. Postukiwał palcami w mur, naśladowując alfabet Morse'a.

– Tak gadali, z kim chcieli – uśmiechał się i na długi czas pozostawał z rozchyłonymi ustami.

Ta sprawa tkwiła w nim mocno i wkrótce zaczęło mu się wydawać, że znał Burmajstra.

– Chłopak z pikiety. Taki czarny, elegancki. Nieraz zabuszowałem z nim.

Ten ustronny kościół wśród starych drzew działał również na moją wyobraźnię. Blisko stamtąd na Poczcie Głównej. Też kuszące miejsce. Podjeżdżają pocztowe ambulanse, pełne listów i przesyłek. Ta wielka hala telefonów. Raz udało się nam podejść pod oszklone drzwi tej hali. Sygnały, trzaski i warkoty, narastające i zamierające dźwięki, rój telefonistek, wyciągają i wkładają kolorowe wtyczki, pełno splątanych drutów, telefonistki wywołują przeróżne miasta, bliskie i dalekie. Staliśmy jak urzeczony, dopóki nie zbudziły się stary strażnik, śpiący na krzeselku z karabinem między nogami. Podniósł się, przetarł oczy, nałożył na ramię karabin i powiedział surowo: – Tutaj wchodzić nie wolno!

– Burmajster już by sobie z takim poradził – szepnął wtedy Zbyszek Młotek.

Lepiej więc Księżę Nocy wybrać nie mógł. My dwaj, Zbyszek Młotek i ja, wiele sobie obiecywaliśmy po tej znajomości. I czekaliśmy niecierpliwie na jego polecenia. Kruczocharny, nieco przysypany popiołem siwizny, ten nos i palące oczy. Umiał swój wygląd podkreślić ubiorem, ta apaszka w rdzawe jak krew plamy, krawat bajecznie kolorowy i czarny jak całun żałobny płaszcz. Machał do nas ręką. Więc zapamiętał.

– Cześć, chłopcy! – wołał. – Na razie jestem zajęty!

Wyróżniał się wśród wszystkich znanych nam na śródmieściu osobistości. Był jeszcze taki jeden, wesoły, zawsze uśmiechnięty, monstrualnie gruby, ulubieniec starszych kobiet, Zagłobą nazywany. Ale o nim Księżę Nocy wyrażał się z pogardą.

– Nie ma żadnej filozofii, jedynie system trawienny i lenistwo bez miary. Typu jaskiniowego raczej...

Więc ten Zagłoba przy nim jak plebejusz przy arystokracie. Przymiłał się do niego zresztą. Witając się próbował wstawać. Z trudem unosił swoje cielsko z krzesła.

Ponadto Księżę Nocy cieszył się dużo większą popularnością. Widywaliśmy go w otoczeniu aferzystów handlujących złotem, obtatuowanych złodziejasków o rozlatanym spojrzeniu, nobliwych, staroświecko ubranych pań, eleganckich hulaków, facetów z teczkami, których tytułował redaktorami, a przede wszystkim dziewczyn trudniących się wiadomą profesją. Jego głos, niski, aksamitny, nagle przechodził w świszczący szept. Słuchano go pilnie. Choć bywały też uśmieszki, które nie uszły naszej uwagi. Można powiedzieć, znaczące to były uśmieszki, pobłażliwe, ironiczne.

Takim właśnie uśmieszkiem potraktował Księcia ten gruby, co palił fajkę, mówiono, że w wojnę był żydowskim policjantem i teraz robi duże pieniądze. Księżę Nocy przysiadł się do jego stolika w tej kawiarni najważniejszej na szlaku i mówił coś z ożywieniem, gestykulując porywczo. Tamten słuchał obojętnie, wreszcie zastukał łyżeczką w blat stolika. Przybiegł kelner, kłaniając się tym charakterystycznym lokajskim skłonem, stosowanym tylko wobec najważniejszych gości.

– Jeszcze jeden miętowy – zamówił Policjant. I tak chłodno, z góry patrzył na Księcia Nocy. Oczy miał nieprzytomnie wylupiaste, jak osadzone na szypułkach. – takie brednie – usły-

szalem wyraźnie, co powiedział – dobre dla żółtodziobów albo pismaków. Mnie to nie interesuje. Nie mam czasu.

A Książę Nocy opuścił głowę niczym skarcony uczeń. Policjant powoli sączył zielony trunek. Książę Nocy wstał i wyciągnął rękę. Tamten swojej dłoni mu nie podał. Popatrzył tylko chłodno, obojętnie.

Zastanawiałem się nad tą sceną. Ale Zbyszkowi Młotkowi nic o tym nie powiedziałem. Nasza znajomość z Księciem Nocy została wkrótce przypieczętowana flaszką wódki wypitą w bramie.

– Prosto do gardła – pouczał Książę. – Najlepiej wchodzi.

Demonstrował tę trudną sztukę picia, polegającą na wlewaniu wódki z pewnej odległości bezpośrednio do przełyku. I nie śmiał się wcale, kiedy zakrztusiłem się okropnie. A tę wodę śmierdzącą w zaszczanej bramie, gdzie od klozetu do śmietnika przebiegały szczury, też zczarował po swojemu opowiadając nagle o swojej przedwojennej wyprawie na Huculszczyznę, podczas której sypiał w pasterskich kolibach na połoninach i wsłuchiwał się w melancholijne dźwięki trombity, przemierzał górskie uroczyska i pił w żydowskich szynkach na rozstajnych drogach palącą pejsachówkę.

Na koniec, wpijając w nas swe dramatyczne oczy, powiedział:

– Moja stajnia jest zagrożona!

Wtedy Zbyszek Młotek aż zadygotał z gotowości. Na niego to hasło – stajnia – działało jak prąd. Był bardzo silnym i nim zaczęliśmy buszować po śródmieściu, pracował przy kopaniu studzien. Ale od poznania Księcia Nocy zrezygnował nawet z myśli o jakiegokolwiek pracy. Wystarczył jeden monolog naszego mistrza o bezsensie pracy (ułożył na poczekaniu łacińskie porzekadło: Laborare nihil est) i znikomości korzyści z niej płynących. Kpił bezlitośnie z zatyranym, mułami ich nazywając, ośmieszał niezmienny, uregulowany rytm ludzkich zajęć i podsumował wieloznacznym a pociągającym: – Należy zawsze szukać niespodzianki. Niespodzianka gdzieś jest, opodal, mówię wam, pozornie niedostępna, lecz przy łucie szczęścia okaże się, że leży na wierzchu. – Niedbałym teatralnym gestem wskazał na te dziewczyny, które obsiadywały stoliki kawiarni najważniejszej na szlaku. – Kochają mnie one... A ja jestem twardy jak gład. Za to jeszcze bardziej kochają. I bić trzeba czasem dla przykładu. To też uwielbiają... Masochizm kobiet... Jakaż to ciekawa dziedzina... – dodał z drapieżnym uśmiechem aktora sadysty. – Oczywiście jest to tylko margines moich zajęć...

Nieraz widywaliśmy Księcia Nocy w towarzystwie tych dziewczyn.

– Mieć takie damulki – ożywił się Zbyszek młotek. – Można żyć sobie jak sułtan.

Ostatnio wpadła mu w ręce jakaś książka o haremach i meczetach, fatimach i bogatych, lubieżnych Turkach. Ten Wschód pełen wonności, złota, lenistwa i okrucieństwa bardzo mu się spodobał. Wtedy w bramie Książę Nocy wprowadził nas w istotę zagrożenia swojej stajni. Dwie jego dziewczyny, najbardziej chodliwe na giełdzie, okazały się również najbardziej niesforne. Wyłamały się z ryzów posłuszeństwa, już trzeci dzień nie pokazują się w kawiarni i jak mu doniesiono, zabawiają się w pewnym mieszkaniu z mężczyznami. I co w tym najważniejsze, te uciechy są zupełnie bezinteresowne.

– Uległy – mówił Książę Nocy z pogardą – zagrożeniu dość częstemu dla istot pospolitych. Brak świadomości, przewaga zwierzęcych instynktów, po prostu niezbyt rozwinięty intelekt stwarza podatne warunki dla wszelkiego uczciwego oszukaństwa. Otóż jacyś faceci gorącymi zapewnieniami uczucia, pożądania, adoracji tak nafaszerowali te samice, że uległy złudzeniom i oddały się rozkoszy bezinteresownej... Wasze zadanie – zakończył stylem dowódcy wydającego ostatnie dyspozycje przed akcją – wyrzucić tych spryciarzy i oczyścić plac boju dla Księcia Nocy!

I to również działało niezwykle. Te afery nieźle już nam znane i zwyczajne nazywał inaczej i przez to inne wszystko od razu się stawało. Unikał cwaniackiej gwary, rzadko pomagał sobie przekleństwem, chyba inaczej w jego opowieściach wyglądało.

Udaliśmy się pod wskazany adres. Szczeniak byłem wtedy zupełny i migotało to mi kolarowo. Te wyprawę traktowałem jako wydarzenie niezwykle. Siłę tego przeżycia potęgował fakt, że wychowany w raczej purytańskiej, surowej klauzuli moralnej, przyjmowałem poglądy Księcia Nocy z uczuciem pewnego szoku, widziałem w tym wolność i wyzwanie, zabawę i kpinę, niezwykłość i awanturę.

Tak oto wkraczałem w nowe obszary i trzymałem twarz jak maskę, żeby mój kumpel Zbyszek Młotek, nie zauważył żadnego niepokoju lub naiwności. Bardzo chciałem uchodzić w jego oczach za cynicznego i doświadczonego.

– Stajnia – powtarzałem to słowo, tak niezwykle w zastosowaniu do treści, którą za sobą kryło. – Stajnia.

Po drodze Książę Nocy opowiadał nam o kobietach. Posiadał w swojej kolekcji rozkapryszone aktorki, damy z towarzystwa, Francuzice, jak mówił, żony dyplomatów, gorące Cyganki, co z kartami włóczą się po pakach, bogate wdowy i rozkapryszone jedynaczki. A tłem tych historii miłosnych był cały świat, wymieniał niedbale nazwy hoteli w Rzymie i Londynie – stanąłem wtedy w Hiltonie – mówił liftboy bierze mój neseser – kabarety w Paryżu i zakazane spelunki w Palermo, zachód słońca na Majorce czy arcydzieła gotyckiego budownictwa w Normandii. Skala uciech z tymi kobietami przekraczała nasze najśmielsze wyobrażenia o możliwościach w tej dziedzinie. Oczy Zbyszka Młotka stały się zupełnie okrągłe. Ja przede wszystkim rozkoszowałem się barwną urodą tych opowieści. Następnie przeszedł Książę Nocy do innych swoich wyczynów: krwawych pojedynków z przeciwnikami rozsianymi w wielu miejscach Europy oraz konfliktów z władzą, gdzie występował jako odważny straceniec, niczym dziewiętnastowieczny anarchista. A wszelkich reprezentantów władzy wywodził z Beocji, krajny tępych ograniczonych ludzi w starożytnej Grecji. W ogóle wszystkich do jakiegokolwiek rydwanu wprzęgniętych nazywał Beotami. – Beoci! – mówił z lodowatą pogardą.

Powoli ogarniał nas chaos niezwykle, mieszały się fakty i wydarzenia z odległych i najbliższych czasów, barwna galeria postaci, poczynając od wykwintnych arystokratów do małych złodziejasków i oszustów, strzepy jego dzieciństwa, bona, która prowadzi go za rękę alejkami Ogrodu Botanicznego, automobil ojca, jeden z pierwszych w tym czasie, podkreślał, Lancia, zwiedzanie ruin rzymskiej Pompei, wilczyca i jej synowie, Remus i Romulus, wycieczkę zorganizowało towarzystwo podróży Cooka, naraz wkraczaliśmy na chwilę w czas wojny, łapanki i strzelanina, konspiracyjne lokale, Książę Nocy z butelką benzyny na czołg, znów przeskok wstecz, wynurzyła się z tamtego czasu postać sławnego kasiarza Szpicbródki – mój chrestny ojciec – powiedział z dumą Książę Nocy.

Rozległa to była mozaika i aż zatykał ten rozmach w przedstawieniu czasu, wydarzeń, ludzi.

– Czy to prawda wszystko? – zdążył zapytać w trakcie wysiadania z taksówki Zbyszek Młotek. I jeszcze dodał: – Co za cholerstwo ci Beoci?

Wzruszyłem ramionami. Dla mnie było to zupełnie nieważne. Tak właśnie myślę teraz, próbując odgrzebać tamten czas. Nie była to świadoma postawa, ale intuicyjnie od początku chyba prawda, realność – te kryteria w znajomości z Księciem Nocy nie odgrywały żadnej roli. Przyjąłem po prostu jego świat. To, co mówił, to, co sobie wyobrażał.

Takie to wszystko naiwną tandetą podszyte, powiem być może teraz, po tylu latach. Lecz wtedy, kiedy dysząc z pragnienia biegałem po śródmieściu, to było dla mnie w sam raz. Dla mnie i tylu innych chłopaków. Tym swoim wytrychem mnóstwo kłapek w nas poodmykał ten kapłan Czarnej Magii.

Dom był sześciopiętrowy, stary, z wewnętrznym podwórzem i ponurymi, podziobanymi przez pociski murami. Wpatrzyłem się poczułem. Jakby te więzy, które dotąd krępowały dokuczliwie, przestały cisnąć i ograniczać ruchy. Opadły, rozcięte jednym jedynym pociągnięciem noża.

– Co krok może być niespodzianka – tak brzmiały słowa Księcia Nocy.

I ta przestroga jeszcze: droga może być ciężka, kamienista, ale cel za to jaki!!! Wkraczalem w królestwo Niespodzianki. Jak śmiesznie brzmiały niedawne nauki ojca. Uczyć się, później pracować, żyć mozolnie i uczciwie, szanować przełożonych, dopiero wtedy można coś osiągnąć. Nuda, cierpliwość i wiecznie pochylony kark. A tu nic, wszystko z nagłą i niczym nie skrępowane. Nie wiem czemu, przypętało się do mnie takie idiotyczne: „Bóg, róg, mara, wiara” – i powtarzając te cztery słowa jeszcze bardziej się w swojej lekkości utwierdzałem. Wspinaliśmy się po wyslizganych, kamiennych schodach, szliśmy długim ciemnym korytarzem, przesyconym zapachem stęchlizny. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami z numerem trzynastym. Ten numer zapamiętałem na lata całe, bo Książę Nocy przywiązywał znaczenie do liczb nieparzystych. Drzwi były zamknięte na zasuwę, ale Zbyszek Młotek bez szczególnego trudu dał sobie z tym radę. Po prostu naparł ciężarem swego ciała i zamek ustąpił z trzaskiem. A wewnątrz rozbebeszone kłębowisko czterech nagich ciał. Jedna para splątana groteskowo na dywanie. Druga w łóżku. Włochate pośladki mężczyzny, rozwalone uda kobiety, zmierzwione włosy i ręce zastygłe w zachłannych uściskach, spod różowej zmiętej w kupę damskiej bielizny wysuwały się czyjeś stopy z obrzydliwie żółtymi piętami. Wszystko to podrygiwało i bulgotało we śnie. Hałas spowodowany naszym wtargnięciem, nie zbudził ich wcale.

– Wyrzucić gachów! – polecił Książę Nocy.

Zabraliśmy się do tego z gorliwością, spotęgowaną jeszcze przez zażenowanie. Nieczęsto przecież taką nagość widywaliśmy. Zbyszek Młotek pochylił się i ujawszy jednego z mężczyzn za stopy, począł wlec go w kierunku drzwi. Poszedłem za jego przykładem. Ten, którym się zająłem, był łsawy, z wydatnym brzuchem. Głowa obijała mu się jak bilardowa kula po podłodze i postękiwał cienko. Naraz otworzył oczy i powiódł po nas przerażonym, niezupełnie przytomnym wzrokiem. Drugi, młodszy, o policzkach pokrytych gęstym, czarnym zarostem, ocknął się całkowicie i spróbował kopnięciem wyzwolił się z uchwytu żelaznych łap Zbyszka Młotka. Otrzymał mocny cios pięścią w usta. Pokazała się krew. Wystraszył się jego bojowość wygasła od razu. Obaj już w pośpiechu zbierali swoje ciuchy. Nadzy i niezgrabne próbując osłaniać przyrodzenie, wyrwani z głębokiego snu, ciągle nie bardzo wiedzieli, co się dzieje. Pierwszy wyskoczył ten starszy, z brzuchem. Młodszy spojrzał na nas wściekle i wymamrotał: – Jeszcze się spotkamy! – Leniwy zamach pięści Zbyszka Młotka wygonił go za drzwi. Dopiero wtedy zbudziły się kobiety. Pierwsza zerwała się Ita. Ta Ita, o której tyle słyszałem. Najwspanialsza dama miasta, jak mówił Książę. Ta Piękna Ita o popielatych, błyszczących jak rtęć włosach. Kobieta wieloryb, jak mówił Książę, sam bezwstyd, wyuzdanie i piękno. W tej chwili wyglądała odrażająco, rozczochrane i bez połysku włosy, zaklejone ropą oczy i rozmazany tusz na twarzy, a ciało miało sinawe z gęsią skórką od zimna. Tak stała chwiejąc się, i ten bulgot czy ziewanie, co wydobywało się z jej ust. I po prostu starość wyszła na jej twarz, niewidoczna tam, w kawiarni, doskonale ukryta pod warstwą kosmetyków.

Taka to nastąpiła odsłona. Nieraz wyobrażałem sobie tę Itę bez niczego. Nagą, wspaniałą. Tę smukłą, strojnie ubraną kobietę z lawiną popielatych włosów i zastanawiającym błyskiem zielonkawych oczu. Teraz była naga, ciągle jeszcze półprzytomna, kolebała się na szeroko rozstawionych nogach. Jedną ręką drapała się po karku. Zawzięcie i z uporem; słyhać było suchy szelest paznokci orzających to swędzących miejsc. Paznokcie dały ulgę, zwierzęcą błogość na jej twarzy. Było w tym coś kociego. I tak kolebała się na szeroko rozstawionych nogach. Zmęczone pijacką orgią kobiece ciało. Ziąb był w tym pokoju jak w kostnicy i dygotać zaczęła w swojej kusej koszuli. Widać było owłosione podbrzusze i widok ten wcale pożądanym we mnie nie wzbudzał.

Ita chwilę rozglądała się po pokoju, zatrzymała wzrok gdzieś przed sobą i tak po omacku podeszła do elektrycznej maszynki stojącej na podłodze. Włączyła sznur do kontaktu w ścianie, spirale rozjarzyły się czerwienią i ona, ta Piękna Ita, okrakiem kucnęła nad maszynką. Patrzyłem wstrząśnięty. A Książę Nocy zachichotał wesoło. W tej odsłonie Piękna Ita była

najstraszniejsza, taka ropusza wstrętność i rozmemłanie były stamtąd wraz z ciepłem. To ciepło z maszynki ożywiło kobietę. Machinalnie poprawiła włosy. Spojrzała na mnie i oczy znów miała piękne. Był to taki moment króciutki, patrzyła coraz bardziej uważniej i coś jak cień zalotnego uśmiechu zamajaczyło jej koło ust.

– Znów – mruknęła – szczeniakowi jakimś wszystko w głowie poprzestawiasz...

I równie machinalnie, ale czułem, że czyni to dla mnie, tak dłońmi podparła swoje piersi, że stały się one pełne, sprężone i sterczące.

Zaraz przeniosła spojrzenie na Księcia Nocy i nagle poderwała się jak tygrysica.

– Ty szmatławcu!! – wrzasnęła, głos był płaski, ochrypliwy, tandetny; w niczym niepodobny do tych melodyjnych, pieszczotliwych i głębokich szeptów, jakimi w kawiarni obdarzała swoich wielbicieli. – Ty szmatławcu! Jakim prawem wpięprzasz się w moje spawy!

Druga kobieta, tęga, o lalkowatej, martwej twarzy, powtarzała tylko: – gdzie mój słodki blondasek, gdzie?

Księżę Nocy podniósł rękę i zaczął dostojnym głosem arcykapłana: – Moi ludzie po prostu usunęli...

Nie dokończył. Ita skoczyła do niego. Wyciągnęła palce ozdobione długimi jak szpony paznokciami. Osłonił ramieniem twarz.

– Wyjdźcie! – zdążył wydać nam polecenie.

Wyszliśmy posłusznie na korytarz. Stojąc przy drzwiach wsłuchiwalismy się w wymyślne przekleństwa Pięknej Ity. Właściwie ja tylko słuchałem. Zbyszek Młotek, zadowolony ze swego wyczynu, powtarzał: – Ale mu przypaskudziłem, widziałeś, na początku tak się stawał, i szybko rura mu zmięknęła, no nie? – Podrażniony też tą nagością przewalającą się tam za drzwiami dodał bez związku: – Ale cielska!

Wsłuchiwałem się z uwagą w obelgi, którymi Ita ciskała w Księcia Nocy. Nazywała go ohydny szcurem, szmatławym natrętem, kłamcą, błaznem i żebrakiem.

– Nigdy – jeszcze bardziej podniosła głos – nie dostaniesz ode mnie nawet złamanego grosza! I jeżeli kiedyś ośmielisz się podejść do naszego stolika, napluję ci w ten pysk kłowna, pamiętaj!

– Iciu... – zaczął słodko Księżę Nocy.

Dalej już tylko odgłosy szamotaniny, donośne klaśnięcie, nieartykułowany wrzask. Drzwi otworzyły się z rozmachem. Wyskoczył stamtąd Księżę Nocy. Na policzku zakwitły mu dwie krwawe pręgi od pazurów Ity. Oddychał nierówno i miał zarzucony na plecy krawat.

Ochłonawszy odezwał się ścisłym głosem: – Muszę się trochę uspokoić, skarciłem je dosyć surowo. Właściwie nie lubię tego. Brzydzę się... Jednak wobec tak rozbuchanych kłaczki trzeba stosować represje na przemian z czułością. Taka metoda huśtawki, rozumiecie?

Potakiwalismy gorliwie. Choć Zbyszek Młotek przyglądał mu się jakoś podejrzliwie. Ja jednak nie miałem żadnych wątpliwości. A niezgodność tego, co mówił, z tym, co słyszałem przed chwilą zza drzwi, wcale mnie nie dziwiła.

Odtąd już nieprzerwanie rzeczywiste zdarzenia i ich widzenie przez Księcia Nocy biegły zupełnie odrębnymi torami. I odtąd na wszystko patrzyłem przez pryzmat jego fantazji, kłamstwa, wyobraźni, nie wiem, jak to nazwać. Bo choćby ten nieszczęsny pedał z knajpy „Przystanek”, naciągnięty po cwaniacku na forszę i wypędzony później. Na stałe już zostanie w mojej pamięci jako ktoś groźny, cyniczny, bezwzględny i niezwykły. Taki car pedałów, Rasputin od chłopaczków. Tak już pozostanie. Bez względu na fakty i być może zgoła odmienny wizerunek z tych faktów wynikający.

Kiedy zobaczyłem Księcia Nocy z tym pedałem właśnie. Pograżeni w serdecznej rozmowie i poklepywaniu; rzucało się w oczy, że w dobrej byli komitywie. Może Księżę Nocy stręczył mu chłopaków? Przecież takim mirem cieszył się na śródmiejskiej pikiecie, mógł więc przebierać jak w ulęgałkach. Na mój widok Księcia Nocy przerwał rozmowę z tym pedałem w złotych okularach i taki błysk, jakby namysł w jego oczach. Może i mnie chciał temu w

złotych okularach... Może zapomniał, że znałem go przecież. A jeszcze później na poczekaniu taki malowniczy wizerunek tego faceta stworzył. I sam chyba święcie w to wierzył. Fascynacja była w nim i zapal. Taki portret wewnętrzny człowieka dużego wymiaru targanego burzliwymi namiętnościami, o skomplikowanym życiu rodzinnym, dramat żony, która od lat wie o tym, garb kompleksów nie mały do dźwigania przez syna, nawet w dalszym planie majaczył delikatnie zaznaczony ścieg, że i do syna niezdrowe skłonności w nim kielkują. Te jego wieczne łowy na chłopaków, w kinach, wychodkach, na przystankach, w parkach, wszędzie. Równocześnie zimny, bezwzględny, w żadne uczucia nie wierzy, tych chłopaków przemocą i pieniędzmi zdobywa. Bywały też mroczne wiry, ktoś wyłowiony z Wisły, ktoś skatowany w gruzach, jakiś efeb niezwykłej urody truje się gazem. Taka ciemna, zepsuta aura orgii i miłostek. Przewijali się w tej opowieści herbowi birbanci, międzynarodówka pedryłów, esesmani i partyzanci; jak zawsze, Książę Nocy w odległe czasy sięgał z upodobaniem. I nie wiem, prawda to czy nie... I czy znał go już wtedy, gdy zza moich pleców jego szept kierował moim postępowaniem w knajpie „Przystanek”? Nic nie wiem. I nieważne to wcale. Już tylko wyłącznie w tym nasyconym migotliwą barwą i namiętnością wymiarze widziałem mężczyznę w złotych okularach. Księcia Pedalów. Tak go sobie nazwałem. W długi czas potem znalazłem się w praskiej knajpie paserów i aferzystów z bazaru. Tam zobaczyłem tego w złotych okularach z jakimś młodzieńcem o wyglądzie osiłka. Mocno już wódką uraczeni, gładzić się i pieścić bezwstydnie zaczęli. Tutejsi bywalcy, niezwyčajni pedalskiego migdalenia, poplurali i klęli coraz głośniej, wzburzeni tym niezwykłym widowiskiem. Wtedy mężczyzna w złotych okularach ziewnął, rozejrzał się wyzywająco po sali i powiedział bardzo głośno: – Jak tu nudno! – Wyszczrzył zęby (dopiero wtedy zauważyłem, że ma kilka złotych zębów), znowu nachylił się do osiłka i dłoń mu na udzie położył. Osilek wypiął swoją szeroką pierś i tak uważnie, ponuro po stolikach popatrzył. Po tym pokazie siły i niemym wyzwaniu tutejsi bywalcy przestali się nimi interesować. Poddali się po prostu. W każdym razie, jeżeli fikcją wszystko poprzednie, to rzeczywistość ostatnia przysłała Księcia Nocy w sukurs. Zginął ten mężczyzna w złotych okularach na posterunku. Zatłuczony cegłą. Być może łowił, polował; być może trafił na rabusia specjalizującego się, jak niegdyś Tońko, w takich ofiarach; a może z uczuciowych powodów rozgrywka.

To zdarzyło się w gruzach, w ostatniej enklawie gruzów, bo wtedy miasto zmieniało swój wygląd ostatecznie. Taką kłamrą dramatycznej śmierci zamknęło się życie mężczyzn w złotych okularach.

Nieważne więc, jak właściwie było z tą stajnią. Stajnia rzeczywista czy jego wymysł tylko. Kiedy schodziliśmy po tych kamiennych wyslizganych schodach, Książę Nocy powiedział ze szczerym zadowoleniem: – Okiełznane klacze, spokój w stajni, dziękuję wam chłopcy.

– Ty... – wkrótce potem zakiełkowała pierwsza wątpliwość w realistycznym umyśle Zbyszka Młotka. – Ty... czy on czasem nie polewa aby za bardzo... no wiesz... Znaczą bajer tylko. Albo... – jego dłoń niepewnie powędrowała do czoła, ale zatrzymał ją w połowie drogi.

Myślał nad tym intensywnie i szukał w moich oczach odpowiedzi. Zaprzeczyłem stanowczo. Przestaliśmy o tym mówić. Książę Nocy natomiast chętnie nadal opowiadał, jak to treduje swoją stajnię, karcni surowo te kobiety. Piękną Itę i drugą tłustą, o twarzy lalki; jak te ćwiczone przez niego pejcem prostytutki, tak je nazywał ze wzdargą posiadacza, skamlą i stopy mu liżą, tak surowo trzymane w wędzidłach, kawaleryjska szkoła, znów, mówił, chodzą w miasto i polują na klientów, oddając co do grosza swój nocny urobek.

Opowiadając chętnie przytaczał pamiętny epizod, w którym i my uczestniczyliśmy nader czynnie; a ja ani słowem nie protestowałem. Nawet tak jakbym wiedział te kobiety pokorne i gotowe na każde jego skinienie. Nie obchodziły mnie wcale fakty, a fakty wyglądały tak, że od tej afery z wywlekaniem gachów one, te kobiety, znać go nie chciały. Piękna Ita przy wielu okazjach szydziła z niego, wołając wrednie: – Te, książę śmietnika, bajeru i pustej kieszeni!

Książę Nocy mijał ją dostojnie, udając, że nie słyszy tych drwin.

Dla prostodusznej natury Zbyszka Młotka były to sprawy zbyt trudne do ogarnięcia, początkowo chciał protestować, przywracać rzeczywistą wymowę zdarzeń. Ale Książę Nocy wcale go nie słuchał lub powiadał pobłaźliwie: – Za młody jesteś, żeby cokolwiek pojąć. – Więc Zbyszek Młotek, tak pozostawiony samopas, męczył się coraz bardziej tym rozszczeplającym się na jego oczach obrazem świata. Kręcił się i sapał, chciwie zaciągał się papierosem i jakby ze zdumieniem przecierał oczy.

Jeżeli chodzi o mnie, to świetnie się w tych pokrętnościach czułem, coraz lepiej chwytałem myśli Księcia Nocy i nawet potrafiłem je zupełnie sprawnie rozwijać, lekceważąc po wielkopańsku wszelkie przeszkody. Nieraz kiedy Książę Nocy potrzebował czyjśgo wsparcia, właśnie ja bywałem jego koronnym świadkiem.

– Niech ten małolat poświadczy... Albo, w zależności od sfery towarzyskiej: – Proszę spytać tego młodzieńca o zdanie.

Gorliwie potwierdzałem: – Tak było.

Puszczał te swoje kobiety gdzieś do ambasad na wykwintne rauty, bywały kochankami bogaczy amerykańskiego wymiaru i rozbijały się po ciepłych morzach luksusowymi jachtami, podróżowały mijając wiele granic ze swobodą niezwykłą, trudniąc się czasem szpiegowską działalnością, pełną efektywnych posunięć, i prawie cudem wymykając się z rozlicznych pułapek, miały też miłosne rozterki, ale zawsze powracały do swego pana, Księcia Nocy właśnie. Zauważyłem pewną zgodność opowieści o losach kurtyzan z brukowymi romansami Marczyńskiego, Romańskiego, Pawła Staśko i innych, które pożyczałem niegdyś z prywatnej czytelnicy na naszym przedmieściu. Książę przytaknął bez zaskoczenia i dodał dumnie: – Artysta czerpie z każdego tworzywa. – Toteż wraz z nim nurzałem się z przyjemnością w tym wielkoświatowym życiu bez granic. Jedynie z rzadka przypominałem sobie to zimne, brudne mieszkanie z kłębowiskiem nagich ciał. Cieszyła mnie sublimacja tego wydarzenia, tak po mistrzowsku dokonana przez Księcia Nocy. Istniała wtedy między nami najsilniejsza zażyłość i pamiętam nocne spaceru ulicami śródmieścia oraz niewyczerpaną inwencję Księcia Nocy w uskrzydleniu szarego życia, które nas otaczało. Świt zastawał nas na dworcu przy piwie, pograżonych w rozmowie bez końca o tajemnicach życia ludzkiego, przepastnych możliwościach psychiki człowieka i coraz nowych, odsłanianych przez naukę zagadkach istnienia. Książę Nocy lubił mówić o wędrówce dusz, palingenezie, jak dodawał z upodobaniem, wiązał to z niezwykłymi właściwościami niektórych ludzi, pozwalającymi im przenikać teraźniejszość i przewidywać przyszłość; fascynowały go sygnały wysyłane przez gasnący umysł ludzki do swoich najbliższych, mówił, że odległość nie odgrywa w tym żadnej roli, mogą być tysiące mil, oceany, łańcuchy górskie, inne kontynenty, nic to nie znaczy dla tych fal niezbadanych, których źródłem jest człowiek. Jego wywody przejmowały mnie dreszczem emocji i strachu jak dawne historie o duchach opowiadane o zmroku i przypominałem sobie tę rozmowę rodziców o wujku: nagle ten dźwięk, jakby ktoś zastukał metalem w klamkę, ojciec podbiegł do drzwi, otworzył, nikogo jednak za nimi, a rano przyszła do domu depesza z wiadomością o śmierci wujka. Były to dla mnie znaki istnienia duszy, która przenika powłokę cielesną i krąży swobodnie, nieuchwytna, niesprawdzalna, tylko co jakiś czas dając znać o swoim istnieniu. Tu głos pana Cudzińskiego był dla mnie ważkim argumentem; tak strasznie, głucho i przenikliwie zawodził przez sen, spał wtedy w stołowym pokoju, zakradłem się tam i zapaliwszy małą latarkę patrzyłem na jego twarz we śnie, pełną grymasów, bolesnych i rozpaczliwych, to znów radosnych i zwycięskich. I kiedy widywałem go za dnia, przypominałem sobie zawsze tę noc w stołowym pokoju domu moich rodziców.

– Czujesz to wszystko – znów dochodził do mnie głos Księcia Nocy. – Właśnie słowami nie można tego wyrazić.

Można powiedzieć, że w tym czasie Książę Nocy zagarnął mnie całkowicie w swoje władanie i nic nie działo się bez jego wpływu.

Dzięki niemu miałem też swój udział w słynnej legendzie Jurka N. Był to groźny bandyta, ścigany przez milicję całego kraju. Pisano o nim w gazetach. O jego wyczynach rozprawiano na pikiecie. Bywali też tacy, co przyznawali się do znajomości z nim. Rzeczywistość mieszała się z fantazją. Mówiono: – Jurek, ho, ho, to jest dopiero gieroj!

Książę Nocy był tego dnia małowówny i skupiony. Czas popołudniowy spędziliśmy na bazarze przy Pańskiej. Jedliśmy flaki, znajomy handlarz chciał podjąć Księcia Nocy wódką w swojej budzie. On jednak odmówił.

– Dziś – oświadczył zagadkowo – muszę być trzeźwy. – I skąpo, bez zwykłego ożywienia wspomniał podobny, nie istniejący już bazar Kerceland.

A kiedy Zbyszek Młotek zaproponował wypad na zabawę do elektryków, Książę Nocy oświadczył, że nie ma ochoty.

– Nie idziesz? – zdziwił się Zbyszek Młotek. – Będą tam fajne pikieciary, dżez, w ogóle...

Też zdziwiłem się jego odmową. Lubił chodzić z nami na zabawy i imponować bikiniarcom znajomością rodzajów dżezu, życiorysów gangsterów typu Al. Capone i historyjkami z Dzikiego Zachodu. Dziewczyny zaś najchętniej wypytywały go o kariery sławnych aktorek z Hollywood. Wtedy to mrugnął do mnie Książę Nocy za plecami Zbyszka Młotka. Tak mi się przynajmniej zdawało. Więc również odmówiłem. Zbyszek Młotek sam wybrał się na tę zabawę do elektryków.

Książę Nocy po jego odejściu długo świdrował mnie swoimi gorejącymi oczyma.

– Do ciebie tylko mam zaufanie – powiedział z naciskiem. – A sprawa jest najwyższej wagi.

I tak oto zostałem wyróżniony. Zbyszka Młotka nie chciał wziąć ze sobą. Zostałem współnikiem. Tak wyraźnie powiedział. Wspólnikiem. O zmroku wybraliśmy się na Marymont. Kluczyliśmy wśród parterowych domków i gołębników. Wreszcie Książę Nocy zapukał w okienko wpadniętej w ziemię drewnianej rudery. W szynie zamajaczył jakiś cień. Uchyliły się drzwi. Książę Nocy rozmawiał w progu z kobietą. Stałem w pewnej odległości z poleceniem baczenia na wszystko wokół. Stamtąd pojechaliśmy na przeciwległy kraniec miasta, aż w pobliże Wyścigów Konnych. Idąc polami dotarliśmy do ogrodniczego gospodarstwa. Tam również pozostałem pod domem. Książę Nocy sam poszedł załatwiać swoje intrygujące interesy. Wrócił z paczką. Gładził ją z upodobaniem i powtarzał: – Zbliżamy się do finału. – Zrobiliśmy mały odpoczynek w barze „Pod Setką”. Po wyjściu z niego rozpoczęło się najbardziej zagadkowe kluczenie po mieście. Jechaliśmy tramwajem do Dworca Głównego, żeby tam przysiąść się do innego, w przeciwnym kierunku. Wysiedliśmy na przystanku po drugiej stronie Wisły i szliśmy długi czas parkiem. Na Targowej znów wsiedliśmy do tramwaju. Wysiedliśmy przy Kijowskiej. Ostatni odcinek drogi przybyliśmy piechotą na tyłach kolejowych domów, o ciągnących się wzdłuż ulicy. Ta nocna wyprawa wydawała mi się nierealna jak we śnie. Unikaliśmy ludzi i kiedy posłyszeliśmy jakieś głosy lub kroki, ukrywaliśmy się w bramach. Za Dworcem Wschodnim rozpościerały się łąki. Tutaj Książę Nocy zachował się bardzo niespokojnie. Przychyleni do ziemi dotarliśmy do rowu przy nasypie kolejowym. Przed nami światła dworca. Gwizd parowozu, stukot kół pociągu. Pobliskim torem przetoczył się pociąg towarowy. Pod jego osłoną, nie widziani z drugiej strony toru, przebiegliśmy do pokrytego brezentem stogu siana.

– Jurek – zaszeptał Książę Nocy.

Cisza. Tylko oddalający się łoskot pociągu.

– Jurek – powtórzył.

Wtedy tam w głębi, pod brezentem coś zaszeleściło i wysunęła się ręka. Książę Nocy z uszanowaniem uściskał tę rękę. Następnie podał paczkę. Coś jeszcze szeptał. Lecz nic nie słyszałem. Najbardziej zapamiętałem tę wysuniętą rękę, doskonale widoczną w świetle księżyca. Kiedy już wracaliśmy stamtąd, spokojni i rozluźnieni, Książę Nocy powiedział, kto ukrywał się w stogu siana pod brezentem. Był to słynny bandyta N.

– Mój dawny druh... Znaczy z mojej szkoły, rozumiesz?

I nie wiem. Prawda to czy nie. A jeżeli chodzi o paczkę, to podawał dwie wersje jej wartości. Według drugiej tylko wałówka i naboje do rewolweru.

– Wystrzelał już z tej swojej pukawki dwa magazynki – powiedział Książę Nocy i uśmiechnął się krzywo.

Raz mówił tak, raz tak... Migot niesprawdzalny. O tej historii z ręki nikomu nigdy nie wspominałem. Dałem słowo i tajemnicy tej wiernie dochowałem. I nie dziwiłem się już zbyt niczemu. Bywałem przecież przy swoim mistrzu na rozmaite wystawiany doświadczenia. Dla zahartowania odporności, tak to nazwał, komplet sztuców srebrnych z domu wyniosłem, sprzedaliśmy w spółdzielni „Orno” na Bagnie. Później polecił mi szantażować tego łysego pedała w Fotoplastykonie. Ale to była przecież domena Tońka z pikiety i nic mi z tego nie wyszło.

– Milicja, milicja! – zaczął wrzeszczeć ten łysy, obleśny. Ledwie zdążyłem uciec z podwórza pułapki, dozorca już wyskoczył do bramy.

Książę Nocy chwalił mnie i wróżył wspaniałą przyszłość.

– Ja też tak zaczynałem – powiadał.

Nie interesowały go zresztą efekty moich poczynań, jedynie ruch, działanie, zmienność, pointy niezależne od rzeczywistości sam przecież wymyślał. W jego imaginacji wszelkie drobne historyjki rozrastały się do rozmiaru niebywałych afer, a ja dzięki temu chrzest swój otrzymałem. Mianował mnie swoim adiutantem. Miałem oczywiście w tym czasie swoje wahania i wątpliwości. Wynikały z domowego wychowania, z tradycyjnych pojęć dobra i zła, które we mnie przez lata wpajano, ostro zaznaczając granice między tymi pojęciami. Tu natomiast, w tym terminie przy Księciu, wszystko gmatwało się, zacierało, falowało i ileż to razy dobrano było złem lub odwrotnie. Nieraz wydawało mi się, że wyzywamy jakieś ciemne moce, a mój mistrz szatanem jest po prostu. Bałem się więc i pamięć przywodziła wizje czyścica i piekła. Tak rozmyślałem omijając ludne, oświetlone ulice. Jednak były to wątpliwości najbardziej sekretne, nawet sam nieczęsto zdawałem sobie z ich istnienia sprawę i za dnia, spotykając się z chłopakami na pikiecie, nikomu o tym nie wspominałem. A to wyzywanie złych mocy jeszcze bardziej chęć zanurzania się w tym Nieoczekiwanym powodowało. Dlatego też maską cynicznego i twardego bywalca co sił starałem się imponować swemu naiwnemu koledze z przedmieścia, Zbyszkowi Młotkowi.

– Niedługo zaczniemy prawdziwe afery – powiadałem, naśladowując minę Księcia Nocy.

– Jakie? – pytał Zbyszek Młotek.

– Zobaczysz – odpowiadałem zagadkowo.

Miewałem więc te chwile słabości. Pamiętam, zobaczyłem wtedy na ulicy kolegów ze swojej gimnazjalnej klasy. Szli całą grupą, prowadził ich nauczyciel wf. Pewnie do muzeum czy gdzieś. Ukryłem się za tablicą ogłoszeń i patrzyłem na nich. Władek, Trakul, Rysio, Wasiak, czyli Rudy Ney, jeden z napoleońskich marszałków, Kopyto, Janek Bulldog. Roześmiani. Pokrzykiwali i stroili błazeńskie miny za plecami nauczyciela. Nauczyciel obejrzał się i popatrzył na nich surowo. Zastygli w obłudnej grzeczności i posłuszeństwie. Patrzyłem na nich i zazdrościłem im. Była to tęsknota do spokojnego, uregulowanego życia. Choć równocześnie tak patrząc na oddalających się szkolnych kolegów znowu odbyłem pierwszą ucieczkę z domu. Wzruszyłem się nawet. Był to bowiem dla mnie pierwszy sygnał śródmieścia. Miałem wtedy siedem lat. Dostałem lanie od matki i obraziłem się. Postanowiłem opuścić dom rodziców. W chlebak zapakowałem bochenek chleba, smalec, kilka główek cebuli i ulubioną w tamtym czasie książkę, *Młody jeniec indyjski*. Udałem się zwirową drogą wzdłuż szyn kolejki EKD w stronę Szczęśliwic. A więc w stronę śródmieścia. Był letni, parny wieczór, zanosilo się na burzę. Nie wiedziałem, dokąd zamierzam pójść, szedłem tylko. Początkowo czułem się bardzo pewnie i z niejaką złośliwością wyobrażałem sobie niepokój rodziców, coraz bardziej nerwowy głos matki, która powtarza: Co się z nim stało? Kiedy doszedłem do Szczęśliwic,

niebo zaczęły rozrywać zygzyki błyskawic i rozpętała się burza. Potężniała kanonada grzmotów. Przestraszyłem się. Poczułem się maleńki jak drobina i zupełnie bezbronny. Grzmoty i błyskawice osaczały mnie zewsząd. Czasem w ich świetle pokazywał się krzyż przydrożny. Takim nagłym blaskiem na chwilę odsłonięty. I znów znikał w czarnej ciemności. Ogarnęło mnie przeraźliwe poczucie samotności w groźnym świecie. Zawróciłem i ścigany grzmotami i błyskawicami pobiegłem do domu.

– Niedługo zaczniemy prawdziwe afery – twardo powtórzyłem Zbyszkowi Młotkowi.

Przyśpieszyliśmy kroku. Nie było już śladu po gimnazjalnych kolegach ani pierwszej ucieczce z domu.

Był to czas, kiedy Księżę Nocy medytował nad czymś intensywnie i co dzień śpieszył do Biblioteki Publicznej. W swoje lektury nie wprowadzał mnie i ja go oto nie pytałem. Więc Księżę Nocy zajęty i my czekaliśmy na jakikolwiek znak od niego.

– Czekajcie! – rzucał w roztargnieniu wychodząc ze swojej bramy, ozdobionej kamiennymi figurami tytanów, i mijał nas obojętnie obładowany naręczem książek, zaniedbany i zarosnięty na policzkach czarną szczecina, wśród której pobłyskiwały już srebrzystości siwizny. Nigdy nie zastanawiałem się, ile miał lat, znacznie przecież starszy od nas, ale tej różnicy nie odczuwałem wcale.

Był to więc urlop swoisty, a ponieważ pikieta nudziła mnie już, wróciłem na swoje przedmieście i znowu spotykałem się z przyjacielem od książek i marzeń. Jeden był taki od lat i wiele wieczorów i niedzielnych spacerów spędziliśmy na rozmowach o sensie życia, celach nadrzędnych, literaturze, żywotach wybitnych mężów i podróżach. Pamiętam, często siadywaliśmy pod wierzbą rozłożystą, której opadające gałęzie tworzyły przestronny szałas, i popisywaliśmy się, swoja erudycją

Przyjaciel wygłaszał wykład o Anatolu Fransie, a ja o Flaubercie lub Maupassancie. Jego wyobraźnię zaprzętała najbardziej fanatyczna pracowitość Flauberta, Flaubert to olbrzym, który wycina las, żeby zrobić pudełko zapalek – cytował z emfazą zdanie Turgieniewa. A ja wyraziście przedstawiałem posępne życie Maupassanta, nękanego atakami szaleństwa lub zabijającego strach i pustkę hucznymi orgiami na jachcie „Bel Ami”. Z tego powodu słowo „syfilis” wymawiałem nabożnie, widząc w nim groźbę jakąś magiczną, przekleństwo losu, wyrok opatrności. W tym już chyba występowała dość zasadnicza różnica między nami. Mój wielki, o niedźwiedziowatych ruchach przyjaciel oddzielał się od życia grubą kotarą w swoim pokoju, książkami i algebrą, którą zabawiał się dla przyjemności. A ja znów niczym psiak niecierpliw uganiałem się po fortach i wysiadywałem z węglarzami nad glinianką, ucząc się przedmiejskiej, brutalnej sztuki życia. Często z pewną złośliwością wciągałem mego przyjaciela w rozmaite pułapki, zmuszałem do picia wódki i wina, namówiłem do wyniesienia z domu drzeworytów Stryjeńskiego i huculskiego kilimu, prowadziłem do meliny Trzech Sióstr, prostytutek. Jego matka, hodująca swego jedynaka w cieplarnianej atmosferze, nie znosiła mnie żywiołowo i jak tylko mogła, tak strzegła go przede mną. Wtedy literatura, życiorysy wybitnych ludzi i podróże stanowiły fundament naszej przyjaźni i wcale nie przeszkadzało nam, że obok pod taką samą wierzbą pili i wrzeszczeli furmani, tragarze. Wróciłem na swoje przedmieście i poszliśmy z przyjacielem według starego zwyczaju na daleką przechadzkę. Słuchałem jego wywodów o czymś, co ostatnio fascynowało go najbardziej, być może o wielkim matematyku Gaussie, tak, na pewno Gauss. Słuchałem dosyć obojętnie, z chłodnego dystansu patrzyłem na przyjaciela, potakiwałem i wtrącałem zdawkowe uwagi, ale myślałem o czymś innym. Myślałem o swoich ostatnich doświadczeniach i jego świat wydał mi się ubogi, wtórny, mój zaś pulsujący dynamizmem i pochłaniający jak wzburzona rzeka. Doszliśmy do ulicy Składowej, usiedliśmy pod naszym drzewem. Spróbowałem powiedzieć przyjacielowi o tym wszystkim, co tak mi zaprzętało głowę, o chłopakach z pikiety, pedałach i Burmistrze, a przede wszystkim o Księciu Nocy i tej dziwnej zabawie z życiem, którą uprawiał. Teraz z kolei mój przyjaciel był głuchy i obojętny. Przytakiwał jedynie z mechaniczną

grzecznością. Ogarnęła mnie złość, niechęć do niego. Wydał mi się ślepym kretem, zagrzebanym w swej przytulnej ziemnej kryjówce. I wtedy zauważyłem obok nas na trawie zakrwawioną watę. Taką odrażającą watę, jakiej używają kobiety podczas swych krwawych dni. Patrzyłem na ten krwawy kłęb. Uśmiechnąłem się zdradziecko. Już wiedziałem, co uczynię. Ostrożnie przez chusteczkę podniosłem tę watę. Przyjaciel perorował o czymś z przejęciem i nic nie widział. Wykorzystałem chwilę, kiedy spojrzał w bok, i wsunąłem zręcznie ten krwawy kłęb pod pagon jego płaszcza. Zakwitł krwawą plamą na tle zielonego płaszcza. Zaśmiałem się głośno.

– Popatrz! – przerwał mu wywód i wskazałem to miejsce na jego barku tak ozdobione. Urwał w połowie zdania i patrzył zmartwiałym wzrokiem na to miejsce pod pagonem. Zerwał się i wydając dziki okrzyk zakręcił się dokoła w jakimś szaleńczym tańcu. Szarpnął za pagon. Wata spadała. Śmiałem się coraz głośniej. W ten krwawy strzęp tylko. Straciłem przyjaciela. Odchodził długimi krokami, prawie biegł. Było to swoiste pożegnanie małego świata mego przedmieścia, glinianek, carskich fortów, cegielni i domku hycła.

Wróciłem na śródmieście. Książę Nocy był znowu czynny. Poinformował nas, Zbyszka Młotka i mnie, że siedział zagrzebany po uszy w heraldyce, dlatego te wypadki do biblioteki właśnie, rody, koligacje, tytuły, drzewa genealogiczne. Badał pokrewieństwo z kimś tam, kto go ostatnio bardzo interesuje z rodzinnych powodów, i chętnie na bibułkowych serwetkach kreślił herby rozmaite, pola z wieżami, buzdygany, korony, końskie głowy, ptaki i miecze, przeróżne Śreniawy, Pomiany, Leliwy, Nałęczce i Rawity. I wybraliśmy się we trójkę do cerkwi. Nieśmiałe pytanie Zbyszka Młotka, w jakim celu tam idziemy, Książę zbył niezrozumiałym burknięciem.

To wejście do praskiej cerkwi tajemnicze, wyprawa w przeszłość, Bizancjum, dwór wschodniego basileusa, grecki alfabet i anachoreci z góry Atos. Takie miałem skojarzenia. Złocone ikony, chór diaków, basowe potężne głosy, ciemność i dziwność. Pochylony bogobojnie Książę Nocy. Ogłupiały Zbyszek Młotek. Cienkie świece wtykane przez wiernych w piasek. I ciągle ten chór potężnych głosów. Książę Nocy pada na posadzkę. Szepcze coś żarliwie. Wstaje i kreśli się znakiem prawosławnego krzyża. Pilnie wpatruje się w brodatego popa, odprawiającego liturgię przed bogato zdobionym ikonostasem. Błyszczą srebra i złote blachy.

– Dlaczego? – z ust Zbyszka Młotka wyrwało się to słowo.

– Modłę się – odparł z powagą Książę Nocy.

– Po co? – znów Zbyszek Młotek.

– Żebyś się coś przydarzyło – ciągle z tą samą powagą, wcale nie błazeńską, Książę Nocy.

Tak staliśmy otoczeni obcą, odmienną atmosferą modłów, śpiewów i liturgii. Migotały ze ścian świątyni litery greckiego, jak hieroglify troche, alfabetu. Patrzyli z góry bizantyjscy świeci o wąskich, surowych twarzach i zmysłowych, czerwonych ustach. Posmakowałem w tym wschodnim, cerkiewnym nastroju. Mrok tego wnętrza, rozjaśniony złotem i purpurą ozdób, sprzyjał swobodnemu rozhasaniu wyobraźni.

Bo wtedy właśnie złapałem ten sposób. Mówię: sposób, gdyż trzeba to jakoś rozpocząć, mieć klucz. Zanurzony w falach imaginacji, wspomaganej przez chór diaków, pojąłem wtedy ostatecznie, jak należy spowijać, osnuwać, zacierać lub zaostrzać, po prostu nadawać dowolny kształt rzeczywistości. Ciąg rozmaitych przypomnień i przewidywań, jedne dokładne jak realistyczne malowidła, inne plamami tylko jaskrawymi lub umownymi symbolami odtwarzały przeszłość w nowym kształcie, nadawały ciągle inny, migotliwy jak te świece w piasku kształt terażniejszości, a również przeczuwały przyszłość. Słodka idylla o podpatrywanych w dzieciństwie kobietach, zupełnie nie znany dotąd, świeży smak dawnych przygód na fortach, wreszcie, co najważniejsze, ten niejasny, a jednak porywający kontur przyszłości. Nic w tym nie było konkretnego, pełno tylko intrygujących sygnałów. Znów racja była po stronie Księ-

cia Nocy. Dzięki niemu sam już mogłem dawać sobie radę z życiem, lepić i zabarwiać na własny, wyłączny, niepowtarzalny sposób.

I z przyjemnością wdychałem woń kadzidła, które spowijało dymną otoczką popa i pochylonych nabożnie wiernych. A Zbyszek Młotek gwałtownie opuścił cerkiew. Z zaciętą twarzą przeciskał się między ludźmi do wyjścia. Czekał na nas na dziedzińcu. Zadzierał głowę i spoglądał na baniaste kopuły, pokryte błyszczącą blachą. Potem opuścił głowę i spojrział na lewo. W stronę pomnika, gdzie zbierała się praska pikiet.

Była to msza żałobna – rzekł Książę Nocy – czyli panichida.

Zbyszek Młotek wytrzeszczył na niego niebieskie, prostoduszne oczy. Wzburzył się i wykrzyknął: – A po co nam to wszystko?!

– Taki nastrój – odparł spokojnie Książę Nocy – budzi inwencję, sprzyja pomysłom, odmiennosc poszerza horyzonty, rozumiesz, wszystko nie miało uroku przy znanym nam obywatelom łacińskim w zwyczajnym kościele.

Zbyszek Młotek nie słuchał. Patrzył w stronę pomnika. Ruch tam. Podniesione głosy. Gwizd. Śmiechy. Stoją chłopaki na praskiej pikiecie. Proste, normalne życie. Stoją i czekają.

Msza, a potem świętokradztwo – zażartował już zwyczajnie Książę Nocy.

– Pójdę do chłopaków – burknął Zbyszek Młotek nie patrząc na nas. Odszedł.

Odszedł więc, ale czasami wracał. Nieraz mówił o Księciu Nocy z uniesieniem, ciągle żywcem.

– Przy nim żadnych widoków dla mnie nie będzie. Zgrywus z niego i picer. Co on wygaduje! Wyciśniesz to i nic nie zostaje w garści. – Wreszcie kwitował rozterkę ulubionym swoim powiedzeniem: – Dwa rajskie ptaki i chuj do sraki.

Książę Nocy natomiast pogodził się z jego odejściem dosyć łatwo.

– Istotnie, ciężki umysł – stwierdził obojętnie. – Wielu takich nieraz już odchodziło ode mnie. Nie wytrzymali ciśnienia. – Był raczej zadowolony.

Więc Zbyszek Młotek odszedł, ale czasami wracał. Tęsknił za czymś, nie umiał tego wyrazić, czegoś mu brakowało, przychodził wtedy do nas i był gotowy na każde skinienie Księcia Nocy. Wierzył wtedy i przeżywał najbardziej nieprawdopodobne historie, którymi raczył nas w obfitości niewyczerpanej nasz mistrz. Nie narzekaliśmy na nudę i nawet często czasu nam brakowało. Książę Nocy powiadała kokieteryjnie: – Tyle na głowie... Jak człowiek zdąży to pozająlatwić? – I uśmiechał się wesoło.

Oto stoimy przed rudera na ulicy Wielkiej, gdzie wkrótce wznosić zaczyna Pałac Kultury i pojawiają się już spychacze i ruscy fachowcy. Stoimy tam i gorączkowo rozglądamy się za jakąś taksówką. Spiesz się nam.

Znajomy dorożkarz strzela z bata i uśmiecha się przyjaźnie do Księcia Nocy. Też fantasta i rymem kropi niezwykle bajdy w „Mercurym”, knajpie starych dziwek i dorożkarzy. Książę Nocy lustruje jego chabetę, ozdobioną czerwonymi pomponikami na łbie, i marszczy z dezaprobatą czoło.

– Czy ten wierzchowiec da radę klusem? – pyta.

– Dlaczego nie – uśmiecha się wachał dorożkarz – dla szanownego pana wszystko.

Wsiadamy. Okłada dorożkarz kościsty zad szkapy. Książę Nocy wrzeszczy dziko: – Hajda, trojka! – Pędzimy Alejami Jerozolimskimi, budząc śmiech przechodniów. Szkapa ustaje i utyka.

– Do końca, sałato, musisz z fantazją! – mówi Książę Nocy.

Gdzieś przy skwerze na placu Starynkiewicz zatrzymujemy się. Koń wypoczywa, żeby nabrać sił przed końcowym akordem, czyli podjazdem pod hotel „Polonia”. Tam, pod hotelem, czekał na nas „obiekt z prowincji”, jak określił tego człowieka Książę Nocy. Ten „obiekt” ledwo zdążył uskoczyć. Szkapa postarała się nad stan i w tym ostatnim galopie rozbryzgała wielką kałużę. Wypadki toczyły się z szybkością diabelskiego młyna. Ten z prowincji, ogłuszony kaskadą wymowy Księcia Nocy, jego koneksjami i możliwościami, hojnie fundował

wystawną ucztę. Pamiętam te uczyty bardzo dokładnie. Dopiero przy Księciu przecież poznałem wnętrze drogich lokali i wytworne hotelowe koktajl – bary z dyskretnym przyćmionym światłem. Książę Nocy uwijał się w tym żywiole sprawnie i z orientacją imponującą. Na początku skupiony i czujny jak zwykły hochsztapler, naciągacz, w rodzaju tych, co niegdyś Kolumnę Zygmunta czy tramwaj sprzedawali naiwnym, od razu dogadywał się ze znajomymi dziewczynami (choć one z reguły niechętnie przyjmowały jego propozycje, obawiając się nieprzewidzianych dróg jego wyobraźni), dbał troskliwie o stół, był nie byle jakim koneserem potraw i napojów, przystawki, białe wino i pieczone, mięsa i czerwone wino, sypał nazwami francuskich trunków, wachał i smakował, olśniewając do reszty nafaszerowanego forsa prostaka. Zabawa rozwijała się hucznie i wesoło. Książę Nocy wołał: – Szampana! – Dziewczyny popiskiwały. Kelner wysuwał szyjkę butelki otulonej białą serwetą i strzelał korkiem. Jednak największą dla mnie przyjemnością była zawsze próba uchwycenia tego momentu, kiedy Książę Nocy odchodził od rzeczowego, cwanego realizmu w coraz bardziej zamglone, oderwane od ziem sfery. Niepotrzebny mu był stan alkoholowej euforii, mógł być zupełnie trzeźwy i kipiąc energią, fantazją, dawał się ponosić coraz dalej od rzeczywistości, dość banalnej sytuacji przy biesiadnym stole. Mógł to być na początku podstępny ciąg pytań, mający na celu wysondowanie zasobów kieszeni fundatora. Jeszcze chwila i Książę pogardliwie porzucał przyziemne konkrety, zaczynał interesy na większą skalę, fundator miał dać kapitał, Książę Nocy zajmie się lokatą tego kapitału, rodzaj interesów przedstawiał się nieobliczalnie raczej, mogła to być wytwórnia fałszywych banknotów albo nielegalna drukarnia, bijąca opozycyjną prasę. Fundator stawał się w takich razach coraz bardziej niespokojny, wiercił się i rzucał płochliwe spojrzenia wokół. Wreszcie pod jakimś pretekstem uwalniał się od naszego towarzystwa.

– Czy rachunek zapłacony? – pytał machinalnie Książę Nocy. Nad tym zawsze czuwał. Pozbawiony swojej ofiary, dalej bawił się doskonale i mnie wyznaczał poważną rolę w swoich przedsięwzięciach. Były to przeważnie zamki na lodzie, ale obaj podchodziliśmy do sprawy rzeczowo niczym fachowcy.

Ta walizka z kolorowymi nalepkami na środku pustej tego ranka dworcowej hali. Byliśmy wtedy we trójkę. Towarzyszył nam Zbyszek Młotek. Już porządnie zmęczeni całonocną wólczą – długi czas spędziliśmy z robotnikami, którzy przestawiali tramwajowe tory, i grzaliśmy się przy koksowym piecyku – dotarliśmy na dworzec. Ledwo pchnęliśmy drzwi i znaleźliśmy się w środku, Książę Nocy ścisnął mnie za ramię.

– Tam! – szepnął.

Przesunąłem spojrzeniem po pustej hali i nic szczególnego nie zauważyłem. Grupka ludzi przed rozkładem jazdy. Senne babiny w chustach siedzą na tobołkach. Kasjerka w okienku uśmiecha się zalotnie do marynarza. Pijany pogrążony w rozmowie sam ze sobą. Nic więcej.

– Patrz tam! – powtórzył Książę Nocy i wskazał środek hali. – Towar – dodał.

Tym razem moje spojrzenie zatrzymało się na wielkiej walizie z kolorowymi nalepkami. Dalej nie rozumiałem powodu podniecenia Księcia, który popychał mnie niecierpliwie w tamtą stronę. Szeptał o jednej, niepowtarzalnej okazji.

– Nawet nie masz pojęcia, co tam jest.

Jego podniecenie udzieliło się mi również. Już nie spuszczałem wzroku z tej walizy. Czyją jest własnością? Czy tego mężczyzny w skórzanym płaszczu, który zapalał akurat papierosa? Może właścicielem ten podążający do restauracji? Niecierpliwa ręka Księcia Nocy wprowadzała mnie w posłuszny trans. Krok po kroku zbliżałem się do walizy. Równocześnie czułem bezsens swego postępowania. Nie mogłem jednak powstrzymać się. Pochyliłem się i już sposobie do uchwycenia palcami gładkiej lakierowanej rączki. W ostatniej chwili z pomocą przyszedł Zbyszek Młotek. Jego zdrowy rozsądek właśnie. Brutalnie odepchnął mnie od tej walizy i powiedział wzburzony głosem: – Zgłupiałeś! Przecież poruta ze wszystkich stron! – Otrzeźwienie, i naprężone mięśnie rozluźniły się. Wyobraziłem sobie ten krzyk: –

Złodziej! Złodziej! – i ludzi którzy mnie osaczają. Wsunąłem niedbale ręce do kieszeni po woli, spacerowym krokiem oddaliłem się od tej pułapki. Jeszcze przez chwilę dzwonił mi w głowie głos Księcia Nocy, który popychał mnie do tej wielkiej czarnej walizy z kolorowymi nalepkami. Zupełnie jak w barze „Przystanek”, kiedy kierował mną w rozgrywce z pedałem w złotych okularach. To był ten jego magnetyzm. I brzmi to również niewiarygodnie, ale kiedy Książę Nocy spojrział na mnie z wyrzutem, zawstydzilem się i milczałem, choć logika była przecież po mojej stronie.

– Załamałeś się. Zabrakło odwagi i zimnej krwi – powiedział, a widząc moją zakłopotaną minę, dodał łaskawie: – Nie przejmuj się. Jeszcze nic straconego. Zahartujesz się wkrótce.

Tego samego dnia odwiedziliśmy jego przyjaciela z dawnych czasów, Mietka Kurdziela. Mieszkał on w praskim zaułku przy gołębim targu, był starym cynkarzem przedwojennych urków. Polowanie na walizkę przedstawił Książę Nocy jako zmarnowaną szansę, jednak ze mną obszedł się w tej relacji dla przyjaciela nader lojalnie, mówiąc: – Nie wyszedł skok, za dużo psów! – I od razu w jego opowieści ścigali nas tajniacy, tylko zimna krew i odwaga uratowały od wpadki. Padły nawet strzały.

Ten stary cynkarz słuchał obojętnie. Książę Nocy żywił do niego szczególny sentyment i później odwiedzaliśmy tego emeryta złodziejskich wypraw jeszcze nieraz.

Z bełkotliwej, urywanej mowy cynkarza, który ożywał się tylko na widok wódki, zorientowałem się, że mieszkali niegdyś w jednej kamienicy. Tylko mój Książę był synem doktora, cynkarz zaś lokatorem w suterenie. Zaciekawiony próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej, ale Książę Nocy zbył mnie milczeniem. Stary cynkarz wpatrywał się apatycznie w pustą już flaszkę. Obserwowałem jego nieruchomą, pomarszczoną twarz. Wyglądała jak mapa przeszłości. Chłonałem jego mowę, pełną lapidarnych, często niezrozumiałych określeń, złodziejską minę. Już wtedy poznałem kilku doliniarzy z Annopola i najbieglejszy z nich, malutki i ruchliwy jak pchełka Plebaniaczek, odślaniał mi arkana swego zawodu.

– Styja – tłumaczył – od tylca znaczy... A za parkanem...

Posuwałem się tym tropem, na razie z wahaniem i po omacku, ale już odślaniały się inne perspektywy, wystawki i meliny, klawisznicy i ci, co pracują na bombę, złodziejskie dynastie na Zaciszu. Ta jazda z Plebaniaczkiem w zatłoczonym tramwaju, kiedy demonstrował swój kunszt, wsuwając lekkie i chwytnie palce do cudzych kieszeni, wyłuskując stamtąd portfele i portmonetki, powtarzając przy tym nieustannie jak konduktor: – Proszę przesuwać się do przodu, proszę przesuwać się do przodu! I mrużą porozumiewawczo swoje czarne, ostre jak szpilki oczy.

Stary cynkarz Kurdziel zastukał koślawym palcem w stół.

– Pan doktor – wymamrotał – to był git człowiek... Leczył darmo. A jak mamusia, znaczy pani doktorowa? – zwrócił się do Księcia Nocy.

Był taki w tamtych latach lokal, „Metro”, wiecznie zatłoczona knajpa, składająca się z dwóch salek, pierwszej, gdzie piło się na stojąco, i drugiej, wyższej, dokąd prowadziły trzy schodki, tam siedziało się przy stołach. Często odwiedzaliśmy „Metro”. Książę Nocy był postacią popularną wśród stałego towarzystwa pierwszej salki, jak się mówiło, dla ubogich. Towarzystwo to składało się z drobnych naciągaczy, włóczęgów i alkoholików. A mój mistrz naprawdę był tutaj Księciem. Witały go oczy pełne podziwu i gapiowato rozchylone usta. Tu więc najchętniej puszczał wodze swojej fantazji. Uwielbiał tę atmosferę ciszy, która nagle ogarniała huczną dotąd salkę. Tylko jego głos i syk ciśnienia w gumowym wężu połączonym z beczką piwa. Posuwał się nawet do tego, że stawiał wódkę, zyskując już zgoła bezgraniczną wdzięczność słuchaczy. Ale my wszyscy i bez tego słuchaliśmy chciwie, stłoczeni jak śledzie, w paltach zakisłych od wilgoci, pijąc z musztardówek wódkę, zagryzając wyschniętym śledziem czy salcesonem, brudni i otepiali: wciągaliśmy się z ochotą w świat bajek tęczowych o Paryżu, Capri czy Lazurowym Wybrzeżu, Mulatkach i wyrafinowanych Annamitkach lub o afrykańskim safari, które odbywał z flegmatycznymi lordami. Słuchaliśmy z dziecinną chci-

wością, jaką się ma zawsze do dalekich podróży i nieznanych krain; wdzięczni byliśmy za ten potok słów orzeźwiający, który pozwalał wyobraźni choć na krótką chwilę w inny obszar pozełgować swobodnie. Ja, przecież już tak bardzo osłuchany, a też ciągle świeżo, naiwnie tych bajek wysłuchiwałem. I wujek mi się często przypominał. Stary, siwy wujek z lat okupacji, który jeździł z rąbanką ze wsi do Warszawy. Byłem wtedy na tej wsi i w letnie południe odprowadziłem wujka do stacji. Rzucił swój worek na ziemię i ułożył się w cieniu pod uległą. Mała, senna stacyjka. Kolejowe szyny błyszczały. Przy torach stały słupy telegraficzne i przycisnąwszy ucho do jednego z nich wsłuchiwałem się w nieustanną, tajemniczą wibrację. Wtedy wyobraziłem sobie dalekie podróże wujka. Mówili przecież o nim, że przechodzi z Generalnej Gubernii do Rzeszy. Mówili o zielonej granicy. Wreszcie świst parowozu i obłoczek dymu nad lasem przerwał to moje wraz z wujkiem przemykanie się tajnymi ścieżkami przez granicę.

Podczas tych oratorskich występów Księcia Nocy niekiedy pojawiała się jego matka. Taka staruszka bardzo już pochylona wiekiem, w wytartym płaszczu ozdobionym równie wytartym wyrudziałym fokowym kołnierzem, wspierająca się na bambusowej lasce, o drobnej, pomarszczonej jak pieczone jabłko twarzy i spokojnych, życzliwych oczach. Tak pojawiała się w tej knajpie „Metro” jak dobry duch.

Wtedy siedzieliśmy w drugiej, lepszej salce. Tam również bywaliśmy, zapraszani przez znajomych Księcia Nocy z innych, wyższych sfer. Byliśmy w towarzystwie dwóch dziennikarzy, których od dawna już omamił Książę Nocy ogromem wiedzy o mętym podskórnym życiu wielkomięskiego półświatka. Był też jego kolega z powojennych, studenckich czasów; surowy, skupiony mężczyzna z metalowym znaczkiem w klapie, przedstawiającym wizerunek Stalina. Piliśmy wódkę. Dziennikarze coś bełkotali o „Smaragdowym Mercedesie”, taki tytuł upatrzili sobie dla opowieści Księcia Nocy o potężnej bandzie przemytników. Książę Nocy raczył ich obficie rozmaitymi dintojami przestępczego świata i śmiałymi napadami na sklepy i komisy. Umiejętnie wmieszał w to Piękną Itę, jako kochankę szefa bandy, a jednocześnie szczególnie perfidnego szpicla na usługach policji. Taką swoistą Mata Hari z niej uczynił. Mścił się za jej obelgi w ten sposób. Nieraz już zauważyłem, że tak właśnie rozliczał rozmaite swoje rachunki krzywd i upokorzeń.

– Jeszcze coś politycznego musi być – domagali się dziennikarze – jakiś szpieg przerzucony z Zachodu albo groźny wróg tutejszy.

Książę Nocy szerokim gestem wskazał na tego, co miał Stalina w klapie.

– To już jego domena – skrzywił się złośliwie. – Jak to się mówi obecnie? Aha! Specjalność pol. – wych. ...

Ten ze Stalinem w klapie milczał. Jego twarz nie wyrażała nic. Pił równo z nami, ale śladu picia też po nim nie znać wcale. Tylko na mnie spoglądał karcąco, kiedy sięgałem po kieliszek.

– Za młodzi jesteście, kolego! – nie wytrzymał wreszcie.

Wzruszyłem ramionami i zaśmiałem mu się w twarz. Drażnił mnie jakoś. Taki sztywny, opancerzony i jakby wszystko potępiał.

A uznanie żurnalistów dla opowieści Księcia Nocy skwitowałem pogardliwym: – Śmierdzi tu kiczem!

– Być może. Jednak kicz prawidłowy politycznie – rzekł Książę Nocy i popatrzył na niego z leciutką ironią. Następnie zaczął wyliczać: – Były ziemianin – szef bandy. Dawny policjant granatowy jego pomocnikiem. Meliny u kułaków. Okupacyjny szpicel paserem. Jeszcze może być jakiś syn fabrykanta, coś w tym rodzaju. Czy zły dobór osób?

Ten ze Stalinem w klapie znów milczał. Żurnaliści skrzętnie zapisywali w notesach zasłyszane od Księcia historyjki. Książę Nocy, podrażniony w swojej ambicji demiurga, wpatrzył się zaczepnie w tego ze Stalinem w klapie.

– A z tobą – zaczął dobitnie – mogę przedyskutować problem wolności prasy u wczesnego Marksa...

Rozpętała się dyskusja, z której niewiele rozumiałem. Zadziwiła przed wszystkim nieznana mi dotąd sfera wiedzy Księcia Nocy. Padały cytaty, nazwiska, tytuły książek. Ten ze Stalinem w klapie rozgrzał się niezwykle. Jak się zorientowałem, w ciężkich znalazł się opalach w szermierce słownej z tak wytrawnym przeciwnikiem. Właściwie zażarcie bronić musiał swoich pozycji. Aż wciągnięty został niespodzianie w jakąś pułapkę i Książę Nocy zawołał triumfalnie: – Widzisz? Sam się do tego przyznałeś!

Ten ze Stalinem w klapie spochmurniał.

– Wybująły z ciebie okaz – powiedział patrząc na Księcia Nocy spod grubo nawisłych brwi – wybująły, dekadencji okaz mieszczańskiego indywidualizmu.

– Pamiętasz Schopenhauera? – pytaniem odpowiedział Książę Nocy.

Bzdura i zgnilizna – skrzywił się ze wstrętem ten ze Stalinem w klapie. – Takie młodzieńcze, ślepe zachwyty. – Ale twarz jego złagodniała nieco.

Szkoda mi ciebie – zaczął Książę Nocy i westchnął z teatralną afektacją. – Szkoda... – powtórzył. Chciał mówić dalej.

Wtedy właśnie przy naszym stoliku pojawiła się jego matka. Dla mnie było to niezwykle. Ta jej cierpliwość bez granic, kiedy próbowała wyciągać go z knajp i barów. Narząła się na obelgi i padała ofiarą jego kreacyjnych sztuczek.

– Odejdź, wszetecznic! – wołał biblijnym stylem. To znów: – Cóż za natrętna żebraczka! – i wręczał jej jakąś monetę.

Ona znosiła wszystko ze spokojem i pokorą, mówiąc cichym, równym głosem o jakichś kotlecikach, zapach, które akurat dla niego upitrasila. Tak samo było teraz. Stała przy naszym stoliku mrużąc poczciwe, wyblakłe oczy i patrzyła na syna.

– Rysiu... – wtedy po raz pierwszy jego imię usłyszałem. – Rysiu, szukam ciebie już od godziny.

Książę Nocy skrzywił się jak po przełknięciu rycyny.

– Mózdzek akurat zrobiłam – ciągnęła niezrażona – a ty tak lubisz przecież.

Ten ze Stalinem w klapie uśmiechnął się lekko. W oczach Księcia Nocy zakipiła złość.

– Proszę odejść! – zawołał wysokim głosem.

– Dobry, dopóki świeży – dodała staruszka.

Miotnęła gwałtownie ręką. Skurczyła się jeszcze bardziej. Ale nie odeszła.

– Rysiu... – szmer jej głosu znów.

Tupnął nogą. Jego wzrok piorunował ją wprost.

– Powtarzam! Odejść!

Odeszła posłusznie.

– Zawsze tak wlicze w nieodpowiednim momencie – rzekł Książę Nocy. – Właściwie dobra kobiecina. Wiecie, służąca. Taka od lat w naszym domu. Przywiązana jak pies.

– Przecież to twoja matka – powiedział ten ze Stalinem w klapie i cały czas uśmiechał się pobłaźliwie.

Książę Nocy speszył się wyraźnie. Miał popsuty wieczór. Milczał dość długo i nie umówił się ze mną następnego dnia.

– Mózdzek, psiakrew! – wyrwało mu się nieoczekiwanie, kiedy się żegnaliśmy.

Poszedłem na dworzec, ułożyłem się na drewnianej ławie w ciemnym kącie i w żaden sposób nie mogłem zasnąć.

W tym czasie mnie też poszukiwał ojciec po kawiarniach, barach, placach targowych i różnych sekretnych pikieciarskich miejscach. Jak tam trafiał? Całymi tygodniami nie pokazywałem się w domu i ojciec ruszył moim tropem na śródmieście. Zaglądał tu i tam, a ja chowałem się za plecami chłopaków. Zauważyłem po raz pierwszy, że jest całkiem siwy i twarz ma bardzo zmęczoną. Mówili mi także znajomi, że stary Trakul przechwalał się swoim

synem, a mój ojciec tylko westchnął i nieznacznie zmienił temat rozmowy. Coś mnie wtedy ścisnęło za gardło. Ale czy mogłem zbyt długo nad tym się zastanawiać?

Czas był wypełniony po brzegi gorączkową bieganiną z Księżem Nocy, który przeskakiwał z wydarzenia na wydarzenie, coś zaczynał, zaraz porzucał, pędził dalej.

– Ja nie daję luzu – sam z dumą oświadczał.

Spotkaliśmy czasem na naszym szlaku tego ze Stalinem w kłapie. Księżę Nocy zawsze pozdrowił go wylewnie. Tamten odpowiadał raczej chłodno i powściągliwie.

– Ważna figura – mówił Księżę Nocy – działacz na dzielnicy... – I oglądał się za nim. Ja też odwracałem głowę. Ten ze Stalinem w kłapie znajome sprawy mi przypominał. Też byłem na dzielnicy. Przecież od pierwszej klasy gimnazjum działałem w ZMP. Był w tym smak władzy i pewnego rodzaju wyzwanie, kiedy tak wkładałem zieloną koszulę i czerwony krawat, czyli strój organizacyjny, a potem paradowałem ulicami naszego przedmieścia. Ludzie się jeszcze do tego nie przyzwyczaili i patrzyli spođe łba. Więc paradowałem w tym stroju z satysfakcją i wkrótce błysnąłem jako agitator podczas akcji propagandowych w terenie. Jeździłem do PGR – ów i hoteli robotniczych. Ogarniało mnie podniecenie, kiedy tak stałem na podwyższeniu opierając się o obitą czerwonym płótnem mównicę i patrząc w tłum przed sobą. Oklejałem też płoty badylarskich gospodarstw w pobliżu naszego przedmieścia plakatami przedstawiającymi opasłego kułaka siedzącego okrakiem na chudziutkim chłopie małorolnym. Po pewnym czasie wezwano mnie na dzielnicę i przewodniczący zarządu, ciężki, zwalisty mężczyzna, zaproponował pracę w charakterze instruktora.

– Będziecie najmłodszym instruktorem – powiedział z naciskiem.

Wtedy już jeździłem na śródmieście. Śródmieście wciągało coraz bardziej i powoli zapomniałem o dzielnicy. Czasem pojawiali się na pikiecie chłopcy, którzy zapamiętali mnie z agitatorskich występów na zebraniach. Taki Cygan czy Paweł Kossek z Barskiej ulicy. Patrzyli z podziwem. Uważali moją poprzednią działalność za chytrą, niezwykle przebiegłą osłonę dla życia na pikiecie.

– Cwaniaczek z ciebie! – mówili.

– Ja też... – próbowałem i patrząc za tym ze Stalinem w kłapie mówił w zastanowieniu:

– Figura! W razie czego taki może się przydać...

Obdarzał go całą gamą przymilnych uśmiechów. Asekurował się w ten sposób na przyszłość, bo chwilami wyobrażał sobie, że jest przestępca wielkiego formatu. Sypał przykładami z życia Wiktora Zielińskiego, Szpicbródki i innych. Myślę jednak, że ten świat przestępczy rzeczywisty to nie była jago domena. Zbyt na to był naiwny i najchętniej bujał w obłokach. Sam zresztą nieraz bywał bezlitośnie okpiony czy oszukany. Pewnego ranka pojawił się wśród pokątnych handlarzy z kuponem materiału w rdzawą kratę.

– Byłem na robocie – oświadczył zwięźle. – Potrzebuję ożenić ten towar. Szkocka wełna – dodał.

Jakiś drobny paser przezwiskiem Serek zainteresował się tym kuponem materiału. Weszliśmy do bramy. Handlarz polecił nam zaczekać, a sam z kuponem skierował się w głąb podwórza. Oczy miał rozlatane i podejrzaną słodycz w słowach.

– Pewny człowiek – powiedział Księżę Nocy. – Absolutnie. Znam go wiele lat...

Mętne idywiduum przezwiskiem Serek Nie wracało jednak. Księżę Nocy zaczynał się niecierpliwić. Ruszyliśmy tropem Serka w podwórze. Wkrótce wiedzieliśmy już wszystko. Z tego podwórza prowadziły jeszcze dwa wyjścia na ulicę. Księżę Nocy stracił kupon materiału w rdzawą kratę.

– Zarżnę nygusa... – zgrzytnął zębami i wykonał parę zamaszystych gestów imitujących ruch noża.

Tak ukarawszy wiarołomnego Serka przestał się nim i straconym kuponem zupełnie interesować.

Pochłaniało go wtedy inne zajęcie. Chodziliśmy po restauracjach, jedli i pili obficie, następnie wymykaliśmy się bez płacenia rachunku. Przeżywałem to jak grę o dużą stawkę. Uda się czy nie? Myślę, że i Księżę Nocy wiele z tym wiązał fantastycznych sugestii. Raz przecież po takim udanym wyjściu długo rozwodził się o emocjach na Polu Mokotowskim przed wojną, o dżokejach i bukmacherach, którzy zbijali fortuny. Pokazał mi nawet takiego niedużego faceta o pałakowatych nogach nazwiskiem Chatizow.

– Jeszcze za cara zaczynał – powiedział. – To był dzygit.

Najchętniej grasowaliśmy na peryferiach miasta. Któregoś razu Księżę Nocy proponował wyskok na moje przedmieście, ale stanowczo odmówiłem.

A przygoda, o której chcę opowiedzieć, wydarzyła się w Aninie czy Miłośnie, już nie pamiętam, w każdym razie w takiej podwarszawskiej miejscowości wśród piasków i sosen. Tam dotarliśmy pewnego popołudnia. Ważny jest w tym strój Księcia Nocy. Był ubrany w mundurową zieloną kurtkę, bryczesy i buty z cholewami, na głowę wcisnął skórzaną pilotkę. I klapę jego kurtki zdobił wizerunek Stalina. Już w „Metrze” zauważyłem, z jakim zastanowieniem przypatrywał się tak ozdobionej klapie marynarki swego kolegi ze studenckich czasów. Więc w takim ubiorze ruszyłem na podbój knajp. Prezentował się bardzo zagadkowo, jeszcze z tą swoją południową, drapieżną twarzą sycylijskiego mafioso, co podkreślał dobitnie parodniowy zarost. Restauracja, w której zasiedliśmy do bezpłatnej biesiady, nazywała się „Pod Krzaczkami” i pełna była Cyganów, którzy obchodzili jakąś uroczystość i wznosili toasty w swoim języku. Obfite jedzenie zapijaliśmy wódką, następnie do kawy sączyliśmy wiśniowy likier. Tak sobie jedliśmy i piliśmy, słuchając cygańskich śpiewów. Zapamiętałem tam piękną Cyganekę w kolorowych sutych spódnicach nałożonych jedna na drugą.

– Ara... – nazwał ją Księżę Nocy i powiedział, że w jego żyłach też płynie krew cygańska. – Zew taboru, malowane wozy i woń dymu z nocnego ogniska, dalekie, zamierzchłe reminiscencje – mówił śpiewnie, przymknąwszy oczy.

Słuchałem niezbyt uważnie, gdyż sposobielem się już do ucieczki. Księżę Nocy dał wreszcie niedbale znak do wyjścia. Podniosłem się pierwszy i nie zauważony przez kelnera wyszedłem na ulicę. Po chwili skrzyknęły drzwi pokazał się Księżę Nocy. Tym razem jednak udało się nam odejść najwyżej kilkadziesiąt metrów, kiedy posłyszeliśmy za sobą wrzask. Za nami biegł kelner, wymachując rachunkiem i wykrzykując obelżywe słowa. Spojrzałem w popłochu na Księcia. Zachował kamienny spokój. A kiedy kelner był tuż, Księżę Nocy obrócił się do niego, wsunął nagle dłoń do kieszeni, wypchnął ją umiejętnie palcami, imitując pistolet, i rzucił stłumionym głosem: – Wróć!

Kelner zatrzymał się jak wryty, przestał wrzeszczeć i wpatrzył się w tę groźnie wypchana kieszeń Księcia Nocy. Po chwili obrócił się na pięcie i bez słowa truchtem podążył w kierunku powrotnym, do restauracji „Pod Krzaczkami”. Skręciliśmy w najbliższą przecznicę i zaczęliśmy kluczyć płataniną uliczek z rozrzuconymi przy nich drewnianymi willami o kolorowo oszklonych werandach i galeryjkach, wśród sosnowych lasków. Księżę Nocy chichotał z uciechy. Później zadziwiło mnie spostrzeżenie, że jeżeli o swoich całkiem wymyślonych przygodach mówił tak wiele, to o tym wyczynie w restauracji „Pod Krzaczkami” prawie wcale nie wspominał. Lubił chyba najbardziej sferę zupełnie nierzeczywistą i w niej poruszał się najpewniej. Realne sprawy, realni ludzie – to obchodziło go bardzo mało.

W tym czasie miałem silną potrzebę przyjaźni, kojarzyło mi się to mgliście ze złodziejskim współnikiem na śmierć i życie. Zastanawiałem się więc, czy nas z Księciem Nocy łączy przyjaźń lub chociaż coś podobnego. Czy odczuwa on jakieś głębsze związki z innymi ludźmi? Tylu miał przecież znajomych, bliższych, dalszych, witali go serdecznie, zapraszali do siebie i nieraz wspomagali w potrzebie. Przyjmował ich wszystkich z roztargnieniem, właściwie obojętny wobec ich spraw, kłopotów czy radości. I kiedy zaczynali mówić, nie słuchał chyba wcale i tylko przytakiwał zdawkowo. Jedynie czasem to, co mówili, wywoływało jakieś bliskie mu skojarzenie i wtedy się ożywiał. Byli więc dla niego wyłącznie widzami, słu-

chaczami, aktorami jego teatru, nie wiem, jak to nazwać. Sam też od ludzi niewiele wymagał. Pilnego Słuchania, dobrego odbioru, podziwu dla jego swady. Tylko tego. Swoim życiem realnym z nikim się nie dzielił. Nie prosił też o nic. A z czego żył? Długo uchodziło to mojej uwadze. Sam byłem na garnuszku u rodziców i bez większych potrzeb. Próbując uporządkować chaotyczny splot tamtych zdarzeń, o rencie jakiej sobie przypomniałem, za co dostawał i w jakiej wysokości, tego nie wiem. Widzę też Księcia Nocy na łaskawym chlebie dziewczyn. Był przystojny, egzotyczny i taki wymowny; bardzo imponował naiwnym adeptkom zawodu, szczególnie tym, co to z prowincji na podbój miasta ruszyły. Imponował urodą, fantazją i pozorowanym doświadczeniem. Z czasem wyzwały się spod uroku, zostawała pobłażliwa życzliwość, sentyment, niekiedy znów złość za niedawną łatwowierność. No i przede wszystkim jego oparciem była matka, te jej kotleciki, zupy i mózdzki, które z myślą o nim pitrasila. Ale on sam od ludzi naprawdę nic nie chciał. Nie budzili też w nim żadnych głębszych uczuć chyba. Pamiętam przecież śmierć starego Kurdziela, tego złodziejskiego cynkarza emeryta, jego znajomego jeszcze przed wojny. Popił Kurdziel gdzieś na mieście, człowiek z niego już niedołączny i schorowany, wracając do domu potknął na bruk i upadł. Uderzył tyłem głowy, pękła podstawa czaszki i umarł, nim przyjechało pogotowie. Książę Nocy zajął się pogrzebem. Zbierał datki na trumnę i różne cmentarne opłaty, wykazał niezwykłą praktyczną aktywność i do łez rozczulił wdowę, stara zapijaczoną kobietę z bazaru Różyckiego, która tam roznosiła gorącą herbatę handlarzom. Lecz śmierć Kurdziela była dla Księcia Nocy jedynie efektywnym zakończeniem pewnego rozdziału w historii naszego miasta. Tylko tym. I cieszył się nawet tą przypadkową pointą. Wracając z cmentarza w otoczeniu nielicznej już garstki weteranów, mówił z przejęciem o zrywaniu się ostatnich wątych nitczek przeszłości.

– Stara, krucha czaszka... – gestami niezwykle plastycznymi odtworzył upadek Kurdziela – starczyło stuknąć i pękła jak gliniany czerep.

Wdowa znów załkała. Wcale nie zwrócił na nią uwagi. Pokazywał miasto. Coraz mniej ruin i starych domów. Przybywa nowych budowli. Próbował odtwarzać dawną topografię mijanych dzielnic, ulic.

Zadawał natarczywe pytania: – A wy potraficie? No, powiedzcie, co tutaj było?

Każdy z tych weteranów gubił się jednak w rekonstrukcji przeszłości. Zawodziła pamięć. Coraz mniej śladów pozwalających sięgać wstecz.

– Tu „Kakadu”, śpiewała Zizi Gardanowa. Tu bank... Na lewo sklep, taki wytworny, pod Anglię... Tak. „Old England” się nazywał... A tam Waksmacher... Widzicie... podniecił się Książę Nocy. – Jesteśmy raczej z przeszłości! Więc jakby za burtą. Jeszcze się czepiamy kurczowo, ale niedługo. I na nic cały wysiłek pamięci... Próżnia. Tylko próżnia dla nas pozostała!

Ta sprawa zaprzętała go silnie. Ja rozdrażniłem go nawet wtedy. Po prostu swoją obecnością.

– Szczeniak – burknął – tyle jeszcze ma przed sobą. – Zaraz jednak zaprawił te moją szansę pesymistyczną prognozą: – Jałowicie gleba miasta. Wymierają dawni ludzie. Wyschną wszystkie podziemne kanały. Piach tylko i bekon. Najmniejszej pożywki dla fantazji nie zostanie, a wszystkie ptaki będą zamknięte do klatek... – tak krakał i naprawdę jak ptak złowieszczy wyglądał.

Choć mój wiek nie skłaniał do refleksji, to jednak z przeszłością już od początku odczuwałem silny związek. Była martwa, miniona, ciągle przez to obrastała w mitologię i można ją sobie było rozmaicie wyobrażać. Tak właśnie czyniłem.

Zawiózł mnie mój nowy znajomy, Plebaniaczek, na Zacisze i weszliśmy do drewnianego domku wśród malw i słoneczników, jego matka zaczęła krzątać się przy kuchni i zobaczyłem na jej dłoni tatuaż, patrzyłem ze zdumieniem na tę dłoń z wydatnymi żyłami i brunatnymi plamami, gdzie niebieską linią znaczyła się kotwica. Zauważył Plebaniaczek moją minę, zaśmiał się i powiedział: – Moja stara też chodziła w miasto, też siedziała w pudle. – I zaraz

głos jego matki: – Także samo mój chłop chodził w miasto i mojego chłopca ojciec też... – Dla mnie wtedy nastąpiło wskrzeszenie dawno zamierzchłej przeszłości i każde słowo jak pożywka dla wyobraźni. Piliśmy u Plebaniaczka tego, przyszli jego współnicy, ciotka, wujkowie, taki ciąg pokoleń, obecnych i nieobecnych, zebrany przy tym biesiadnym stole. I była w tej gotowości wyobraźni naiwna wiar wspaniałość przeszłości, łatwowierność po prostu w apoteozie niesprawdzalnego.

Książę Nocy zatrzymał się przed jedyną ocalałą ścianą kamienicy, która sterczała wśród gruzów, i widać było od wewnątrz na tej ścianie piętrami różne kolory, jakimi malowali ludzie swoje mieszkania. Książę Nocy zapatrzył się w te wyblakłe, przydymione kolory i powiedział: – Tutaj w wojnę na drugim piętrze, u magistra farmacji Ostojkiego, odbywały się wykłady podziemnego uniwersytetu. – I ta ściana zaczęła pulsować dawno zmarłym życiem. Przybyły inne ściany, wypełniły się meblami i ludźmi mieszkania, widziałem tych młodych chłopców w cyklistówkach i bryczesach, dziewczyny z warkoczami albo uczesane w śmieszne spiętrzenie loków nad czołem, takie samo, jakie miała moja matka na starym zdjęciu przed Domem Braci Jabłkowskich. I widziałem dalej, jak zasiadają przy dębowym rozsuwanym stole w jadalni, gdzie zegar na ścianie dźwięcznie wybija godziny. I tak zniemacka ta ściana samotna i popękana, okopcona dymem i stercząca groteskowo wśród ruin, gdzie wyją zdziżale kocury i kocują śmieciarze, odrodziła się i znów stała tam, na wysypisku, tętniąca życiem kamienica, z małym okienkiem przesłoniętym białą firanką, w bramie, skąd wysuwa swą czujną głębę wąsaty cieć.

Tak przemierzając te zwały gruzów poprzątkowane tu i ówdzie fragmentami dawnej zabudowy, choć nie znałem przecież przedwojennego miasta zupełnie, zacząłem jednak wyobrażać sobie to pogrzebane i umarłe coraz pełniej, aż wreszcie czułem się chwilami tak, jakbym chodził wśród gwarnych ulic, wśród secesyjnych kamienic ozdobionych szyldami i neonami, gdzie pełno knajpek, cukierni i sklepów. Tak oto zacząłem żyć dawnym miastem, a do tego nowego, które przecież powstawało na moich oczach, nie mogłem się nigdy przyzwyczaić, odnosiłem się wręcz wrogo i dotąd najmniejsze przywiązanie nie narodziło się we mnie. A alchemikiem, który wskrzeszał przeszłość, był dla mnie w tej chwili Książę Nocy.

Nie obraziłem się więc wcale za tego szczeniaka i dalej byłem mu wierny i oddanych bez najmniejszego zastrzeżenia. Ludzie lgnęli do niego. Jak do światła ci, co błądzą po omacku. te jego czary. Ten surowy ze Stalinem w kłapie, co tak chłodno, z dystansu pozdrawiał nas na ulicy, jednocześnie przecież zapraszał do górnej salki baru „Metro” i słuchał Księcia z zainteresowaniem, nie przerywał, nie oburzał się ani nie przeczył. Albo ten chudy, o wągrowatej twarzy, wysoki i wyschnięty jak tyka, w skrzypiących oficerkach, kapitan z Urzędu, co takim lękiem przejmował. Też przychodził i interesu żadnego nie miał, pośrednictwa z dziewczynami nie potrzebował przecież, mógł z każdą, która tylko zechciała. Ani też Książę Nocy żadnym informatorem dla niego. O czym mógł informować? O swoich kolorowych przygodach na latającym dywanie? Przychodził ten wągrowaty w oficerkach i likierem hojnie raczył, mnie też akceptował jako nieodstępного towarzysza Księcia Nocy i od razu trzy likiery miętowe zamawiał.

– Po dwóch stronach barykady jesteśmy – lubił go tak witać Książę – ja wolny człowiek – pauza – pan, kapitanie, łaps po prostu. – Tamten potakiwał z grzecznym uśmiechem. Książę Nocy wypuszczał drugą zatrutą strzałę: – I światopoglądowa przepaść. Materializm, byt określa świadomość, a u mnie na pierwszym planie metafizyka, ludzka dusza i Bóg.

Co ich łączyło? Czyżby takie święto sprawiał sobie kapitan? Relaks dla umysłu zmęczonego konkretną działalnością?

Pojawiał się też pewien mecenas, który powiadał zawsze: – W razie jakiegoś niepowodzenia obrona gratis, szanowny kolego.

Nic więc dziwnego, że wszelkie Książęce humory czy złośliwości znośm z pokorą. Miałem głębokie przekonanie, że z nim tylko liczyć mogę na coś więcej niż zdrowy rozsądek. Teraz widzę ze szczególną jasnością, jak konsekwentnym był przeciwnikiem zdrowego rozsądku.

Czasami, szczególnie w pierwszym okresie naszej znajomości, otaczała Księcia Nocy natrętna sfera konfidentów, produkowano o nim donosy i raz po raz znikał na kilka dni. Nie wytrącało go to wcale z równowagi, jedynym śladem była świeża pożywka dla jego wyobraźni, od tamtego czasu pojawiać się zaczęli w jego opowieściach rozmaici prześladowani, wieloletni mieszkańcy kazamatów, prawie jak Łukasiński w Szlisselburgu.

Zakres jego swobody był naprawdę imponujący. Jesiennym wieczorem natknąłem się na niego przypadkiem, kiedy wynurzył się z gruzów Nowogrodzkiej. Pogwizdywał i poprawiał sobie spodnie. Za nim szła stara, obwisła i brzydka kobieta. Jedna z tych najstarszych emerytek, co to przed wojną gwizdami były na ulicy Chmielnej. Bełkotała przymilnie i poufałym ruchem wicherzyła mu włosy. Poklepał ją po sinym, pomarszczonym policzku.

– My lady – przedstawił nas – my boy.

Patrzyłem zdumiony. Uśmiechnął się z pobłażliwą wyrozumiałością. –

– Miałem potrzebę – oświadczył – nikogo akurat nie było pod ręką.

– Zbytniku! – zachrypięła ta kobieta – upiór. Wydała z siebie charkotliwy śmiech, coś zagrało, zaskrzypiało w jej płucach.

– I pomogło... – ciągnął Książę Nocy. – Dobrze, lekko się czuję... Wiesz, wyobrażałem sobie te piękne, świetne dziwki, co wygrzewają się na plażach Riwiery, w Cannes, Nicei, Antibes. – Ta weteranka profesji wybuchnęła naraz jazgotem wymyślnych przekleństw. Czy przeciw tym pięknym dziwkom z Riwiery? Pożegnali się. Odeszła niezgrabnym, ciężkim chodem kaczki. Uczył mnie Książę Nocy, że nie należy za bardzo zaprzętać sobie kobietami głowy. Mogą być kiepskie, średnie, byle jakie. Wszystko jedno. Owszem, lepsze te piękne, jednak i tak w końcu brzydnie każda, pozostaje obcość, znużenie, niechęć. Nieraz podkreślał z naciśnięciem uroki przyjemności z brzydkimi. Praktykę miał zgodną z teoriami, widywałem go z kobietami o skali urody bardzo rozległej.

Powoli sam puszczałem się na szersze wody. Miałem już kochankę. Kochanka miała mieszkanie. Poznałem ją podczas swoich pikieciarskich przechadzek i choć Tońko, Edek i Kazik Gieroj podkpiwali ze mnie niemiłosiernie, pograżyłem się z nią w długą rozmowę o książkach. Lubiła czytać, dramaty miłosne opowiadały jej najbardziej i zachwycała się *Łukciem Triumfalnym*. Zacząłem się z nią spotykać. A kiedy Tońko zaproponował, żeby spać ją winem i potem zrobić kolejkę, zmierzylem go w milczeniu od stóp do głów i urwał zmieszany. Postanowiłem mieć swoją dziewczynę. Zaprosiła mnie do domu. Zajmowała wraz z bratem dwupokojowe mieszkanie w kolonii na Podskarbińskiej. Byli sami, ojciec umarł przed wojną, a matka zginęła podczas powstania na śródmieściu. Na imię miała Barbara. Była zgrabna i niebrzydka, choć odbiegała znacznie wyglądem od kłębowiska wybujałych kształtów, którymi wypełniona była moja głowa. Nie przejmowałem się jednak tą różnicą, umiałem już nieźle władać wyobraźnią, przeszło rok przecież chodziłem z Księciem Nocy. Mieszało się więc w moim stosunku do Baśki cyniczne wyrachowanie z mitologią liryczną. Wiersz nawet ułożyłem o niej. Zaczynał się tak: „Two ręce nerwowe, dziewczę, Mony Lizy ręce...”

Będzie moją kochanicą – postanowiłem pojąc ją winem, kiedy jej brat, Bogdan, wyjechał na szkolną wycieczkę do Krakowa.

Ta noc z Baską pełna była zaklęć, obietnic, czułości i grózb. Zacisnęła nogi i nie mogłem sobie dać rady.

– Nie! – powtarzała. – Nie!

Po kilkugodzinnych zapasach, wściekły i bezradny, zerwałem się z łóżka i zacząłem szykować do wyjścia. Przy drzwiach poczułem jej ręce na swoich plecach.

– Czy tylko o to ci chodzi? – zapytała opuszczając ze wstydem oczy. – Czy o coś więcej?

– Będziemy razem – odpowiedziałem bez wahania.

Byłem pierwszym chłopakiem w jej życiu i długo w noc opowiadałem jej o Księciu Nocy, mieście i niezwykłych ludziach spotykanych na szlaku. Widziałem jej pełne oddania błyszczące oczy. Tak się zaczęło z Baską. Odwiedzałem ją o różnych porach dnia i nocy, zawsze na mnie czekała. Przychodziłem rozgorączkowany przygodami w mieście. Opowiadałem jej o złodziejskiej chęrcze, która wspomaga się jak mafia i bez litości likwiduje każdego kapusia, o życiorysach głośnych przestępców i pięknych ladacznicach; korzystałem ze sposobów mego mistrza, puszczałem wodze fantazji i sam w to wierzyłem. Baska słuchała w milczeniu, tylko z rzadka jej zdrowy rozsądek brał górę nad uczuciem i mówiła wtedy: – To przecież granda, wykolejeńcy, oni nie są dla ciebie odpowiednim towarzystwem.

Sypiałem z Baską i ta świadomość oddania kobiecego ciała dawała przyjemność i poczucie męskości.

– Nigdy nie należy wiązać się z jedną – pouczał Księżę Nocy – nie ma większej nudy niż taka monotonia.

Polowałem więc na inne, według jego zalecenia, i przypominam sobie Jadźkę Tarlutudu z bazaru na Pańskiej, Hankę Śpiewaczkę, co nuciła zawsze: „Kupię ci puder, szminkę do ust i modny kapelusz, bo zawsze miałaś zły gust... na co nam telefony, weź nożyczki i obetnij drut...” Ale najlepiej pamiętam młodą uliczną dziewczynę przewiskiem Linijka, o sprężystej, podniecającej figurze, kręconych włosach i grubych murzyńskich wargach. Na jej widok odczuwałem niepokój, opuszczała mnie cała śmiałość i tylko pożerałem ją oczyma.

– Co pękaasz?! – popchnął mnie Księżę Nocy.

A ona uśmiechała się zachęcająco.

Więc była wódka gdzieś nad Jeziorkiem Kamionkowskim i coraz bardziej drażniące ciało tej Linijki. A potem starannie wycierała mi twarz ze śladów szminki i nieraz zatrzymała wzrok na mojej dłoni. Palce miałem brudne, czarne paznokcie, zacisnąłem dłoń. Uśmiechnęła się miękko i powiedziała swoim ochryplym głosem: – Utrzymać nie tylko siebie potrafisz, możesz mieć najlepsze żarcie, wódkę... i co tydzień robiłbyś sobie manikiur.

Sprawa z Linijką rozwiązała się jakoś. Umówiliśmy się w wesołym miasteczku na Solcu. Czekałem i czekałem, ona nie przyszła. Później nigdy już jej nie widziałem.

Tylko był pierwszy tryper i śmiech Księcia Nocy z powodu tej błaźniny.

Ze swadą mroząca krew w żyłach opowiedział historyjkę o młodym, uroczym poruczniku szwoleżerów, młodzieńcu jeszcze niewinnym, który nabawił się syfilisu tracąc równocześnie niewinnej narzeczonej, toteż jadąc do niej na urlop powiesił się na swoim wojskowym pasie w dworcowej restauracji.

Z powodu jego opowieści bardziej przeżyłem to doświadczenie. Ciemna poczekalnia z ostrzegawczymi plakatami o skutkach chorób wenerycznych na ścianach. Kilku mężczyzn, jedna kobieta. Wszyscy osłonięci gazetami. I ten skrzyp otwieranych drzwi gabinetu lekarskiego. Skończyłem właśnie siedemnaście lat.

Poznałem Cześka, hojnie rzucającego pieniędzmi kombinatora o robaczywej, śliskiej twarzy i świdrujących oczach Jego specjalność to mętne interesy po kawiarniach, najczęściej siadywał u Gajewskiego, waluta i antyki a dawniej, jak chełpił się, szaber z Zachodu na wielką skalę. Zacząłem chodzić z nim. Był prawie dwa razy starszy ode mnie i uważał, że wszystko ma swoją cenę.

– Każdego kupisz – śmiał się wzgardliwie. – Tylko zależy za ile.

Coś mnie ciągnęło do niego i odpychało zarazem. Być może powodem przyciągania – tęsknota za konkretem. Bo przy Księciu Nocy w fikcji zupełnej się obracałem przecież. Gęstej, nasyconej jak samo życie, ale jednak... Z Cześkiem tymczasem nie było żadnej fantazji, tylko rzeczywiste interesy. Choć nudnawe to raczej, długie wysiadanie po kawiarniach, jakieś rozmowy szeptem, obliczanie kolumnienek cyfr na bibułach, wyczekujące spojrzenia i ciągle: ile, albo: mało. Tak w kółko. Jednak imponował mi ten Czesiek swoim cynizmem i pogardą dla kobiet.

– Kobiety – mawiał Czesiek – barachło! Chłam! – Patrzył na mnie uważnie. – Co ty na to? Przytakiwałem z mina wygi.

Zaciągnął mnie kiedyś do takiego mieszkania, gdzie drzwi otworzyła wytworna dama o pięknej, wyniosłej twarzy. Przyciągnął kobietę za rękę. Szarpnął za bluzkę. Odślonił pierś ozdobioną koronką koszuli. Wyłuskał z biustonosza. Ona stała z nieruchomą, ciągle wyniosłą twarzą. Dziwna to była scena. Jego sprawne, mechaniczne zgoła ruchy. Jej posągowa martwota, uległość.

– No! – spojrzał na mnie Czesiek. – Możesz sobie...

– Nie chce mi się – wymamrotałem unikając jej spojrzenia.

– Mnie też – splunął ordynarnie na podłogę i jakby się ucieszył. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Pogrzebał w wypchanej kieszeni. Wetknął kobiecie za bluzkę kilka banknotów. Wyszliśmy. Czesiek zaprosił mnie do hotelowego baru i zamówił francuski koniak.

– Dwa Martelle – powiedział donośnie.

Wypiliśmy kilka kolejek tego bardzo drogiego trunku. Działo się to w czasie karnawału i wewnątrz baru ozdobione było kolorowymi bibułkami. W lustrze odbijały się tęczowo te bibułki. Po koniaku Czesiek jeszcze zażądał jakiegoś wymyślnego trunku, który barman sporządzał w srebrnej bańce, grzechocząc kostkami lodu i w aptekarskim skupieniu dolewając po kropelce rubinowego płynu.

Czesiek coś opowiadał hałaśliwie. Nagle urwał i popatrzył na mnie uważnie.

– Usta masz fajne – powiedział i zaświeciły mu się oczy. – takie nie wysane.

Wyciągnął dłoń, jakby chcąc ich dotknąć. Odskokczyłem jak oparzony. Usta miałem czerwone, pełne. Zawsze mnie denerwowały. Zazdrościłem wąskich, twardych. Czesiek też speszył się wyraźnie. Zapalił papierosa i powiedział zduszonym, ochryplym głosem: – Mocny koktajl, psiakrew!

Tego wieczoru powiedziałem mu o Baśce i jej mieszkaniu. Dopytywał, co z nią robię w łóżku. Opowiadałem. Szczególnie interesowały go plugawe szczegóły. Też opowiadałem.

– Jak się nie myją, to strasznie śmierdzą – rżał odrażającym śmiechem.

Pojechaliśmy do Baški z kilkoma butelkami wódki. Piliśmy długo i zwałem się pierwszy. Zbudził mnie krzyk. To Baška mocowała się z Cześciem, który leżał na niej i ręką brutalnie rozsuwał jej zaciśnięte uda.

– Co ty! – skoczyłem do niego.

Odwrócił spoconą twarz. Uśmiechnął się.

– A nic... – odpowiedział. – Przecież nie będziesz taki pazerny... Ja tobie. Ty mnie. Tak powinno być, nie wiesz?

Wahałem się tylko chwilę. Potem opuściłem głowę. Nie chciałem patrzeć w oczy Baški. Wszedłem do kuchni. Na szczęście rozległ się chrobot klucza w drzwiach. Wracał jej brat, Bogdan, z ciotką.

Odtąd unikałem tego Czeška. Najbardziej zaniepokoiły mnie jego świdrujące oczy wlepione w moje usta. Opowiedziałem o swoim niepokoju Księżciu Nocy.

Skwitował wesołym uśmiechem: – Drobiazg! Być może gustuje... Czesiek... – zastanowił się – niski, pękaty... Znam! On lubi wszystko.

Było mi głupio wobec Baški. Ale ona nic o tamtym wieczorze nie wspominała. Wkrótce przestałem o tym rozmyślać. W tym czasie z Bašką było mi najlepiej. Po raz pierwszy właściwie poznałem dokładnie ciało kobiety i odczuwałem coś, co można nazwać zaspokojeniem męskiej próżności. Jej oddanie, uległość i ta niezwykła ciepłowość w znoszeniu moich póż przejętych od Księcia Nocy. Nigdy potem już w takiej pełni to się nie powtórzyło. I nie wiem czemu, ale w tym właśnie czasie, kiedy u Baški spędzałem noc, pasja trybuna wygasła we mnie raz na zawsze. Zwłaszcza że znów biegałem z Księżciem Nocy i nie było wcale czasu na oglądanie się wstecz.

Rozliczyłem się chyba już ostatecznie ze swojej niedawnej słabości do roli trybuna. I nawet z masochistyczną dokładnością przypominałem sobie największe swoje ośmieszenie, które umownie „pierdem” wtedy nazwałem. Jako agitator zawsze na posterunku, toczyłem nieraz zażarte dyskusje światopoglądowe z ciotecznym bratem. Gorączkowałem się podczas tych sporów: święte racje rewolucji, czujność i walka nieubłagana z klasowym wrogiem; te pojęcia kotłowały mi się w głowie, krzyczałem, zacinałem się z natłoku słów i wymachiwałem rękoma. Mój brat, student politechniki, jątrzył mnie złośliwą kpina i pozornie naiwnymi pytaniami, na które nie potrafiłem odpowiedzieć.

Tego popołudnia, kiedy domownicy siedzieli jeszcze przy niedzielnym obiedzie, znów wdaliśmy się w burzliwy spór. Dyskusji przysłuchiwał się kolega ciotecznego brata. W pewnym momencie, dotknięty do żywego szyderstwem, poruszyłem się zbyt gwałtownie i... stało się. Zaraz usłyszałem pogardliwy głos ciotecznego brata: – No, mój drogi, takimi argumentami to możesz się posługiwać u siebie. – Jego przyjaciel wybuchnął śmiechem. Ogarnął mnie wstyd i wściekłość. Rzuciłem się na brata z pięściami. W kuchni rozpoczęła się zacięta walka. Upokorzenie dodawało mi siły i parę razy celnie trafiłem. Przyjaciel brata obskakiwał nas jako sędzia, czuwając nad czystością pojedynku. Do kuchni zajrzała moja matka. Rozdzieliła nas.

– O co wam poszło? – zapytała.

– W dyskusji posługiwał się argumentami poniżej pasa – znów zakpił niemiłosiernie mój cioteczny brat.

Dopiero te słowa uwolniły mnie od uczucia haniebnego upokorzenia. Sam się roześmiałem.

Odtąd raczej pozycja obserwatora stała się moją postawą i unikałem zmuszania innych do przyjmowania moich racji. A zawsze dotąd korciło to mnie jakoś. Piechura z Bud. Od dzielnicy, gdzie ten rosły, zwalisty przewodniczący, towarzysz Zaborowski, był przez pewien czas moim podpatrywanym skrycie ideałem, a to jego ulubione: Tak stoi sprawa! – oraz krótkie uderzenie pięścią w stół wydawało mi się jak grom, niezwykle, lapidarne, w sam raz dla niego. I pamiętam te chwile, kiedy krosty na mojej twarzy zauważył, te haniebne, pęczniejące ropą krosty dojrzwania, i powiedział z szorstką troską: – Dziewczynę jakąś trzeba wam przysposobić. – A ja czerwony ja płomień wtedy.

Zastanawiam się dlaczego te działaczowskie ciągoty tak umarły ostatecznie. Czy zaczęło się to już w tym momencie, kiedy towarzysz Zaborowski polecił mi obserwować dyrektora naszej szkoły?

– Wiecie – powiedział – niepewny ideowo. Bardzo niepewny.

Przytaknąłem gorliwie. Ale sprawa pozostała dla mnie niejasna. Dyrektor, przezywany Globusem, był dobrym znajomym mego ojca i często przez palce patrzył na moje wybryki. Może jeszcze większym powodem tej rozterki byli ci chłopcy, którzy dekorując szkolną świetlicę na jakieś święto opili się winem i stłukli przez nieuwagę portret Stalina. Później nie pojawili się w szkole.

Nie bardzo również przekonywały inne nauki towarzysza Zaborowskiego. Mawiał: – Robić swoje, nie myśleć za dużo, nie obawiajcie się od myślenia są u nas tęgie głowy.

Poszedłem kiedyś pod jego gabinet na dzielnicy, nękanie wieloma wątpliwościami, te słowa właśnie sobie przypomniałem i odszedłem od drzwi z tabliczką: Przew. Zarz. Dzielnicowego.

Nie po raz pierwszy zrywałem z przeszłością. Jeszcze przedtem byli w moim życiu ci starsi chłopcy znad glinianki, węglarze. Tam zacząłem swój termin i co niedziela skrycie wymykałem się z domu, żeby przebiec pokryta lodem gliniankę. W budzie u starej Boćkowej zasiadaliśmy przy stole pokrytym kraciastą niebieską ceratą. Był tam Olek Kraczoł, karzeł o torcie atlety, co najlepiej obrabiał kolejowe transporty. Jego brat, Felek, o miękkiej twarzy i zadartym nosie. Był białowłose Tadek Mogiel i jego szwagier. Jeszcze Wiesiek Żmudziak.

Czytać i pisać ich uczyłem. Jakże celebrowałem swoją rolę nauczyciela. Z początku, żeby ich wciągnąć, na poczekaniu wymyślałem niezwykle opowieści o zdobywcach bieguna czy ekspedycji na Mount Everest, o wyprawie barona Ungerna w Mongolii czy skarbach Inków. Bałem najlepiej, jak tylko potrafiłem, i zamykałem tę część posiedzenia słowami: – To wszystko jest w książkach. – Następnie zabieraliśmy się do nauki i ci starsi chłopcy, wypróbowani w rozmaitych przygodach, samodzielnie już zarabiający na chleb, dukali niemrawo: – Ala ma kota... – I napawała mnie dumą uległość Olka atlety, czytającego z trudem pierwsze wyrazy z elementarza Falskiego. W taki sposób panowałem nad nimi. Aż wreszcie porzuciłem to wszystko i wylądowałem na śródmieściu. Już przeszło rok włączyłem się po śródmiejskich szlakach, jednak czasem oblażyły mnie tęsknoty do dawnego; tych uczniów osobliwych przy ceratowym stole widziałem albo słyszałem donośny, wykluczający wszelki sprzeciw głos przewodniczącego Zaborowskiego. Wreszcie jednak tamten etap chaotycznych pragnień, wodzowskich ambicji i jednoznacznego celu został ostatecznie zamknięty. Zobojętniały tamte sprawy, naprawdę już daleki, odłożony w zakurzone zakamarki pamięci bagaż.

Spróbowałem opowiedzieć o tamtych doświadczeniach Księżciu Nocy, ale jak zwykle słucał nieuważnie.

– Wrażliwość – zamruczał – po prostu wrażliwość. Wielu jest tego pozbawionych. Trawienny, bierny styl życia. Coś przyjmą jako pewnik i nigdy już nie odrzuca. Skłonność do ulegania jakimś nadrzędnym racjom, świętym celom itp. A ty nie... Powód do dumy tylko. Tak samo ja. Wojna na przykład. Ile mi się roilo po głowie. Albo zaraz po wyzwoleniu. Studia, ta euforyczna działalność w Bratniaku... – Ożywił się wspomnieniami i długo mówił o tym facecie z wizerunkiem Stalina w klapie. Wynikało niezbitnie z o powieści, że tamtego dotąd jeszcze nurtuje kompleks niższości wobec Księcia Nocy. – Zawsze był drugi – podkreślał z satysfakcją. – W nauce również... Nie mógł nigdy przeskoczyć. I nie może tego zapomnieć.

– Robić cokolwiek! Zabiegać o coś... – wzburzył się kiedyś Książę. – Nie dla mnie ta maskarada... Popatrz na tych! – pokazał tłum pędzący z pracy. Z okna kawiarni widok na tych zziębniętych był doskonały. – Na ich twarze – dodał.

Akurat przed szybą kawiarni zatrzymał się jeden z tych zapędzonych. Twarz miał tępa i brzydka. Ocknął się z zagapienia i popędził dalej.

– Albo na tych – Książę Nocy ręką szeroko zamiótł po ludziach siedzących przy stolikach w tej kawiarni najważniejszej na szlaku. – Te ich interesy, bieżączka, strach, odwaga, osiągnięcia... Brzydki to mnie – mówił jakby do siebie, ciężko, urywanie, nie było w tym swady i ognia. – Parszywe szanse, żadnych widoków, tak cienką dni jak woda w klozecie...

I obaj jakby rzeczywiście kapanie wody z popsutego rezerwuaru usłyszeliśmy.

Taka to była reakcja na słowa tego eleganckiego o słodkim głosie, który powiedział do księcia: – Miał pan takie perspektywy przed sobą, po prostu olśniewające, wszystko pan zmarnował, doprawdy, przepraszam, ale tak było...

Potem towarzyszyłem Księżciu Nocy w zakupach. Miał znów okres domowy i rzadko pojawiał się na ulicy. Nad czym medytował w domowym odosobnieniu? Zawsze wtedy gromadził jakieś książki, pisma. Nie śmiałem go jednak o to pytać. Kupiliśmy bułki, jajka, wędlinę i wolno szliśmy od placu Trzech Krzyży w stronę „Złotej Rybki”. Był tam z kimś umówiony. Zatrzymaliśmy się przed witryną restauracji, którą ozdobiło zielone akwarium ze złocistymi rybkami. Książę Nocy skrzywił się zaglądając do zatłoczonego wnętrza. Był to dzień wypłaty.

– Jajka mi jeszcze pogniotą – zauważył. – Pogniotą – powtórzył.

Spojrzał na drugą stronę ulicy. Tam przed Domem Partii chodnik czysto uprzątnięty i co parę metrów zgrabne stożki zebranego śniegu.

– Wiesz co? – ożywił się Książę Nocy. – Po co mam tą torbę do knajpy...

Pociągnął mnie za sobą na drugą stronę ulicy. Podszedł do najbliższego kopczyka, wygrzebał w nim z boku jamę i wsunął torbę. Uśmiechnął się zadowolony ze swego pomysłu.

– Niezła spizarnia... – Zaczął.

Nie pozwolono mu jednak dokończyć. Z dwóch stron podbiegali milicjanci. Chwycili go pod łokcie.

– Co tam zagrzebujecie?

– Torbę włożyłem.

– Wyjmijcie to natychmiast!

Mocniej ujęli go pod łokcie.

– Puście – syknął z bólu i powiódł po nich zdumionym spojrzeniem.

Puścili tylko jedną rękę. Wyjął torbę ze śnieżnego kopczyka.

– Co tu jest?! – napaarli groźnie.

Potrząsnął torbą. Drgnęli, wyraźnie wystraszeni.

– Jajka – wyjaśnił.

– Bez żartów! – chwycili za kabury.

Rozchylił torbę. Pokazał im te wiejskie, dorodne jajka z bazaru na Koszykach. Niektóre pomazane kurzym łajnem z przyschlą słomą.

Oglądali długo i podejrzliwie. Rozzłoszcili się i spisali personalia Księcia Nocy.

– Uciekajcie stąd! Ale już!

Jak się znacznie później zorientowałem, nie był to czas lekki i wesoły, raczej mroczny, zduszony, pełen podejrzeń, nabranej nagle wody w usta, tropicielskiego węszenia i walenia nad ranem w drzwi. My jednak w swoim królestwie czuliśmy się wolni, gospodarowaliśmy swoimi losami niefrasobliwie i ciągle bywały dla nas niebieskie prześwity w tym nisko nawisłym, zachmurzonym niebie. A te jajka tak dokładnie zapamiętałem dlatego, że Księżę Nocy został wtedy zaskoczony jak nigdy dotąd.

– Przerobili mnie – warknął.

Ze „Złotej Rybki” zrezygnował. Odprowadziłem go pod dom. Wkrótce po swojemu zaczął to wydarzenie rekonstruować.

– Gag zrobiłem – twierdził. – Zakpiłem z policyjnej czujności.

Jednak spoglądał na mnie niepewnie. Przytaknął z ochotą. Wdzięczność w jego ciągle niepewnych oczach. Jeszcze później nazywał to swoim „jajkowym zamachem” na Dom Partii.

Ostatnia wielka akcja Księcia, w której brałem udział, to była wyprawa do Zawad. Tu sprawdziła się jego niedawna pasja heraldyczna. Pojechaliśmy tam elektrycznym pociągiem we trójkę. Była z nami kobieta, którą Księżę Nocy nazywał „drogą kuzyneczką”. Niemłoda osoba o bladej, przezroczystej cerze i niebieskich żyłkach pulsujących na skroniach. Nieśmiała i zatroskana, siedziała sztywno i ciągle mimowolnym ruchem obciągała na kolanach spódniczkę. Księżę Nocy cieszył się tą wyprawą. Mnie też wyznaczył nie byle jaką rolę. Miałem być jego synem.

– Włosy masz ciemne, cerę śniadą – powiedział – od biedy ujdziesz.

Zawady znajdowały się w pobliżu miasteczka Błonie. Stary murowany dworek z gankiem i kolumienkami obrośniętymi dzikim winem. Dokoła rozciągały się ogrodnicze uprawy i sad. Była to pozostałość po dużym majątku ziemskim, należącym niegdyś do ojca tej kobiety o bladej, przezroczystej cerze. Księżę Nocy pozostawał w dalekim stopniu pokrewieństwa z nim i jego przyjazd tutaj miał charakter interwencji w skomplikowanych sprawach rodzinnych. Długo staliśmy na drodze, patrząc na ten dworek z kolumienkami. Zniszczony i zaniedbany, porysowane ściany, odpadał tynk i dziury na gontowym dachu zatkałe były słomą. Podeszliśmy bliżej. Przed gankiem ślady parku, kamienny posązek fauna z utraconą ręką, sadzawka wypełniona mułem i szlamem, w miejscu klombów rozbuchały się chwasty. Kobieta nazywana kuzynka wzdychała smętnie i kiedy zbliżyliśmy się do drzwi, zadygotała nerwowo. Księżę Nocy ujął ją opiekuńczo pod rękę.

– Rzecz należy doprowadzić do końca – oświadczył.

Jego rola w wyprawie była dla mnie niejasna. Właściciel tej posiadłości, ojciec kobiety zwanej drogą kuzynką, był człowiekiem chciwym, zdziwaczałym i z jakichś tam powodów nie darzył uczuciem swojej córki. Żył samotnie. Jego względy zdobyła kierowniczka miejscowej poczty, osoba wyrachowana i przebiegła. Została jego kochanką. Z tego powodu wszystka biżuteria, złoto, pieniądze, cały bank ziemny tego harpagona, jak mawiał Książę Nocy, przechodził powoli w jej ręce. Właściciel dworku leżał obecnie zmożony ciężką chorobą, nie rokując nadziei wyzdrowienia, i należało wszelkimi sposobami poruszyć jego nieczułe serce. Dlatego tu przyjechaliśmy. Heraldyka, z którą tak pilnie zapoznawał się Książę Nocy, miała być jedyną poza pieniędzmi pasją starego człowieka.

– Temat do rozmów – wyjaśnił Książę Nocy. – Atut dla nas, ta baba z poczty bowiem, po prostu prymitywny tłumok, nic a nic nie zna się na tym.

Ten trzydniowy pobyt dworku pozostał w mojej pamięci jako romantyczna wyprawa w przyszłość. Ciemne pokoje ze starymi, rozsypującymi się meblami, bambusowa etażerka, kanapki z wylażącym włoskiem, ogromne skórzane fotele, pajęczyna przy suficie i gruba warstwa kurzu wszędzie, zegar, co melodyjnie wydzwaniał godziny, cisza, zapach kociego moczu, skrzypiące podłogi i ten stary człowiek o zamglonych, ale jeszcze złośliwych oczach, leżący w brudnej pościeli. Nasz przyjazd przyjął bez zdziwienia. Chłodno, obojętnie popatrzył na córkę i burknął: – Przyjechałeś. – Nad naszą obecnością od razu przeszedł do porządku dziennego. To najbardziej ucieszyło Księcia Nocy, gdyż jego pokrewieństwo ze starym człowiekiem, jak wywnioskowałem, opierało się na bardzo wątych, raczej iluzorycznych podstawach. Ten stary człowiek, mający rzeczywiście niezwykłą pasję heraldyczną, pograżył się z nim w rozmowie o herbach i rodach, koligacjach i omszałych, pradawnych drzewach genealogicznych. A blada, nerwowa kobieta nieruchomo siedziała u wezgłowia jego wielkiego łoża, z zaplecionymi na kolanach rękoma. Pozostawiony samopas, z ochotą buszowałem po pokojach, coraz bardziej pochłonięty atmosferą zatęchłej, toczonej przez mole i korniki przeszłości. W szufladach ponurego i okazałego jak katedra gdańskiego kredensu odkryłem stosy pożółkłych fotografii, karnetów, wizytówek, zaproszeń na rozmaite uroczystości, chrzciny i pogrzeby, bale i zjazdy powstańców z sześćdziesiątego trzeciego roku, legionistów czy peowiaków, zapisy dotyczące interesów, w których posługiwano się arszynami, łokciami, pudami, korcami i funtami; do takiej dokopałem się kopalni, zawierającej fragmenty życia kilku pokoleń. Dotarłem do oszklonej biblioteki, przeglądałem książki w zbutwiałych skórkowych okładkach ze złożonymi literami na grzbietach. Spowity w kłęby kurzu, jak zaczarowany wdychałem tę atmosferę życia, które minęło bezpowrotnie. Panowała tu cisza i tylko skrzypiały podłogi, a nocą myszy chrobotwały po kątach. Wieczorami przychodziła kierowniczka poczty z pobliskiego miasteczka. Patrzyła na nas nieufnie i wyraźnie peszyła ją wykwintna, pełna cudzoziemskich słów mowa Księcia Nocy. Rozpocynała się gra w karty. Przyglądałem się twarzy tej kobiety. Była pospolita, zdobyły ją tylko gęste rude włosy, i głos miała nieprzyjemny, piszczący, palce ze złotymi pierścieniami i sygnetami porośnięte były rudymi włoskami.

Raz po kartach popijaliśmy świetną nalewkę z dzikiej róży przyniesioną przez kierowniczkę poczty i Książę Nocy śpiewał dawne szlagiery. Napięty, sztywny nastrój rozluźniał się wtedy, wszyscy odtajali jakby i nawet ten stary człowiek leżący w łóżku śmiał się i wołał: – Jeszcze, szanowny dobrodzieju! – Książę Nocy z karykaturalną przesadą zawodził: – „W starych nutach babuni walc przechował się ten...”

Nie pamiętam już dokładnie, jak zakończyła się ta interwencja w imię interesów nie lubianej jedynaczki. Tylko widzę znów naszą nocną penetrację strychu. Stary człowiek zasnął, słychać było jego nierówny, astmatyczny oddech, córka siedziała przy łóżku i patrzyła na nas przerażonymi oczyma. Udaliśmy się na strych w poszukiwaniu pieniędzy, złota, tego wszystkiego, co tak przemyślnie ukrył stary człowiek, ani myśląc o podarowaniu czegokolwiek swojej córce. Snuliśmy się po strychu, oświetlając latarką rozmaite graty, worki, skrzynie,

stosy derek, końskiej uprzęży. Spowijały nas kłęby kurzu, coś szeleściło i kwiliło nieprzyjemnie, przypominałem sobie dzienną rozmowę o łasicach, które tu gnieździły się podobno. Przekładaliśmy połamane krosna, wagi, kosze, niecki i unosiliśmy ciężkie pokrywy skrzyń. Byliśmy już zrezygnowani, zmęczeni. Naraz Księżę Nocy pochylił się nad staroświeckim żelazkiem. W jego wnętrzu zamiast duszy odkrył wypchany płócienny woreczek. Niecierpliwymi z emocji pacami rozwiązał go. Zagrzechotało.

– Mam! – szepnął.

W woreczku błyszczały złotym blaskiem niewielkie monety.

– Świnki, czy ruble – zaszeptał Księżę Nocy.

Wysypał na dłoń zawartość woreczka i z upodobaniem gładził monety. Nic już więcej nie znaleźliśmy na strychu. Zeszliśmy na dół. Księżę Nocy wręczył woreczek ze złotymi monetami kobiecie. Opierała się i spoglądała wystraszonymi oczyma na śpiącego niespokojnie staro człowieka. Wreszcie przyjęła. Księżę Nocy nie wziął ani jednej monety. Odnalezienie tego skarbu było dla niego jedynie zabawą i najbardziej cieszył go fakt, że udało mu się odkryć tak przemyślny schowek. Zastanawiał się również, czy stary człowiek pamiętał o wszystkich schowkach. Jego kuzynka długo jeszcze miała skrupuły.

– A jak się dowie? – powtarzała. – Co za wstyd!

Spędziliśmy tam następny dzień do południa. I słyszałem tę pełną osobliwej erudycji rozmowę.

– Almanach gotajski nawet o nich nie wzmiankuje... – głos staro człowieka.

– A tamci po prostu galicyjscy baronowie, Niemiryż, owszem, to zupełnie co innego, stary ukraiński ród... Niemiryż albo Niemirzyż...

Wyjechaliśmy po południu we dwójkę. Córka pozostała tam jeszcze.

– Sprawa odzyskania uczuć ojcowskich jest na dobrej drodze – powiedział Księżę Nocy.

Śródmieście powitało nas jak dawno nie widziany, dynamiczny i kipiący życiem świat. Choć to tak blisko, godzina jazdy ledwie, jednak wracaliśmy z przeszłości, z baśni, z podróży do nie istniejącej krainy, snem jakimś dziwnym wskrzeszonej. Księżę Nocy tak samo jak ja smakował uroki tej wyprawy pod Błonie.

– Mieć taki dworek... – rozmarzył się. – Wieczorami stawiać sobie pasjanse... Na starość niezła wilegiatura.

Byłem ciekaw jego koligacji z właścicielem dworku. Ale zbył mnie wzruszeniem ramion.

– Nieważne!

Tymczasem w tej kawiarni najważniejszej na szlaku wydarzeniem stał się pewien powrót. Powrót Alberta zwanego Orchideą. Tak go nazwała jedna z jego kochanek, myśląc o trucielskiej, jadowitej urodzie tego kwiatu. Wrócił Albert Orchidea po kilkuletnim pobycie w więzieniu. Witano go wylewnie i oglądano ciekawie. Dziewczyny poszeptywały i spoglądały na niego z zalotnością, połączoną z niejaką bojaźnią. Był więc ośrodkiem zainteresowania wszystkich. Wysoki mężczyzna, ubrany z przesadną elegancją, o włosach wypomadowanych i przyklepanych do czaszki jak hełm, rozdzielonych na boku nieskazitelnym przedziałkiem. Bywalcy fundowali mu likier, a Albert Orchidea uśmiechał się, odsłaniając białe, piękne zęby. My też przysiedliśmy się do niego i Orchidea po raz któryś opowiedział chętnie swoją przygodę sprzed kilku lat.

– Przyniosła ciastka, powiedziałem wysokiemu sadowi, a ja ciastek nie lubię, trunkowy jestem raczej, pikantne zakąski owszem, wysoki sąd rozumie, ciastek nie znoszę, i scysja między nami dość gwałtowna na tle odmiennych upodobań, następnie, proszę wysokiego sądu, wpadła w depresję, taki miała uczuciowy charakter, i wyskoczyła oknem, nie zdążyłem interweniować, trzecie piętro, niestety... – Przeciągnął się leniwie i tym razem naprawdę jak bestia wyglądał. – No i sąd nie całkiem dał mi wiarę – kończył. Śmiał się tym swoim dreszcz wywołującym śmiechem, odsłaniając białe, piękne zęby. Popatrzył po dziewczynach.

– Trzeba zająć się którąś – powiedział.

Księcia Nocy potraktował pobłażliwie.

– Jeszcze się uchowałaś. Ty – zamyślił się, szukając dalszych słów – jesteś całkiem deficytowa persona.

Książę Nocy nie czuł się w jego obecności zbyt pewnie.

– On – szepnął na boku – traktuje wszystko jednoznacznie. Takich nie znoszę. Po prostu zwykły przestępca. Sutener. Handluje dziwkami...

Dziewczyny Księcia! Tyle ich przewinęło się podczas tych dwóch lat, kiedy mu asystowałem. Niektóre bywały olśniewające. Jak ta niedoszła maturzystka, co uciekła z domu. Była chyba moją rówieśniczką. Z cudzoziemską – Terry – ją nazywał. Jasnowłosa dziewczyna o urodzie boginki, ślepo w niego zapatrzone, każdą kreację mojego mistrza przyjmowała z takim bezgranicznym przejęciem, te jej oczy, tle w nich błysków zauroczenia. Tak oto z całą swą pensjonarską potrzebą romantycznej miłości oddała się Księciu Nocy, zrywając za sobą wszystkie mosty (uciekła z domu, ojciec jakiś wzięty lekarz, a z niej typowa rozpieszczona jedynaczka), i stała się najczulszym sejsmografem każdej gry, zabawy, mistyfikacji mojego Księcia. Najbardziej jej oczy pamiętam, wpatrzone w niego, Księcia Nocy, Pallę, Wolnego Człowieka, bo i taki przydomek otrzymał raz tak, a raz tak mówiło się o nim, albo razem, jednym ciągiem. Patrzyłem na tę dziewczynę i siebie sprzed półtora roku widziałem. Cieszyłem się, że takie dziewczyny też można w życiu znaleźć. Chyba w tej Terry kochałem się skrycie. Ta jej czysta, niewinna uroda, egzaltacja, wrażliwość i ten ruch niecierpliwy, kiedy dłonią poprawia włosy, zasłuchana w Księcia. Być może skrycie liczyłem, z i mój głos kiedyś zwabi podobna. Terry uciekła z domu i wcale to nie był krótkotrwały zryw rozkapryszonej jedynaczki, która w zetknięciu z odpychającą rzeczywistością powróci czym prędzej do beztroskiej wygody życia w willi na Saskiej Kępie. Sypiała z nim bez słowa protestu w najokropniejszych norach, gdyż z upodobaniem oprowadzał ja po swoich bazach noclegowych, jak mówił. A skrzywienie łóżka, na którym oni leżeli, powodowało u mnie długie godziny bezsenności i wszystko na tym ich łóżku, choć była ciemność, widziałem. Towarzyszyła mu ta Terry ślepo zakochana w wyprawach na bazar czy wizytach u przedziwnych jego wielbicieli i adoratorów, brała udział w jego bezsensownych działaniach, kończących się nieraz śmiesznością, i nigdy się nie śmiała. Ze spokojem znosiła wulgarne uwagi o swojej urodzie słuchaczy jego monologów z knajpy „Metro”. I chyba żadnego głosu poza jego głosem nie słyszała. Nic właściwie nie mogło jej czystego uczucia zanieczyścić. Takie miałem przekonanie. A jednak...

– Wychować ją muszę – oświadczył z pokrętnym uśmiechem Książę Nocy.

Zajął się edukacją z ogromnym zapałem. Jej młode, egzaltowane uczucie przechodziło przez wiele prób. Skromny zakres jej życiowych doświadczeń poszerzony został brutalnie. Podsuwał ją Książę Nocy jako smaczny kęs hulakom z „Oazy”. Na wabia nęciła wyszczekaną, cyniczną sferę żurnalistów, jego przyjaciół jeszcze ze studiów. Nawet oni jednak na jej widok peszyli się jakoś. Ta jej czystość, młodość, uroda... Dla żartu czy z książęcej rozrzutności podsuwał ją rozmaitym wykolejeńcom i obleśnikom.

– Eksperymentuję – powiadał – badam jej i ich reakcję...

Szybko poznawać zaczęła brud, nieprawość, nieczułość, cynizm i wyuzdanie. Czasem tylko z niemym wyrzutem spoglądała na swego nieoczekiwanego w inwencji kochanka. Pamiętam jej minę, przede wszystkim wstręt, to drganie warg nieopanowane, kiedy pewien dyrektor PGR – u, wobec którego Książę Nocy był jakoś zobowiązany, obślizgiwał ją swoją spoconą łapą o serdelkowatych palcach po piersiach, tak wsuwał te łapy pod bluzkę i gmerał; a ona zastygła w jakimś skurczu, pełnym obrzydzenia. Rozkazujący wzrok Księcia Nocy skandował niemo polecenia, które przedtem wyraził słowami: – Rób, co ci każe. Ja myślę za ciebie i siebie zarazem. Pamiętaj!

Aż przyszła ta pointa, dla mnie dotąd jak bolesny, jątrzący cierń w środku. Terry, zmęczona tymi eksperymentami, udreńczona ponad miarę swojej wytrzymałości i ogarnięta niemożli-

wym do uporządkowania chaosem, coraz niecierpliwiej sięgała po wódkę. A on, Księżę Nocy, szeptał mi do ucha swoje zaklęcia: – Nie ma miłości, nie ma czystości, nie ma żadnych wspaniałych, świętych i nienaruszonych ideałów. Zawsze przychodzi żaloszny kres i pod wytrawną ręką czarodzieja złoto zamienia się w błoto.

Poszła wtedy z tym Cyganem bez wahania. Tak zadysponował Księżę Nocy.

– Za piękną grę! Za rozkosz dla uszu!

Był to skrzypek, który naprawdę grał rozdierająco. Coś łkało, wyło, wywoływał trudne do wyrażenia wzruszenie. Księżę Nocy przymknął oczy i jak subtelny meloman wyglądał.

– Idź, zabaw się z tym Paganinim – polecił dziewczynie.

Poszła na parkiet bez wahania i jej oczy, pamiętam, były nienaturalnie rozszerzone, błyszczące, jakby nieobecne. Wyszła też z tym skrzypkiem z lokalu. Tak zadysponował Księżę Nocy.

– Badam wytrzymałość materiału – powiedział – granie cierpliwości, poddaństwa i tak dalej.

Ten wspaniały skrzypek czarodziej oblał ją łakomie i rzucił Księżu Nocy spojrzenie pełne psiej, lubieżnej wdzięczności. A on, Księżę, śmiał się beztrudnie, patrząc na tę skojarzoną przez siebie parę. Terry wkrótce już regularnie wódką zagłuszała swój ból i rozterkę. Czyniła też posłusznie wszystko, co kazał. Może liczyła skrycie na to, że on znudzi się wreszcie tą wieczną grą, zmęczy się po prostu i będą naprawdę, po ludzku razem? Ale był niezmordowany. Długo więc Terry znosiła to jego uporczywe deptanie uczucia, dawała sobą powodować martwo, jak nakręcona lalka, aż wreszcie zaczęła wykazywać pewną niezależność i aktywność. Twardniała i twarz jej poznał brzydki grymas cynizmu.

– Ladacznicza z zasadami – zacierał dłonie Księżę Nocy. – Wbiłem w ten młody łeb szereg sensownych zasad. Ulepiłem tę glinę, nadałem formę i zahartowałem należycie. Oto masz kształt ostateczny... – Chyba naprawdę cieszył się, tak jak cieszy się twórca ze swego dzieła. – Czy nie powinna być mi wdzięczna? Tyle odsłoniętych szczerze sekretów, tyle sztuczek wypróbowanych...

A ja to wszystko widziałem. Na moich oczach działał się ten proces formowania, lepienia, hartowania czy niszczenia, nie wiem, jak to nazwać. Patrzyłem więc i bałem się nieraz. Równocześnie była w tym jakaś fascynacja. Może moja wyobraźnia też już zwichrowana zbyt wczesnym doświadczeniem, za ostrym zapewne dla siedemnastolatka, a może już taka od początku, na rozkład, na chaos, na robaczywość otwartą; choć nieraz aż wzdrygałem się ze strachu i niepokoju, to jednak zawsze jakby mimo woli podążałem w grząskie odmęty. Więc zmienne uczucia mną miotały. To skryte uwielbienie dla Terry. Była moim ideałem kobiecej urody. Moja imaginacja obdarzyła ją też wspaniałą duszą, zdolną do największych uczuć. Jednak ukrywałem się z tą swoją słabością starannie. Nigdy nie dawałem nic poznać po sobie. Jeżeli śmiał się Księżę, śmiałem się i ja. Jeżeli ona spoglądała na mnie osaczona przez niego, przybierałem najwystępniejszy wyraz twarzy. Patrzyłem tylko. Powtarzam: patrzyłem. Ta namiętność patrzenia górowała nierzadko nad innymi. Takie poczucie magazynowania. Warstwa po warstwie układały się gromadzone bez odpoczynku fakty, strzępy faktów, twarze, głosy, domy, ulice, place, całe ciągi zdarzeń, własne losy, przypadkowo poznane losy obcych ludzi, moje i ich radości, klimat, aura, nastrój, moje w tym wzruszenia, wzloty i upadki. Tak gromadziłem bez porządku, ale zawsze z wielką chciwością jakby wielką mozaikę i niczego na razie nie próbowałem oceniać ani osądzać. Po co to wszystko? Nie wiedziałem. Dlatego być może tak mnie pociągał poznany przy Księżu Literat. Księżę traktował go dosyć lekceważąco.

Klepał poufale po kolanie i zapytywał: – Pewnie w portfeliku jakaś wierszówka czy zaliczka na umowę, tak? – Nie czekał na odpowiedź. – Odpał jakąś cząstkę...

Tamten pożyczal bez ociągania. I zaraz mijało zainteresowanie osobą Literata.

– Pocziwy chłop – mówił Książę Nocy. – Ale ta nuda ich egzystencji. Biurko, papier i wieczny wysiłek mózgu, żeby coś wymyślić... A ja! Bez trudu, tylko zmrużę oko, chwilę podumam i co chcę, to mam.

Nie lubił chyba wszelkich określonych twardymi rygorami form działalności. Nudziła go stałość, cierpliwy wysiłek, a także patos, tak bardzo związany ze sztuką.

– Kapłani, olimpijczycy... – ironizował – za życia posągi, celebrują te swoje wypociny jak hostię i jeszcze wieszczami ich nazywają. Ja cierpię za miliony! Ocalić od zapomnienia! Ku pokrzepieniu serc! Takie bzdury strawne tylko dla prostaczków.

Politycy, oni, pamiętam, interesowali go bardziej.

– Polityk wielkiego formatu to jest dopiero szatański fajerwerk, te ich ambicje, władza, osobiste namiętności i zimna nieczułość wobec ludzi, nie mogą się przecież kierować emocjami ani żadnym tam sentymentalizmem.

Miał duży szacunek dla Stalina.

– Gracz – powiadał i spoglądał na jego wielkie portrety, gęsto zdobiące mury naszego miasta.

Ze mną było jednak inaczej. Chciwie podpatrywałem Literata. Przychodził do tej kawiarni najważniejszy na szlaku. Książę Nocy kpił z niego protekcyjnie. Literat wysłuchiwał wszelkich uszczypliwości ze spokojem, a nawet pokorą. Też może tylko patrzył i starał się zapamiętać? Chudy, niedbale ubrany, twarz miał pospolitą, brudne postrzępione paznokcie. Niczym się nie wyróżniał. Była we mnie jakaś nieśmiałość w stosunku do niego. Teraz wiem już na pewno: tak się zaczynał ten nowy, tajemniczy trop, który po latach zaprowadził mnie w obszary literatury i tamten nieznany (anonimowy właśnie, nie znałem jego nazwiska, nie znałem też jego twórczości, z nikim go nie kojarzę) człowiek był moim pierwszym przewodnikiem.

Ale wracam do Terry. Jej dalsze losy potoczyły się oryginalnie i nieoczekiwanie. Zapałał do niej namiętnością jakiś cudzoziemiec, Szwed, chyba kapitan statku, i z nim jako jego żona wyjechała stąd. Była już wtedy dziewczyną ostatecznie ukształtowaną, zimną i doświadczoną w występny życiu.

– Puściłem ją na szerokie wody – nie zmartwił się wcale jej odejściem Książę Nocy.

To też była twórczość. Sprawiedliwie przyznaję Księżu Nocy. W żywym pracował materiale. A mnie zaszeptalo coś złowieszczego: – Takie zabawy odbijają się rykoszetem. Taka w życiu twórczość najgroźniejsza...

Nie chciałem się jednak nad tym zastanawiać. Bo w jakiś sposób też chciałbym w żywym materiale... Próbowałem przecież nieraz. I nie uporządkowałem tego dotąd. Po latach, coraz słabszego i zmęczonego, dopada mnie to raz po raz i zwała z nóg zniecka, a wtedy widzę proces przemian nieodwracalny wypisany na twarzy Terry, dziewczyny z progu mojej młodości właśnie. Za nią majaczy twarz Księcia Nocy, która, coraz bardziej powykrzywiana w grymasach, zupełnie straciła ludzki charakter.

O Terry dochodziły później wieści z dalekich stron. W Szwecji nieźle dawała sobie radę. Lekko zmieniała mężczyzn i w wygodach materialnych pięła się coraz wyżej. Książę Nocy wykorzystywał jej los dla swoich bajek z tysiąca i jednej nocy.

– Terry – zaczynał z lubością – kiedy przyjechała do Chamonix i stanęła w hotelu Mont Blanc...

Sam nadal występował przy jej boku, opiekował się nią, karmił i pieścił, puszczał na coraz szersze wody. Choć... raz powiedział coś zupełnie innego. Był wtedy chory i odwiedziłem go w domu. Jego matka już nie żyła i nikt nie opiekował się nim w chorobie. Dziękował z prawdziwą wdzięcznością za życzliwość i lekarstwa, które mu przyniosłem.

– Żał mi – powiedział nagle – tej Terry... Tak to się rozwiało... Mieć dziewczynę, być z nią... Ech! – machnął ręką – nie słuchaj tego... Skowyt chorego człowieka... Co by było, gdyby... – zamruczał gniewnie.

Pojawiła się ta Terry po wielu latach już jako cudzoziemka w naszym mieście. Godna i wyniosła dama, ozdobiona złotem i szlachetnymi kamieniami, z twarzą dzięki kosmetykom ciągle zachowującą piękność i młodość, może zbyt podejrzanie tylko zastygła, o skórze gładkiej i bez zmarszczek. Nonszalancko niedbale a pewnie podjechała swoim czerwonym sportowym samochodem po hotel dla dewizowych gości ta pani z dalekich stron.

Wybrała się, aby zobaczyć Księcia Nocy. Ja byłem jej przewodnikiem. Szukaliśmy go doryć długo. Wtedy już gonił resztami sił, szwankowało zdrowie, bezdomny, sypiał gdzie bądź, demonizm jego urody też znikł bez śladu, wąska wychudzona twarz i tej jeden jedyny ząb, co wychylał się spomiędzy warg. Odnaleźliśmy go przy wejściu na praski bazar. Jak emeryt siedział na ławeczce. Wygrzewał się w jesiennym słońcu. Pozdrawiały go przekupki. Dowcipkowali na jego widok młodzi, rośli mężczyźni o twarzach wielkomięjskich wyjadaczy. Jakaś litościwa ręka miseczkę z pyzami mu podsunęła. Patrzyła Terry i patrzyła. Też popatrzył na nią. Ale w jego oczach nie było żadnego wyrazu. Choć poznał ją przecież. Po prostu odpowiedział martwym, obojętnym spojrzeniem. Tak jakby to dzieło jego rąk, umysłu i wyobraźni przestało go już zupełnie interesować. Puścił lekko w świat i zapomniał. Terry pogrzebała w torebce i wsunęła mu do kieszeni zwitek banknotów. Też przyjął to obojętnie. Był to już Książę Nocy przy końcu swojej drogi. Płątały mu się osoby; zdarzenia z przeszłości, żywi, martwi, tłum przecież przewalił się przez jego życie.

Znów jednak wracam do tamtych czasów. Kiedy ja byłem u progu, a on jeszcze w pełni sił.

Oto naładowany Albertem Orchideą i tym jego bezwzględny, nieludzkim cynizmem, Księciem i jego olśniewającymi praktykami, najbardziej tą tresurą ślicznej uczennicy zwanej z cudzoziemska Terry, złodziejami kłębiącymi się w gruzach za kinem „Palladium”, wracam do swojej dziewczyny, Barbary. Przyjmowała mnie bez słowa skargi na długą nieobecność, również bez najmniejszego wyrzutu z powodu mojej brutalności czy ordynarnej, łobuzerskiej poza faceta ze szlaku. W milczeniu zabierała się do przygotowania kolacji. Patrzyłem na nią chłodnym, badawczym wzrokiem i wydawała mi się szara, brzydka, nieciekawa. Nie miała kształtów Linijki ani też romantycznego uniesienia w oczach jak Terry. Jej oczy były smutne i żadnego w nich zauroczenia. Raczej troska i rozsądek przedwcześnie dojrzałej dziewczyny, która ma ciężkie, wymagające cierpliwości obowiązki. Po prostu oddana swojemu chłopcu, gotowa znieść jeszcze wiele prób, moja dziewczyna. Rozmyślałem wtedy o różnych możliwościach eksperymentów z kobietami. Raz pragnąłem być bez uczuć i lepić tę Barbarę, jak Terry lepił mój Książę. To znów czekałem na wielką, szaleńczą miłość, pełną niezwykłych przeżyć. I żeby zagłuszyć ten uporczywy niepokój, z upodobaniem kreowałem siebie w ciągu różnych zmiennych zdarzeń. Moim wdzięcznym słuchaczem był trzynastoletni brat Barbary, Bogdan. W jego oczach widziałem tę samą chciwość, gotowość i niecierpliwość, jaka była we mnie, kiedy tak błędząc po śródmieściu pierwszy raz natknąłem się na Księcia Nocy. Na koniec leżąc obok Barbary wyobrażałem sobie te wyimaginowane, nieosiągalne kobiety, a tępe zmęczenie było najlepszym lekarstwem. Zresztą wkrótce od niej odszedłem. Hańbił mnie ten lichy kompromis marzeń z ich niespełnieniem. Żal mi było Barbary. Męczyło wielopiętrowe udawanie. Barbarę spotkałem po latach. Szła z jakimś mężczyzną. Przeszła obojętnie. Poznała mnie jednak. W jej oczach, kiedy na mnie popatrzyła, był wrogi chłód. Tak popatrzyła na mnie jak na jałowe szaleństwo swojej młodości.

Po Barbarze była ta kochanka znanego złodzieja, który siedział w więzieniu. Leżałem z nią i rozpierała mnie naiwna młodzieńcza duma, że takiego miałem poprzednika. Ona przeważnie milczała. Twarz miała niebrzydką, ciało duże i doświadczenie, język skrótowy i zasób złej, mrocznej wiedzy o życiu imponujący. Nigdy nie śmiałem zwierzać się jej ze swego zagnatwanego świata wyobraźni. Przy niej starałem się być małomówny, rzeczowy i szorstki jak ten mój poprzednik, Garbinos, co siedział w więzieniu. Wtedy już coraz rzadziej widywałem Księcia Nocy. Coraz częściej w jego obecności odczuwałem znużenie. Zbyt dużo nagroma-

dziłem doświadczeń, zbyt dużo ciemnych praktyk sobie przyswoilem i niekiedy uczucie przytłoczenia dokuczało fizycznym wprost ciężarem. Dlatego zacząłem odczuwać znużenie. Tępe, jałowe znużenie. Jakby wyobraźnia, tak bardzo nasyciona, przyjmować cokolwiek przestawała. I twarz miałem szarą, grymasem znużenia napiętnowaną. A przymykając oczy po tych dniach pełnych bieganin, gdy jak karuzela kręciło się życie, szara wypaloną pustynię widziałem, ludzie poruszali się na niej jak marionetki. Rezygnacja i monotonią wiało od tego przygnębiającego obrazu. Otwierałem oczy i chciałem, żeby coś się stało. Żeby ten bagaż, którym się obarczyłem, mógł mieć jakiś sens, stać się materiałem koniecznym do budowy czegoś. Czego? Tego nie wiedziałem. I z nikim tymi rozterkami dzielić się nie mogłem. Z Księciem Nocy? Jemu przypisywałem najważniejszą rolę w tym nagromadzeniu wiedzy i przeżyć. Jemu więc o tym powiedzieć nie mogłem. Poza nim nie miałem już nikogo. Czuję się zagubiony w chaosie, nie znajdowałem żadnej ścieżki, nie umiałem żadnym porządkiem obdarzyć tego chaosu. Bardzo się obawiałem, że gnici i marnieć zaczną to nagromadzone w mojej pamięci i najwyżej pozostaną już na zawsze cynicznym, występnyim człowiekiem, który wszystko zna od podszewki i w żadnym ludzkim działaniu nie potrafi dojrzeć wzniesłego sensu. Wyczekiwałem w napięciu. Rozglądałem się czujnie. Odtąd wierzyć zacząłem głęboko w siłę pragnienia, bo pragnienie sprawiło, że wtedy poznałem Ząbka i jego ferajnę.

Poznałem tego śniadego po cygańsku chłopaka ze złotym zębem na przedzie. Wołali na niego po prostu Ząbek i patrzyli z szacunkiem. Rzucało się w oczy, że bardzo się liczył. Piliśmy wódkę w podwórzu na Srebrnej, gdzie stały węglarskie platformy zaprzężone w rosłe, słoniowate perszerony. Przyprowadził mnie tutaj doliniarz Plebaniaczek. I tak popatrzyliśmy na siebie z Ząbkim po raz pierwszy.

– Chodzisz w miasto? – zapytał.

Przytaknąłem.

– W czym się starasz? – zadał drugie pytanie.

Poczerwieniałem i nie wiedziałem co odpowiedzieć. Z pomocą pośpieszył doliniarz Plebaniaczek.

– Dopiero zaczyna – powiedział. – Patrzy. Ale dosyć bystry i oblatany.

Ząbek już przestał się mną interesować, ale miałem pewność, że mnie zapamiętał. Wtedy już biegle potrafiłem władać czarodziejską różdżką Księcia Nocy i ten świat Ząbka, tych wszystkich z kotwicami i półksiężycami tatuowanymi na dłoniach, pochłaniał mnie coraz bardziej. Wydał mi się światem dawno upragnionych czynów. A czas z Księciem Nocy terminem, praktyką właśnie, która pozwoliła mi zrzucić przeróżne obciążenia i pozbyć się krępujących zahamowań. Puściłem się na szerokie wody. Widziałem w tym perspektywę i swobodę. Dom, rodzice, ich troska, przerażone oczy, perswazje czy groźby – wszystko to przestało się zupełnie dla mnie liczyć. Nawet Księciu Nocy, swoim mistrzu, myślałem z rzadka i zawsze pobłaźliwie. On był tylko oda fantazji. Tu zaś spotkała się w moim przekonaniu fantazja z rzeczywistością. Zrosnięta ze sobą mocno i tak nieoczekiwanie. Tamte lata czasem Ząbka teraz nazywam. Nasze losy zasupły się na tych krętych ścieżkach, którymi przemykać się zacząłem. Przystępczy czyn opromieniony mitologią. Oto była ta nowa formuła, dla której porzuciłem dotychczasowe błędzenie. A najdokładniej pamiętam tę celę małodatków na siódmym oddziale.

Więziennego doświadczenia! Bo i ta próba dosięgnęła mnie wreszcie. Była wpadka, nie udał się skok na ten wystawiony interes, niefart, jak to się mówi, i choć współnicy uciekli, ja, który stałem na „świecy”, zostałem schwytyany. Zimny metal kajdanek. Egzamin. Tak pomyślałem. I choć śledczy Banasik w dzielnicowej komendzie nieraz wyciskał łzy z moich oczu, mówiąc: – A tam na wolności wasz ojciec, wasza matka... pewnie spać nie mogą, myślą biedni rodzice o swoim jedynaku... A wy nic swego losu złagodzić nie chcecie... – to jednak milczałem jak zaklęty i współników nie wydałem, jak prawo Newtona powtarzałem sobie, co mówili starzy i doświadczeni: Lepsza jest jedna zaparta niż sto przyznanych. Tak więc na koniec tych dwóch

tygodni przesłuchań śledczy Banasik uśmiechnął się krzywo i nie częstując mnie jak zwykle papierosem polecił, żebym złożył podpis pod protokołem. Przed komendą czekała już „suka”, i pojechałem. Tak zaczęły się moje więzienne doświadczenia. Inny, określony innymi prawami świat: podnosi się klapka wizjera, tylko ten zgrzyt masywnej bramy i klucza wystarczy. Strach był we mnie, ale i ciekawość wielka, już od początku przewyższająca strach. I nigdy odtąd nie mówię: „w celi”, ale: „pod celą”: tak tam się mówiło i zostało to we mnie na stałe, nawet wyrwany z głębokiego snu tak od razu powiem.

Cele były nieduże, zapchane ludźmi ponad swoją pojemność. W tych przeróżnych celach, poczynając od przejściówki i kwarantanny, później hartowany przez izolatki i karcery, rozpoczynałem swoją wędrówkę. Bo mimo ciasnoty tego miejsca jak w labiryncie długie tu były drogi. Na początku porażony przede wszystkim odmiennością od wszystkiego, co znałem dotąd. Tu, w ludzkiej gęstwinie zalegającej cele z małymi okratowanymi okienkami pod sufitem, wśród nieustannego klekotu butów na drewnianych podszwach, zwanych klumpami, zanurzyłem się w zupełnie inne szyfry, układy i tajemnice. I choć tak ciasno tutaj, te nasze cele tak szczelnie oddzielone grubymi murami i kratami, a strażnicy tak czujni i surowi, to jednak nieprzerwanie rozchodziły się jakieś sygnały, stukano obcasami w ściany, zaraz z sąsiedniej celi odpowiadał podobny stukot, przez okna rzucano na sznurze worki obciążone cegłami, w których znajdowały się grypsy, żywność, papierosy; więc istniała nadzwyczaj sprawnie zorganizowana łączność i tylko na samym początku miałem przeraźliwe uczucie, że zostałem wepchnięty do głębokiej, ciemnej studni. Szybko odsłoniła się przede mną posepna, ale wciągająca zarazem logika tego miejsca. Tu dopiero naprawdę zanurzyłem się w tę mowę przestępczą (której pierwsze próbki otrzymałem od starego cynkarza Kurdziela, przyjaciela Księcia Nocy), pełną słów zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych, w tę złodziejską kminę, pozornie ubogą, ale jakże bogatą właśnie przez swą drapieżną skrótowość, tu również poznałem te ściśle przestrzegane hierarchie, kastowy podział ludzi zamkniętego świata. Już na przejściówce, która była tylko chaosem, następowały pierwsze porozumienia, ustalała się z początku niezrozumiała dla mnie skala wartości. Już przecież otwierały się drzwi tej przejściowej celi i pojawiał się w progu kalifaktor z kotłem żarcia i chochlą, którą operował ze zręcznością akrobaty. Od razu stałem się świadkiem niemych, a niezwykle ważnych porozumień. Oto podchodzi do kotła mały, zgarbiony człowieczek o niczym się nie wyróżniającej twarzy, jego oczy zderzają się z oczyma kalifaktora, zwanego pobłaźliwie fajfusem, jest to kilka sekund tylko i fajfus nabiera mu hojną ręką tłuszczu z wierzchu kotła, dokłada tej pożywnej kluskowo – kartoflanej gęstwy z dna. Ten mały człowieczek zajmuje w wyniku niemego porozumienia uprzywilejowaną pozycję. Choć ta przejściówka to była jeszcze magma właściwie, cela jak hotel, na dwie, trzy noce tylko. Jeszcze nie ujawniały się w całej jaskrawości osobliwe zwyczaje tutejszego życia. Toteż przez tych kilka nocy największą estymą cieszył się handlarz (który po kilku miesiącach pobytu już był na najniższym tutejszym miejscu, milczący, smutny i skwaszony, tłoczył się w tłumie pariasów, zwanych po prostu gettem) posadzony za fałszywy towar, jakieś oszukańcze cukierki, poprawiane krochmalem i sacharyną, farbowane na wielokolorowo, schwytyany w trakcie tego procederu; odznaczał się niezmordowanym gadulstwem, zresztą barwnym i dowcipnym, godzinami opowiadała swoje odpustowe przygody i hojnie bywał za to obdarowywany papierosami. A równocześnie dwaj moi sąsiedzi pograżali się w ochryplym szeptem prowadzonej rozmowie, a w tej rozmowie długi szlak znaczone etapami wielu więzień, padały nazwy: Wołów, Siedlce, Wronki, Rawicz, Płock, Strzelce Opolskie, wspominali swoich kompanów i współników. Z tej tajemniczym szeptem prowadzonej rozmowy wyłaniała się sprężysta, solidna wspólnota kryminalistów i wyrokowców, zahartowana, okrutna, połowę życia spędzająca w ciurmach, tak bardzo odmienna od wszystkich ludzkich wspólnot i środowisk, które znałem dotąd.

Opuściłem wkrótce przejściówkę i dotarłem do następnego kręgu wtajemniczenia. Znalazłem się na kwarantannie, gdzie surowy reżim trzymał celowy Szatan, rosły, wysoki mężczy-

zna o zwierzęcej, dzikiej twarzy. Tu już ściśle i surowo przestrzegano przestępczego kodeksu. Wieśniacy i nowicjusze układali się pokotem na betonie, a celowy pośpieszał ich w tym wieczornym obrządku waląc drewnianą pałką w zadki i plecy. Natomiast ci z uprzywilejowanej warstwy, legitymujący się wyrokami i wykonywaniem rozmaitych przestępczych zawodów, zajmowali prycze i patrzyli z góry na pełzającą po betonie ciżbę. Między nimi również dawał się zaobserwować pewien podział według pozycji i znaczenia, oni też nie byli wobec siebie równie i jedni z nich tą letnią porą otrzymywali lepsze prycze, przy oknach, a więc z dostępem świeżego powietrza i widokiem na niebo, inni zaś sypiali na dolnych pryczach lub daleko od okien. Wszyscy jednak przyjmowali swoje miejsca bez sprzeciwu, dlatego sądzić można, że przydział ten był według obowiązujących tutaj reguł chyba sprawiedliwy. I dotąd mam przed oczyma niezwykle wyrazisty obraz: zbity tłum wieśniaków i przypadkowych aresztantów, słowem cały ten więzienny gmin, getto; tłoczny się ten tłum pod ścianami, a pośrodku celi wolna przestrzeń i tam spacerują sobie panowie złodzieje. Zapamiętałem również tę dokładną rewizję, której poddawał celowy Szatan wszystkich nowicjuszy. Wchodzili po celę popychani przez oddziałowego, drzwi zatrzaśkiwały się, a oni tak stali trzymając niezgrabnie swój więzienny ekwipunek w postaci koca, zagłówek, prześcieradła, miski i łyżki; wszystko to grzechotało i wysuwało im się z rąk, a oni stali i rozglądali się niepewnie. Celowy Szatan w asyście swych sprawnych, okrutnych pomocników odbierał im papierosy, wolnościowe walówki z żarciem i co ładniejsze osobiste drobiazgi. Umieszczał to wszystko w swojej pod ręcznej szafeczce nad pryczą i oznajmiał ze złośliwym uśmiechem: – Wszelka własność prywatna podlega likwidacji!!!

Zauważyłem też szybko, że więzienne naczalstwo, klawisze, inspekcyjni, spece, a nawet naczelnik w jakiś sposób respektują wewnętrzne, niepisane prawa kryminalistów, a tych uważających się na swój los lub donosicielstwem próbujących wkupić się w łaskę traktują z wyraźną pogardą. Pewien stary klawisz przezwiskiem Chiński Ptak ciągle używał złodziejskich zakłec i mówiono, że przed wojną sam był również więźniem. On to darzył wyraźnie sympatią celowego Szatana i nieraz już po wieczornym apelu uchylał drzwi i gwarzył z nim długo. Więc ci przypadkowi więźniowie, frajerzy i wieśniacy również na zewnątrz celi znajdowali oparcia i zrozumienia. A mnie pociągał niezwykle ten proces zmiany osobowości – niewolniczego podporządkowania, strachu i małości ludzi, którzy trafili tutaj przypadkowo. Tam na wolności być może huczni, bujni, swobodni, przywykli do samodzielności i podporządkowywania sobie innych, tutaj tracili szybko te wolnościowe cechy; żelazną ręką zmuszał ich do psiej uległości celowy Szatan.

Ja zostałem zakwalifikowany do grupy małolatków, tych młodych adeptów przestępczego procederu, niecierpliwie, z młodzieńczą gwałtownością i energią przechodzących swą inicjację. Moim protektorem okazał się właśnie Ząbek. Już tu przede mną przebywał i cieszył się znacznym mirem zarówno wśród swoich rówieśników, jak również u starszych. Pamiętał o mnie i kiedy tylko stanąłem w progu tej kwarantanny, gdzie rządził wszechwładnie Szatan, wiedziano, kim jestem i kiedy się tu dostałem, gdyż więzienna poczta między celami i oddziałami działała z zadziwiająco szybkością. Ząbkowi więc zawdzięczam to, że celowy Szatan i dwaj jego pomocnicy, Goryl z Targówka i Widłonogi, nie poddali mnie okrutnej i często hańbiącej tresurze. Tak oto zostałem wyróżniony i co jakiś czas celowy Szatan, otwierając swoją szafeczkę nad pryczą, gdzie leżały stosy zabranych papierosów, rzucał mnie również jednego: – Zajarz sobie szluga, małolat! – Nocami wcale nie ukrywał przede mną tego tajemniczego handlu, który odbywał się między naszą celą a blatnym strażnikiem, pełniącym dyżur na pobliskiej wieży z reflektorem przy więziennym murze. Za pomocą „konია”, owego worka na długim sznurze, przerzucał celowy Szatan i jego asystenci garderobę odbieraną co lepiej ubranym (jeszcze przecież w wolnościowych strojach paradującym pod tą celą) frajerom, wszelkim nowicjuszom i ludziom nie podlegającym opiece przestępczego kodeksu, przeważnie tym bogatym handlarzom i kombinatorom, którzy trafili za handel złotem czy dolarami i

byli najlepiej ubrani, zasobni przecież tam na wolności. Szatan po prostu obdzierał ich z garniturów, swetrów, koszul i butów na grubej podeszwie, w zamian wydając im jakieś stare, przepocone ciuchy, a oni, przerażeni i sterroryzowani, nie śmieli donieść o tym więziennej władzy.

Fascynujące to były noce, pełne zduszonych szeptów, na ten sygnał: Kopsaj konia – worek śmigał z wieżyczki albo okienka naszej celi. Był to bowiem handel wymienny i z wieżyczki celowy Szatan otrzymywał papierowy lepszych gatunków, kielbasę, a nawet wódkę. Czasem nocami po tym zajęciu odbywały się uczty i śpiewałem ochoczo wraz z innymi: „Kto z was nie siedział, ten tego nie zrozumie, tęsknoty więźnia w szarego dnia zadumie...” lub: „Gdy trupi blask księżycy ogarnie całą ziemię, tu w murach na Gęsiówce śpi niewolnicze plemię...”

Wzruszały mnie te hymny. Czułem się wyklęty i dumny z tego wyklęcia. Sam dokonałem wyboru. Pieśń urywała się i wpadali klawisz. Któryś z nas szedł do karceru.

Na koniec swojej wędrówki dotarłem na siódmy oddział, pod celę słynną w całym więzieniu, celę krnąbrnych i żywiołowych maślanków, gdzie panem udzielnym, królem z bożej złodziejskiej łaski był Ząbek, ten śniady, muskularny chłopak o wiecznie uśmiechniętych oczach, ze złotym zębem na przedzie. W pierwszych już dniach pobytu pod celą zobaczyłem tatuaż na jego przedramieniu. Ten tatuaż odtąd w przeróżnych sytuacjach mi się przypomina i wagę temu jakąś magiczną, niewytłumaczalną przypisuję. Była to świetna robota, zarówno pod względem gęstego ściegu, umiejętnego cieniowania i pewnej kreski – musiał więc kluczyć to nie byle jaki fachowiec – jak też rysunku delikatnego, wyrazistego, zdolności malarskie zasadnie udowadniającego. Tatuaż przedstawiał różę o szerokich, mięsistych płatkach, w niej umieszczony został wizerunek Matki Boskiej. Trzy kolory ożywiały rysunek: krwiste czerwone płatki róży na czarnej łodyżce i niebieska twarz Świętej Matki. I ciągle pod tą celą występuje mi przed oczyma ręka Ząbka zdobna w ten tatuaż. Czy to przed rannym apelem, kiedy zrywaliśmy się z wyrek, czy podczas popołudniowych spacerów, kiedy duchota zatłoczonej celi zmuszała nas do ściągania koszul i leniwego snucia się w tym karykaturalnym spacerze na pięć specjalnie drobionych kroków. Powiedział mi wtedy Ząbek o powstaniu tatuażu. Jest ich czterech, wszyscy z Matką Boską w Różę, byli jeszcze w poprawczaku, pierwszy etap ich terminu, i tak połączyli się przez tę Różę węzłem trwałego współnictwa. Mówił o tym Ząbek z ożywieniem, błyszczały mu oczy. Wyliczał po raz któryś: – Ja, Kaczor, Pepo i Baba Jaga, we czterech sobie machnęliśmy, a dziargał Pepo, dziargał i rysował. Pepo git rysował. – Patrzyłem zazdrośnie na Różę zdobiącą śniadą rękę Ząbka. Pragnąłem skrycie być tym piątym z Różą. Nigdy jednak głośno o tym nie mówiłem. Bałem się pobłażliwej kpiny w oczach Ząbka. Myślę po tylu latach: jeżeli powstają w ogóle trwałe męskie przyjaźnie, które mają coś znaczyć przez całe życie, to wtedy właśnie taka przyjaźń narodziła się między mną a Ząbkem. Widzę znów naszą młodość osiemnastoletnią i to miejsce ponure, okratowane. Był Ząbek moim wzorem i jak aureola opromieniała go sława odważnego, w wielu już próbach zahartowanego opryszka. Tę jego monolityczną siłę, nie nadwątloną żadną wątpliwością, ja, uczeń Księcia Nocy, zdobyłem w romantyzm, barwę i mitologię, najlepiej jak tylko zdobić w tym czasie potrafiłem. Moje naiwne wzruszenia, kiedy Ząbek zaczynał swoje wieczorne grypowanie z sąsiednimi celami i oddziałem po drugiej stronie spacerniaka. Piętro niżej siedział jego stryj, weteran włamań, otoczony powszechnym szacunkiem więzienny arystokrata; a żeński oddział po drugiej stronie spacerniaka odpowiadał mu dźwięcznym głosem kobiety: – Trzymaj się, Ząbeczku jedyny!

To była jego siostra, Krystyna, i Ząbek często śpiewał dla niej tęskne, na melodię przebrzmiałych tang, prymitywnie rymowane pieśni złodziejskie. Dla mnie wtedy jak orzeł wyglądał, tak szeroko rozpościerał ramiona na okratowanym oknie, a my warowaliśmy pod drzwiami, nad słuchując, czy korytarzem nie zbliży się klawisz.

Śpiew przeważnie przerywał czujny okrzyk: – Atanda!

Znaczyło to, że korytarzem oddziału zbliża się niebezpieczeństwo. Ząbek zsuwał się z ręcznikiem z krat i spoglądając na klawisza, który uchlał nagle drzwi, pytał z kpiącą miną: – Co pan taki niespokojny, kierowniczkę?

Z wielkim wzruszeniem (ta euforia nie opuszcza mnie dotąd) wspominam tę przyjaźń przeżywą pod celą na siódmym oddziale. Staralem się też czymś Ząbkowi odpłacić. Odpłacić za to, że mnie właśnie wybrał, a tytu tam siedziało małych, bardziej już doświadczonych ode mnie w przestępczym procederze i mających za sobą różne wyczyny, o których mówiono z uznaniem. Wieczorami więc, kiedy już zgasło światło odrutowanej żarówki na suficie, opowiadałem książki właściwie wymyślałem, korzystając z wielu książek, z zapamiętanych fragmentów, wątków, sylwetek bohaterów – taką jedną, rozgrywającą się podczas więziennych wieczorów baśń, i największa dla mnie satysfakcją były błyszczące przyjęciem oczy Ząbka; chciwie raz po raz zaciągał się papierosem i rozbłyskujący ogień pokazywał jego oczy. A kiedy urywałem na chwilę dla odsapnięcia lub wymyślenia czegoś nowego, rozległ się jego niecierpliwy głos: – Ładuj dalej!

Czułem się twórcą w pełnym tego słowa znaczeniu i głos Ząbka pokorny, przymilny, kiedy tak prosił o dalszy ciąg, upajał mnie najbardziej. Oto jaka była moja odpłatność w naszej wielkiej przyjaźni, w której za dnia wszystko należało do niego. Odczuwałem równocześnie po raz pierwszy siłę sztuki, która na chwilę chociaż wszystko: celę i ludzi w niej się znajdujących, zmieniała, przenosiła gdzie indziej, wyrazem tego były westchnienia tu i tam oraz z nagłą rozbłyskujące ogniki papierosów. Za dnia życie powracało do swojego zwyczajnego wymiaru i za dnia też Ząbek nigdy o tym moim bajaniu nie mówił. Tylko wraz ze zbliżaniem się wieczoru nieraz czułem jego badawcze, skupione spojrzenie, jakby starał się przeniknąć, zrozumieć i dotrzeć do sedna tej mojej umiejętności, która wieczorem po zgaśnięciu światła mnie czyniła z kolei panem tego miejsca. W tym swoim bajaniu odgrywałem rozmaite misteria, to powoływałem świat przygód czy awantur niebywałych (czasem wtedy Książę Nocy mi się przypominał i zapewne z wielu jego opowieści korzystałem), to znów dramaty miłosne snułem (romantyczni kochankowie typu Romea i Julii, a więc czysty, liryczny wątek) lub wyłącznie wyuzdaną, naturalistyczną orgią ciał się zajmowałem i wtedy Piękna Ita znów przez moimi oczyma naga nad elektryczną maszynką żabio – ohydnie kuciała. Historie orgiastyczne najbardziej przeżywałem, dojrzwianie i głód kobiet ostrym w tym były bodźcem. Sam też oddychałem nierówno jak moi słuchacze, wzburzony kuszącymi wizjami kobiecych ciał. I pamiętam, jak kiedyś zaraz po poincie rozdziału w ten wieczór improwizowanego rozległ się zduszony głos Zenka Oliwy, pierwszego siłacza pod tą celą i najokrutniejszego w tresowaniu chamków i frajerów specjalisty; ten jego głos, wzburzony erotycznym rozpasaniem rozdziału danego na ten wieczór, zabrzmiał gniewnie i niecierpliwie: – Jak chcecie, to wy nie, ale ja tam dziś biję konia!

Znowu była cisza i głos Ząbka potem: – Zastawiam wszystkich, każdy musi bić konia, temu, co nie będzie bić, wpada carski aż do przełyka!

Wkrótce szelest tylko i posapywanie. Skrzypiały prycze, cienie na ścianach przesuwają się groteskowo. W tym naszym dzikim języku, najeżonym rozmaitymi zakłębieniami, słowo „zastawiam” oznaczało przymus dla wszystkich, a ten zwrot: „carski aż do przełyka” – stanowił największą obelgę dla świadomego więźnia, słowem i czynem wcielającego w życie ten obwarowany często dziwnymi nakazami i zakazami kodeks przestępczy. Dlatego podczas owego wieczoru odbył się zbiorowy onanizm pod napędem skleconą fabułą o zachłannych kochankach, z niezmordowaną pracowitością eksploatujących swoje ciała. Była to zarazem pierwsza moja, jeszcze nieświadoma, pisarska satysfakcja. Dziękuję sprawiedliwie Księżu Nocy: jego fantazja i moje z nim wędrówki po matecznikach śródmieścia dużo mi. I dały bułca na te więziennych wieczory.

Taki był podział w naszej z Ząbką przyjaźni: na jego dzień i moją noc. Nie zawsze przecież te wieczory bajkowymi opowieściami tylko były poświęcone, nieraz szeptem zwierzali-

śmy się ze swoich sekretów, marzeń i Ząbek tak samo po ludzku, zwyczajnie miał swoje rozterki i chwile słabości. Silny jednak był w tym swoim życiu (którego może sam nie wybrał, tak żył jego ojciec, stryjowie, siostra, rówieśnicy) i niezbyt mocno nękany wątpliwościami, wkrótce zasypiał zdrowym snem sprawiedliwego. Ja natomiast długo jeszcze przewracałem się i miotałem na wyrku. Gryzł koc. Drażnił zaduch i chrapanie wokół, nawet przeszkadzał blask księżyca w okienku, a do rozmyślań zmuszały te pierwsze, coraz gęściej osaczające wątpliwości, w których rosła tylko natarczywość pytań i żadnych odpowiedzi. Kierowałem wtedy przeciw sobie rozliczne zarzuty, uważałem się za człowieka bez oblicza, miotanego na ślepo przez rozmaite fascynacje; to znów uważałem, iż należy wyplenić w sobie wszelkie rozterki i wstąpić na szlak kryminalnej recydywy; więc już tak ostro rozprawiwszy się z sobą, pragnąłem mieć chwilę spokoju, ale zaraz przyszło życie przedstawiało mi się jako koszmarny pełen klęsk, hańby i ciągle wymykających się szans. Wreszcie zasypiałem, ale i sen często był ciężki, męczący, pełen widziadeł

Za dnia kipiało pod naszą celą rozmaitymi rozróbami, łamaniem więziennego regulaminu i zażartymi bójkami między sobą. Na ból też byliśmy odporni. Nieraz co bardziej krnąbrnego z nas wyciągali spece z celi do ciemnicy. Jednak prawie wszyscy wracali z hardą, nieprzejednana twarzą. – Nie dali rady mnie złamać – mówiło się po powrocie z ciemnicy.

Sami również uczyliśmy się pogardy dla własnego ciała. Tak jak Władek Kęska ze Żbikowa czy Dziobus, którzy kroili sobie brzuchy żyłką i połykali metalowe pręty. Było nas trzydziestu nastolatków, z których piętnastu zaliczonych zostało do grona wybrańców, elity, stosując starą nomenklaturę, stanowiliśmy Londyn i Paryż; druga piętnastka zaś określana została mianem frajerów i oksów, byli po prostu gettem i czas ich pobytu tutaj zamieniał się w pasmo nieustających wymyślnych udręk i kar, z surowością stosowanych przez celowego Ząbka i jego gwardzistów. Ci ponizeni zmuszani bywali do najbardziej lokajskich posług, ścielenia łóżek wybrańców, czyszczenia ich butów pastą sporządzoną z sadzy wydobywanej z pieca i kłębienia się jak stado baranów w przestrzeni dla nich wydzielonej, to znaczy w smrodliwym rejonie kibla, a łaską największą bywały pozostawione przez niedopałki papierosów, na które rzucali się jak szakale, walcząc zajadle o tych kilka wątych dymków. Służyli również do różnych okrutnych rozrywek i karą na najmniejsze uchylene były plagi wymierzone cienką deseczką, zwaną pieszczotliwie Lolą, na goły, wypięty i drgający strachliwie zadek, który pod uderzeniami Loli w sprawnej dłoni Zenka Oliwy szybko czerwieniał i siniał. Widziałem podczas tych zabiegów wesołe, kpiące zadowoleniem oczy Ząbka. Praw więziennych przestrzegał solennie i tortury zadawane frajerom czy nowicjuszom nie wywoływały w nim żadnego współczucia, Nie byłem jeszcze należycie zahartowany i migotały we mnie wyrzuty sumienia, współczucie i wstyd. Największą rozterkę powodował współwięzień najczęściej dręczony z powodu swego gapiostwa i tępoty. Dla bezinteresownej kpiny znudzeni arystokraci naszej celi wytatuowali na jego krzepkich chłopskich plecach traktor z wielkim chujem, bardzo efektownie wyrastającym z siodła pojazdu, ozdobionego fabryczną nazwą „Ursus”. Ten udręczony wieśniak o humorystycznym nazwisku Schabek największy powodował we mnie protest. Pewnego wieczoru spróbowałem pomówić o jego nieszczęsnym losie z Ząbkem. Wyśmiał mnie i nie pozwolił dokończyć. – Frajera i stróż pierdol na środku podwórza! – zakończył ordynarnym rymem i zaraz zasnął.

Uporczywie nękany wyrzutami sumienia, co wieczór też uporczywie bajdurzyłem Ząbko wi o idealnej komunie więźniów połączonych braterstwem, równością i wzajemnym szacunkiem. Taką tworzyłem Wyspę Szczęśliwej Utopii, która wnet zaprzątnęła mój umysł i wyobraźnię bez reszty. Stała się swoistą obsesją, nawet Ząbek już mi nie przerywał, tylko przyglądał się z zafrasowaniem, a kiedy skończyłem swój wywód, nie odzywał się ani słowem i w milczeniu częstował mnie papierosem. Paliliśmy skrzętnie, chciwie, do parzącego palce niedopałka i tuż przed snem Ząbek szturchnął mnie w ramię i mówił:

– Chociaż we śnie nie zaprzataj sobie tym globusa.

Myślę, że w sprawie tego mojego dziwactwa (bo jakże to inaczej nazwać w tamtym miejscu) dał Ząbek dowód prawdziwej przyjaźni. I choć używałem najbardziej porywających i demagogicznych argumentów, żeby go przekonać (posunąłem się nawet do tego, że o chwale, na jaką sobie zasłuży w oczach potomności, mówiłem), to jednak nie zrozumiał tego nigdy, dla jego praktycznej złodziejskiej wyobraźni moje rozumowanie mogło być jedynie zwariowaną mrzonką. Tylko patrzył na mnie uważnie i kiedy perorowałem coraz bardziej zapalczynie, już nie wybuchał w odpowiedzi szyderstwem czy kpina. Myślę też, że powodem najważniejszym była moja odmienność, która przejawiała się w tych moich wieczornych improvisacjach, kiedy panowałem w jakiś dziwny sposób nad całą celą.

Dlatego ku mojemu zdumieniu (jego uporczywe milczenie jako odmowę traktowałem) zgodził się łaskawie na reformę. Łaskawie i pobłażliwie zarazem. Pewnego popołudnia, uśmiechając się zagadkowo, oświadczył wszystkim, że odtąd pod naszą celą panować będą inne zwyczaje. Zgrabnie i zwięźle streścił moje zasady, które polegały na równości wszystkich w obliczu wspólnej doli, sprawiedliwym podziale dyżurów porządkowych i zniesieniu wszelkich kar cielesnych.

– Zniesione zostaje używanie Loli wobec chamów i frajerów – powiedział z naciskiem i cały czas zagadkowy uśmiech błąkał się po wargach. W końcu przystąpił do zasadniczego punktu mojej reformy: wolnych, nieskrępowanych wyborów – znów podkreślił z naciskiem – na celowego i jego zastępców oraz sprawy wymiany miejsc do spania. Oznaczało to, że ci, którzy spali dotąd na betonie, odtąd mogą, żeby sprawiedliwości stało się zadość, przenieść się na łóżka. Tak więc ci, co znajdowali się na górze, zejść na dół, i odwrotnie. Wybory okazały się zmyślną pułapką i ja, naiwny, dopiero po fakcie w tym się połapałem.

Spółeczność naszej celi zgodnie wybrała na funkcyjnych Ząbka i jego dotychczasowych zastępców. Milczenie było odpowiedzią na propozycję zmiany miejsc do spania z twardego, zimnego betonu na łóżka. Nikt nie chciał tej zmiany na lepsze. I choć Ząbek napierał na nich groźnie, wskazując zachęcająco na piętrowe wyrka, rzędami stojące przy ścianach celi, starannie zaścienione i miękkie, to nikt jednak nie wyciągnął ręki czy choćby najmniejszym gestem lub westchnieniem nie okazał tęsknoty do innej, lepszej i wygodniejszej wizji więziennej nocy. Tak zakończyło się to groteskowe zebranie, a Ząbek z całą obłudną życzliwością zwrócił się do mnie i bezradnie rozłożył ręce.

Jedynym skutkiem moich społecznikowskich zabiegów (może one ostatnim śladem atawizmu z czasów kursu dla analfabetów nad glinianką i pracy w dzielnicy) stało się pewne złagodzenie represji. Tylko to właściwie, bo dyżury przy miskach i kiblu były czystą fikcją, ciągle zajmowali się tym ci sami, jeden z powodu swej żarłoczności przezywany Mordochłapem i ten nieszczęsny Schabek z traktorem na plecach; oni bowiem w swojej przebiegłości pańszczyźnianych chłopów mieli niezachwianą pewność, że tylko uniżoną gorliwością złagodzić mogą nieco swój los. Powtarzam jednak: przyjaźń Ząbka w tej osobliwej sprawie rzetelny zdała egzamin. Tego jestem pewien. I nigdy nie pozwolił na słowa potępienia czy kpiny ze strony innych małolatków, którzy przez pewien czas wrogo spoglądali na mnie, jako autora tych nieoczekiwanych reform.

Ponury Mroku, co siedział za napady na samotnych przechodniów, którzy ogłuszał murarskim młotkiem i ograbiał, nawet wybuchał wściekle po tym zebraniu postukał się palcem w czoło, następnie wskazał na mnie i powiedział: – Szajba mu odbiła jak pragnę wolności, co to za... – ale urwał pod ciężkim spojrzeniem Ząbka.

Sam wkrótce przemyślałem gruntownie te niefortunne mrzonki o Szczęśliwej utopii i nawet rozmów o tym unikałem. Jedynym więc wynikiem było złagodzenie kar i Lola już tak często czerwonymi pręgami znaczyła niewolnicze zadki.

Tak płynęły dni, tygodnie, miesiące; tęsknota za wolnością stawała się coraz mniej gwałtowna i nie powodowała już bolesnego skurczu w okolicy serca. A w tym więziennym życiu erotyka cały czas przewijała się swoim mrocznym, wynaturzonym nurtem. To rozprawiczenie

frajerów, starannie dobieranych, o twarzach i kształtach jakby kobiecych. Ich opór, przerażone głosy, a potem zmuszona do uległości głowa znikwała pod kocem pragnącego rozkoszy przedstawiciela elity. Wreszcie ten ruch pod kocem, to kłębienie się nieznośne i chaos, który przeradzał się w rytm i długie przeciągłe sapnięcie co zwiastowało szczyt, ulgę, odprężenie u korzystającego z usługi. Słuchałem chciwie i było we mnie jakieś przerażenie, choć starałem się nic nie pokazać po sobie, tylko kiedy podnosiłem papierosa do ust, palce drżały mi leciutko. Ząbek też słyszał te odgłosy na sąsiednich wyrkach mógł to być Heniek Mroku lub Zastawka, którzy uprawiali to ze stałymi partnerami od dawna) i ziewając mówił mimochodem: – Chłopaki, co długo siedzą, potrzebują tego dla zdrowia... Znaczy czasem trzeba korzystać z parowy...

Za dnia ci wykorzystywani przemykali się chyłkiem i nieraz wstydliwie kulilo ich ramiona to przewisko tutejsze: – Te, parowa – lub: – Ty, pierdolony!

Przeważnie odbywali oni swoje nocne posługi pod strachem lub z nadzieją złudną bardziej uprzywilejowanej pozycji za dnia. Choć dostrzegałem też wśród nich takich, którzy chyba jakoś naturalnie w tym gustowali. Dawidek, dlatego tak przezywany, że przypominał jakiegoś chłopca z *Ulicy Granicznej*, filmu o warszawskim getcie, ten Dawidek łąsił się i ocierał o chłopaków, a nocne czynności odprawiał z ochotą, napraszając się do różnych łóżek.

Kiedyś po wieczornym apelu podszedł też do mojego łóżka, przeciągnął się jak kocur i wyczekująco wpatrzył się we mnie. Rzuciłem mu papierosa i powiedziałem nienaturalnie grubym głosem: – Na razie jeszcze za krótko siedzę.

– Fakt – roześmiał się Ząbek. – Jeszcze post za bardzo cię nie zmęczył.

Największą hańbą okrył się pewien złodziej przewiskiem Mojka. Podobno on to robił. I sam chciał.

– Chory człowiek – powiadał o nim Ząbek. – Lubi to.

Mojka twarz miał lisią, trójkątną i przeważnie robił chłopakom na drutach z poprutych swetrów rozmaite czapeczki, bambosze i majtki z palmami wyszywanymi kolorową nitką.

Ciemny ścieg erotyki towarzyszył mi nieprzerwanie w więziennym życiu i starałem się usilnie nie zastanawiać nad tym zbytnio. Choć przychodziła taka zdradziecka ochota... Coś się w głowie roilo lub ciało samo dopominało się jak dzikie zwierze, nakazom rozumu nieposłuszne. Ząbek opowiadał o kobietach z tego oddziału naprzeciw, co woreczków napełnionych kaszą używają do zaspokajania swego babskiego głodu. Inne znów zmuszają nowicjuszeki do rozmaitych posług. Miałem raz satysfakcję, co prawda wyłącznie symboliczną, kiedy to podczas spaceru, gdy przylepiały do krat twarze kobiety z żeńskiego oddziału i tym swoim głodem rozpalone, głośno wyobrażały sobie nas jako swoich kochanków, ja zostałem wyróżniony.

Najładniejsza z nich, o dziwacznym imieniu Karla, dziesiątkę papierosów mi rzuciła i zardrościli tego wyróżnienia moi towarzysze pod celą. Tej nocy długi czas poświęciliśmy z Ząbkem na rozmowę o tych naszych wymarzonych kobietach przyszłości.

Gęsty, intensywny był to czas i wyłącznie pod silnym wpływem gwiazdy Ząbka się znajdowałem. Miałem już coraz śmielszy zamiar poprosić go o ten tatuaż z Matką Boską w Róży i w ten sposób zostać piątym. Ale jakoś do tego nie doszło. A kiedy po raz drugi zazgrzytał klucz w więziennej bramie i wyszedłem na wolność, stałem się inny jakiś, skupiony, mało-mówny, niechętnie też przyznawałem się do jakichkolwiek słabości. Zanurzyłem się znów w przestępczym odmiecie. Już teraz traktowany lepiej, posiadałem przecież legitymację w postaci tej pierwszej odsiadki. Z Ząbkem krótko razem chodziliśmy. Ponownie dostał się do więzienia. Urwała się nasza więź. Później dopytywałem się o niego wielokrotnie. Odwiedzałem nasze miejsca, szukałem wspólnych znajomych. Nikt nic nie wiedział. Rozwiązał się Ząbek.

Dotarłem nawet do starego stopkarza Kubusia Wąsa, który był wzorem na siódmym oddziale dla wszystkich małolatów, a Ząbka darzył największą sympatią. – Ma złodziejską krew

– powiadał o nim. – Dobrą krew. – Stopkarz był dozorcą w starej kamienicy na Kowieńskiej. Przeszedł na emeryturę. Tak mówił o sobie. Zawód spełniał sumiennie, cenili go lokatorzy.

Siedział na ławeczce wsparty na miotle, miał długie, obwisłe wąsy i nikt by nie powiedział, że był to człowiek, który chodził niegdyś ze spluwą na roboty. Rozłożył bezradnie ręce. Też nie wiedział nic o Ząbku.

– Pewnie wykorkował – powiedział po chwili. – Chłopaki z naszej branży wcześniej odwalają kite.

Więc nikt nic o Ząbku nie wiedział. Rozwiał się Ząbek. Nigdy więcej go nie spotkałem. Teraz, po tylu latach, kiedy realność tamtych czasów coraz bardziej się zaciera, zadaję sobie niekiedy pytanie: Był? Czy go nie było wcale? Różę z Matką Boską, ten herb Ząbka, przypominałem sobie niedawno. Ktoś czytał mi fragmenty z książek Geneta, wielokrotnego więźnia i pederasty. *Pamiętnik złodzieja* – to tytuł jednej, a *Matka Boska w kwiatach* – drugiej. Był tam wtopiony w piękną, czystą i olśniewającą poezję kłęb brudnego życia poprawczaków, przestępczych melin i miejskich szaletów, gdzie schodzą się zboczeńcy.

Znów mojego Ząbka z tym herbem na śniadym przedramieniu zobaczyłem i jakbym do początku swojej drogi wrócił. Było ich czterech, bez żadnego wysiłku przypominałem sobie ich ksywy: Pepo, Kaczor, Baba Jaga i on Ząbek. I jak dawniej zazdrościłem, że nie byłem piąty.

Wracam do tamtego czasu znów. Trwałem na swoim przestępczym szlaku i mało czasu dla Księcia Nocy już miałem. Jak z innej epoki trochę on dla mnie. Pięknej, ważnej, ale już odległej. Choć niekiedy nachodziły mnie te dawne pragnienia: zobaczyć się z nim i – jak to było w naszym zwyczaju – ruszyć w nocną łazęgę po mieście.

Powodowany tym pragnieniem odnajdowałem go czasem. Ciekawe, że w miarę przebywania z nim ta jego władza nade mną wracała. Stawałem się jego cieniem i bez najmniejszej kpiny, wprost przeciwnie, z powagą i napięciem wpatrywałem się w niego oczekując, co znów nowego wymyśli, czym znów spowoduje zamęt w moich poglądach. Niekiedy próbowałem stać się obojętny i doświadczony, nieczuły na jego sposoby, mimochodem, niedbale odsłaniałem swoje przygody z kręgu urków, kiedy to z Ząbkiem i jemu podobnymi grasowaliśmy po obcych przecież Księciu Nocy rewirach. Mówiłem o ryzykownych skokach, przebiegłych paserach. Mówiłem o ucztach na melinach z okazji udanej roboty i okrutnych karach wymierzanych kapusiom. Jednak Księżę Nocy nie interesował się tym wcale. Słuchał jedynie przez grzeczność, a gdy zapalałem się coraz bardziej nawet uśmiechał się pobłaźliwie.

Ta odkrywana przeze mnie rzeczywistość wcale go nie pociągała, wołał swoje mgliste, fantazyjne tropy. Toteż szybko mówić przestawałem i wcale żalu za jego obojętność nie czułem. Widziałem tan mur wysoki i szczelny, który dzielił go od tych spod znaku Róży, jednoznacznych, silnych i prymitywnych. Jakbym nawet stawał po jego stronie. Jego chłód był mi bliski. Chłód i niechęć do wszelkiej raz na zawsze ukształtowanej formy.

– Doświadczenia... – mruczał Księżę Nocy już udobruchany moją uległością – tak całe życie można doświadczać, skoki, wyroki... – Nie mógł obyć się bez szyderstwa. – I co z tego, tępieje człowiek, muł się robi z niego i osad tylko pozostaje we łbie... A ta twoja złodziejska krew... marna... bez błękitu... krew dla prostaków, co ciężko tyrają na życie...

A dla złodziei Księżę Nocy to był po prostu Rysiek, co ma Wariackie Papiery. Traktowali go pobłaźliwie.

– Zasuń coś. No, jakąś swoją mowę – prosili czasem.

Miną wyrażał wobec nich pogardę. Ale nie odmawiał.

– To jest dopiero farmazonista – chwalili go złodzieje po swojemu.

Jednak ilekroć przy nim byłem, odczuwałem, jak błędnie gwiazda Ząbka, jakby najmocniejszym, wyłącznym blaskiem świeciła tylko w więzieniu. Księżę Nocy był silniejszy. Tak sobie myślałem. Już wtedy zmarła jego matka. Nie mówił o tym wcale, tylko czarna opaska na ramieniu świadczyła o jej śmierci. Nosił ją tak długo, aż wystrzepiła się zupełnie i podarła.

Czy odczuł śmierć najbliższej mu osoby? Czy w ogóle lubił kogoś, był przywiązany i cierpiał po utracie? Czy miał świadomość, że to już nie do odrobienia? Czy szarpało go sumienie za nieczułość i ból, który tym swoim najbliższym sprawiał? Nie umiem na to odpowiedzieć. Kim byli ludzie dla niego? Wydaje mi się, że w stosunku z ludźmi wchodził tylko przez swoją niepohamowaną wyobraźnię, a ona wszystko wybaczała, niczego nie oceniała i żadnych obowiązków nigdy na nie nakładała na niego.

W mieszkaniu, gdzie go odwiedziłem, nieład i brud świadczyły o braku w jego życiu tej cierpliwej, niezmordowanej w uczuciu dla syna staruszki. Tynk odpadał ze ścian i pozatykały się rury kanalizacyjne, na podłodze zaś warstwą zalegały tygodniami już nie sprzątane śmieci. Wcale to mu jednak nie przeszkadzało i obojętnie poruszał się po tym śmietniku, perorując o czymś z przejęciem. A o nieobecności matki przypominał sobie przypadkiem. Potrzebował pieniędzy i grzebać zaczął w porysowanej szafie z wybitym lustrem. Wyrzucał na podłogę jakieś stare, podarte salopy, suknie, płaszcze i chustki. Oglądał i odrzucał z niechęcią. Zaleciało zapachem naftaliny.

– Marne wszystko... – mruczał. – Garderoba mojej staruszki... Spadek – dodał. Naraz zniechęcił się i zapatrzył się w zamazaną bohomazami ścianę. Tak apatycznie, smętnie zwiesił głowę. Ocknął się i spojrzał na mnie niepewnie.

– Zamyśliłem się bo dobrze gotowała – oświadczył z naciskiem. Gwałtownie jak koń ściągnięty cugłami poruszył głową i znów był taki jak zawsze.

Zajął się szufladą i zagłębił rękę w stosie poźółkłych tygodników, papierów i albumów. Czymś się szczególnie zainteresował i twarz mu stężała. Zajrzałem przez ramię. Wpatrywał się w dużą kartonową fotografię, wklejoną do albumu. Chłopczyk z lokiem na czole, w marynarskiej bluzie z kokardą, statecznym, upozowanym ruchem dłoni wspierał się o wysokie oparcie fotela.

– Kto to? – wyrwałem się mimowolnie z pytaniem.

Z trzaskiem zamknął album.

– Mały Książę – powiedział przybierając błazeńską, uroczystą minę.

Obraz chłopca z lokiem nałożył się na moje dzieciństwo, też dla mnie bardzo zamierzchłe, ten czas słodkich powijaków i czystej bezradności. Zaraz jednak otrząsnąłem się z tego rzewnego czadu i wpatrzyłem się badawczo w Księcia Nocy. Kontrast nie tylko między tym początkiem zaklętym na fotografii, ale pierwszym okresem naszej znajomości a jego wyglądem w tej chwili był znaczny. Już do przeszłości zaliczał się jego ekstrawagancki strój, te wzorzyste apaszki, miękka marynarka w rdzawą kratę czy piękne krawaty z palmami i Murzynkami. Ubierał się byle jak, pomięty, dziurawy sweter, powypychane spodnie. Twarz wpadnięta, wynędzniała, przeważnie nie ogolona, smugi brudu zaczęły pokrywać dłonie i znaczyć trwałą czernią paznokcie.

Coraz częściej nękał go uporczywy kaszel i głos jego tracił swe cudownie modulowane odcienie, które jak muzyka działały na słuchających. Chyba też przybyło w nim niechęci i pogardy dla ludzi, już raczej bezsilnej, nie pozwalającej jak dawniej kpić czy kierować nimi według własnych upodobań.

Ten jego żywiołowy zapiekły nienawiścią wrzask w pustoszejącym już nocnym lokalu. Zdarzyło się to w „Stolicy”, nocnej restauracji na szóstym piętrze Centralnego Domu Towarowego. Tam znalazł ostatnio swoje przytulisko. Kierownik lokalu darzył go bezinteresowną sympatią, wynikającą zapewne z jakichś dawniejszych powiązań i wpuszczał bez obowiązku wykupywania bonu konsumpcyjnego.

Najchętniej siadywał przy barze i jeżeli miał swój dzień (czytaj: noc), to kpił i szydził z nieobytych, przypadkowych gości przybyłych z prowincji lub pastwił się nad takimi, co niedawno osiedlili się w naszym mieście. Z nimi toczył swoje pełne ironii, pułapek i wielkopańskich sztuczek dialogi; te ich okrągłe z ogłupienia oczy, te ich miny tępawe, podejrzliwe, co wyrażały niemoc zupełną w zetknięciu z taką indywidualnością. Swoimi sukcesami w barze

cieszył się jak dziecko i długo, charkotliwie śmiał się do lustra, szczerząc pustoszejące w szybkim tempie uzębienie. Tutaj więc nakładał swoje maski i wcielał się jak kameleon w przeróżne kreacje; bywał emigrantem z Grecji prześladowanym za lewicowe poglądy, jego uroda świetnie do tego pasowała; człowiekiem, który wyszedł z więzienia po wieloletnim wyroku, chorym nieuleczalnie na otwartą gruźlicę, malarzem czy nawet rabinem z jakiejś synagogi na Dolnym Śląsku (wtedy to wykazał się niezwykłą biegłością w żargonie żydowskim i stworzył portret starozakonnego jak z przedwojennych dowcipów Lopka Krukowskiego).

Tej nocy Księżę Nocy po długim przeszło godzinnym monologu o swojej syberyjskiej wędrówce podczas wojny, gdzie niedźwiedzie i źli ludzie, śnieżna zamieć, groźna śmierć i głód zmuszający do wygrzebywania korzonków spod śniegu, nie spotkał się jednak z należyтым odbiorem u zgromadzonych przy barze, raczej zbyt już pijanych i obojętnych na jego finezję, jeden tylko zareagował niewolniczym: – Panie, nie mów pan tak głośno! – zniechęcony więc ta płaską reakcją na swoje wywody, oddalił się do opuszczonego stolika nie opodal parkietu. Podparł głowę łokciem i zapadł w sen. W tym śnie wyglądał jak człowiek ostatecznie zmęczony. Bardzo zmęczony jest mój Księżę. Tak o nim pobłaźliwie, ale i ciepło, serdecznie pomyślałem. Obwisła mu szczeka, ślina strużkami toczyła się z warg, siwe skołtunionie włosy odsłaniały śmieszny jak księża tonsura wysepkę łysiny. Pochrapywał czy jęczał przez sen. Godzina już późna, przedrana, kończyła się nocna biesiada i sala jak pobojowisko, ostatni goście, bełkot nieartykułowanych i szloch czasem znieńska, kobiety tarły się zadami i cycami o mężczyzn, w toaletach parzyły się łakome pary pod opieką opłaconej babki klozetowej, najślabi biesiadnicy porzygiwali, tym co nie zdążyli jeszcze zapłacić, kelnerzy kropili solenne, podwójne, potrójne rachunki, a gasnących, już tylko bluzgających przekleństwami awanturników wyprowadzali milicjanci. I oto w tej godzinie ostatecznego rozkładu rozległ się wrzask przeraźliwy. Ten wrzask zelektryzował wszystkich. Nawet najbardziej już opici unieśli głowy. To Księżę Nocy z tak wielką mocą głosu wyrwał się ze swego snu. Wstał, ruchem trybuna wzniosł ręce, oparł się o stolik i zaryczał. Twarz miał wykrzywioną szaleńczo i oczy zaciekle, gorejące jak za najlepszych lat.

– Barachło! Barachło! – rozbrzmiewał po sali ten jego przenikliwy, silny głos.

Po chwili opadł na stolik, głowę skrył w ramionach i ponownie zasnął.

Wyprowadziłem go stamtąd, wspomagany przez życzliwego kierownika. Ten jego głos słyszę do dziś. Głos zdychającego, ale niepokonanego odyńca.

W niedługi czas potem, kiedy przechodziliśmy obok tej kawiarni w starej, na pół zrujnowanej kamienicy, którą już zaczęto rozbierać, zatrzymał się nagle i opowiedział bardzo dziwną historię związaną z tym miejscem. Była to kawiarnia przeraźliwie smutna, jak koniec drogi. Szare, brudne wnętrze, właściwie wieczna ciemność zalegała tam już od rana i od rana też paliły się żółte lampy. I ludzie tam siedzący smutni jacyś, zrezygnowani i poszarzali. Raz przez szybę zobaczyłem tam kobietę o twarzy demonicznej, wpatrzyłem się w nią i odpowiedziała mi spojrzeniem, za chwilę jej drewniana twarz wykrzywiła się w mnóstwie brzydkich grymasów. A więc Księżę Nocy przechodząc kiedyś stanął jak wryty. Na środku kawiarni stała drabina wsparta o słup podpierający sufit. Zmieniło to wnętrze w sposób niezwykły, jakby droga do światła prowadziła po tej drabinie. Droga gdzieś w otwartą przestrzeń.

– Po chwili zrozumiałem swoje złudzenie – skrzywił się gorzko Księżę Nocy – szyba kawiarni odbijała drabinę opartą o uliczny słup i tą drogą drabina powędrowała do środka... Po co tak bredzę – zakończył nieoczekiwanie.

Długi czas szliśmy w milczeniu. Bardzo przygnębiająco podziałała na mnie ta historyjka. Jakbym już wtedy w niej wyczuwał jakiś symbol. Księżę Nocy zatrzymał się gwałtownie.

– Bydło! – powiedział z nienawiścią.

Pogroził pięścią w górę.

– Co? – zapytałem.

– Wszystko, ten wiatr, ten deszcz, ta zimnica, wszystko było! – I uparcie pięścią wygrażał.

Pogoda była wtedy rzeczywiście paskudna. Ale jego reakcja tak niewspółmierna do tego po prostu dokuczliwego dnia. To były te złe chwile, kiedy opuszczał go humor i cyniczna beztroska. Coraz więcej tych złych chwil. Ale tylko przy mnie na to sobie pozwalał. Wśród ludzi od razu rozbłyskiwał sztucznym ożywieniem i nic nie dawał poznać po sobie. Jeszcze raz ożywił się prawdziwie podczas Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Znow błysnął świetnością z najlepszych lat. Zanurzyłem się wraz z nim w barwny obcojęzyczny tłum, który pojawił się na ulicach naszego miasta. Po raz pierwszy widziałem ludzi o różnych kolorach skóry, przedstawicieli wielu ras i narodów, w niezwykłych strojach, turbanach, fezach, burnusach, wzorzystych sarongach, kimonach i togach. Aż kipiało od tej egzotyki.

Książę Nocy był w swoim żywiole. Nawet spróbował powrócić do dawnego wykwintnego wyglądu. Miał uprasowane spodnie z ostrymi kantami i wydobył skądś ładną kolorową apaszkę. Golił się też starannie i umiejętnie przykrywał włosami łysinę. Niezmordowanie snuł się wśród tego tłumu, poklepywał, zaczepiał, niezwykle był aktywny. A pewnego wieczoru w tej kawiarni najważniejszej na szlaku stwierdziłem znaczną biegłość mojego Księcia w języku francuskim. Pojawił się tam Murzyn olbrzymiego wzrostu i Książę Nocy był jego tłumaczem w rozmowach z dziewczynami.

Też czułem zgoła dziecinne podniecenie z powodu lawiny odmienności, która po raz pierwszy pojawiła się w naszym mieście. Towarzyszył nam wtedy Zbyszek Młotek. On również nie oparł się tej egzotycznej pokusie, choć stał się już bardzo stateczny i rzadko pojawiał się na śródmieściu. Pracował w warsztacie ślusarskim, uczył się na kursach wieczorowych i celem jego były papiery mistrzowskie.

– Niezależność... – mówił. – Kurwa, to jest cały cymes, coś sobie sam założę...

Ale podczas Festiwalu zupełnie zapomniał o swoich rozsądnych, dalekosiężnych planach i z ochotą zanurzył się w tę karnawałową zabawę, gdzie snuli się jak widma Murzyni i Arabowie, demonstrowali swoje tańce, śpiewali gardłowo, towarzyszył temu niepokojący rytm muzyki. Również bez żadnego oporu przyjmował Zbyszek Młotek coraz to inne zwierzenia Księcia Nocy, gdzie nie sposób było odróżnić rzeczywiste od wymyślnego.

Książę Nocy podkpiwał z niego dobrodusznie. Czasem niby z powagą o pracę się dopytywał.

– Tyle tylko zarabiasz? – śmiał się. – To prawie nic.

– Na razie – odpowiadał z powagą Zbyszek Młotek – muszę przyuczyć się fachu i dopiero później...

– Później! – Książę Nocy machał ręką. – Później będziesz całe życie ciągnął ten wózek. Nie uwolnisz się już od dyszla.

– Robota, fakt, może – mamrotał zawstydzony Zbyszek Młotek – głupia sprawa, ale co mogę innego wymyślić.

– Racja – łaskawie godził się Książę Nocy. – Ty prochu nie wymyślisz.

Zbyszek Młotek milczał, całkiem już bezradny. Na mnie też patrzył wielkimi oczyma. Słyszał już bowiem o mojej więziennej edukacji.

Z przekory próbowałem bronić Zbyszka Młotka.

– Życ należy rozsądnie, rzetelnie... – zacząłem słowami swego ojca.

– I nieszczęśliwie – dokończył Książę Nocy.

Roześmiał mi się w twarz. Sam zresztą dał spokój kpinom. Zbyszek Młotek towarzyszył nam zawsze do późna w noc. Gdy przypadkiem spojrział na zegarek, wracał do rzeczywistości.

– Cholera! O szóstej muszę być w warsztacie...

W tych dniach biegający wśród kolorowego tłumu poznałem festiwalową cudzoziemkę. Na imię miała Marika i była Węgierką. Porozumienie odbywało się na migi. Byłem zafascynowany sprawą z dziewczyną, która tylko gestami i oczyma wyrażała wyraźną skłonność do mnie. Fantazja snuła wnet już barwną przyszłość razem z tą Węgierką. Odprowadzałem ją

pod kwaterę węgierskich sportowców na Bielanach. Aż wreszcie pewnego razu wyczekiwałem na nią bezskutecznie w umówionym miejscu. Nie przyszła. Szukałem jej wszędzie. Dotarłem do kwatery węgierskich sportowców. Podałem imię i nazwisko dziewczyny. Nie znali takiej.

– To nazwisko – powiedział trener, który trochę mówił po polsku – takie popularne jak u was Kowalski.

Skończył się Festiwal i któregoś dnia wieczorem zobaczyłem tę Marikę. Szła z mężczyzną. Skradałem się za nimi. Swobodnie rozmawiała w naszym języku. Pod bramą domu na Mokotowskiej mężczyzna pożegnał ją. Całowali się.

– Więc do jutra! – zawołała jeszcze, machając ręką. Wtedy pobiegłem za nią na podwórze. Złapałem ją za rękaw.

– Marika – powiedziałem – pamiętasz Festiwal?

Drgnęła gwałtownie. W jej oczach wyczytałem, że mnie poznała.

– Ja pana nie znam! – zawołała. – Proszę odejść, bo zawołam milicję!

– Węgierka! – wykrztusiłem.

Plunąłem jej pod nogi i poszedłem sobie.

Pozostał po tym jakiś przykry osad i niechęć do zbyt gwałtownych uniesień w konszachtach z kobietami.

Skończył się Festiwal i znów długi czas nie widziałem Księcia Nocy. Wróciłem do swojego życia i jego cień, tak potężny niedawno, zmalął a czasem zanikał prawie zupełnie. Być może było to związane z szukaniem własnej drogi, bo i o przyjaźni z Ząbkim też wtedy myślałem chłodno, zgoła analitycznie, próbując ją umieścić w ciągu rozmaitych swoich doświadczeń. Jednak utrwaliło mi się wyraziście wysiedlenie Księcia Nocy z naszego miasta. Gazety już od dłuższego czasu prowadziły walkę z mętami społecznymi, pasożytami, odszczepieńcami i szkodnikami; całą tę obcą, trucicielską zgniliznę, która zanieczyszczała czyste, wzniosłe i jasne życie, poświęcone budowie nowej przyszłości. Książę Nocy padł ofiarą tej hałaśliwej akcji. Nie pierwszy raz zresztą władze dzielnicowe, milicja i lokatorzy tej wielkiej kamienicy pod tytanami, gdzie mieszkał – niechętnie, podejrzliwie, wręcz wrogo potraktowali tego odmienca. Ich niechęć sam przecież jątrzył umiejętnie swoim pogardliwym, wyzywającym zachowaniem i tą szermierką słowną, która co bardziej tępych zostawiała na placu boju ogłupiałych i poniżonych. I to lodowate uderzenie na koniec: – Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia? – lub jeszcze bardziej pańskie: – Dobry człowieku, coś jeszcze chcecie rzec?

A jego niedawni wielbiciele, brukowi żurnaliści z wieczorowych pisemek, ci zasłuchani w jego fabuły bywalcy górnej salki w „Metro”, też go porzucili bez pardonu i teraz nawoływali wielkim głosem, tak tytułując swoje artykułiki w kwestii oczyszczania wielkomiejskiego organizmu: *Kiedy wreszcie Książę Nocy opuści Warszawę?*

Takie oto larum podniesiono i on, Książę, w samym oku tej nawałnicy. Zaktywizowani oficjalną aprobatą lokatorzy kamienicy podpisali ochoczo sążnistą petycję, domagającą się usunięcia parszywej owcy z ich grona. Również dzielnicowy zwielokrotnił swoje wizyty i co dzień prawie odwiedzał go, zapytując niezmiennie: – Kiedy podejmiecie pracę, obywatelu?

Nową Kaledonią dla wysiedlanych była w tym czasie Zielona Góra, miasto leżące daleko na zachodnich rubieżach kraju.

Książę Nocy beztrąsko bawił się tą kampanią, w której mimowolnie stał się osobistością pierwszoplanową. Kupował regularnie prasę i umiejętnie wyławiał najdrobniejsze wzmianki dotyczące swojej osoby. Pokazywał płachty gazetowego papieru, poznaczone w różnych miejscach czerwonym ołówkiem.

– Tu piszą: „król podziemnego światka”... Więcej niż Książę – chichotał. – A tam znów: „cyniczny deprawator młodzieży”, cha, cha... To i ciebie dotyczy... Ale sam powiedz, nie jest to wierutne oszczerstwo? Należałoby raczej napisać: znakomity wychowawca młodzieży... Czy nie mam racji? Albo tu: „sutener i degenerat”. Też niezłe.

Starannie wycinał wszelkie wzmianki, notatki i artykuły. Stos tych wycinków chował do specjalnie na to przeznaczonej papierowej teczki.

Był już skazany i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Rola ta opowiadała mu jednak. Przecież gdyby chciał, znajdowali się jeszcze tu i tam wpływowi ludzie, w których drzemał jakiś sentyment do niego. Choćby ten działacz ze Stalinem w klapie. Wspomniałem o nim nieśmiało. Obruszył się.

Książę Nocy wyzywał swój los. Pragnął być wyklętym do końca. Oto podczas kolejnej wizyty dzielnicowego wprowadził go życzliwie do pokoju (zwykle po pańsku przyjmował w przedpokoju) i pokazał ścianę ozdobioną własnoręcznie pornograficznymi rysunkami węglem.

Popatrz pan... – powiedział do stróża ładu i porządku. – Cóż za wspaniałe pozycje erotyczne... Oto stosunek od tyłu... A tutaj trójka... Aż kipi od seksu... A pan pewnie tradycyjnie, na wznak?

Tą kpina rozjuszył dzielnicowego, który poczerwieniał mocno i zdołał tylko wybełkotać: – Ja was... – Trzasnął drzwiami i zbiegł po schodach. Odtąd stał się jego najbardziej zaciekłym wrogiem. Węszył i zapisywał wszystko.

Książę Nocy tę ścienną pornografię nazwał wystawą malarską i zapraszał również do oglądania co bardziej niezyczliwych lokatorów, przede wszystkim kobiety. Zwabieni podstępami pełnymi układności i czaru, zachodzili do wnętrza jego mieszkania ociągając się nieco, a potem dobiegały stamtąd przeróżne: Ach, och! – i wyskakiwali jak z jakiegoś zamtuza.

Wkrótce władze miejskie wydały odpowiedni nakaz i odbyła się ta sławetna eksmisja, którą Książę Nocy potraktował spokojnie, a nawet życzliwie.

Już wychodząc z mieszkania rzucił patetyczne spojrzenie na wyrysowane węglem sylwetki kobiet i mężczyzn na ścianie, zdeptaną tysiącem stóp podłogę i rozwalony piec.

– Żegnam! – powiedział.

Ze skupieniem przyglądał się czynności opieczętowywania drzwi. Na schodach i w bramie stali lokatorzy, przeróżni jego znajomi, dziewczyny z tej kawiarni najważniejszej na szlaku. Stałem też i ja. Szedł dostojnie. Przed bramą czekała ciężarówka, która miała przewieźć Księcia Nocy wraz z jego dobytkiem na dalekie zesłanie. Marny to był dobytek: kilka połamanych krzeseł, szafa, stół, żelazne łóżko, czarny od sadzy czajnik i toból z ubraniami. Książę Nocy zajął miejsce w szoferce. Ciężarówka ruszyła. Jeszcze raz wychylił z okienka głowę i szerokim gestem dłoni żegnał swoje miasto, żegnał swoją publiczność.

Dla mnie nastał czas wypełniony czymś magicznym, zaczynającym się spontanicznie i dziwnie. Jakbym podlegał nakazom nie wiadomo skąd pochodzącym. Ciągłe ogarniało mnie zdumienie. Pisać zacząłem i w różnych miejscach nieoczekiwanych nachodziła mnie ta ochota. Zapełniłem stronicę brulionów nierównym, pospiesznym pismem i wielokrotnie to zapisane później półgłosem odczytywałem. Nie wiedziałem długo, co z tym uczynić. Było to jak ciężar nieznośny jakiś, garb, dolegliwość, a zarazem towarzyszyło temu radosne podniecenie. Aż wreszcie, szarpany wstydem i niepewnością, zaniósłem to wszystko do tygodnika literackiego. Dni dłużyły się w oczekiwaniu na odpowiedź. Piłem wódkę bez umiaru i ciągle o tym myślałem. Później ten telefon – przełom, usłyszałem „tak” nieoczekiwanie.

– Tak. Będziemy drukować.

Powiesiłem słuchawkę na widelkach i ciągle to „tak” dzwoniło mi w uszach.

Nie. To było jeszcze inaczej. Przed tym pójściem do redakcji musiałem przecież oddać rękopis pierwszego opowiadania do przepisania na maszynie. Nie wiedząc, gdzie to zrobić, dotarłem przypadkiem do Biura Przepisywania Podań. Też ciężka, czymś wstydliwym wypełniona wizyta. Biuro mieściło się w oficynie starek kamienicy, szło się schodkami w dół. Akurat znajdowali się tam dwaj interesanci, mówili o kosztorysie i projekcie wstępnym. Odczekałem, aż wyszli, i w milczeniu podałem mocno wymalowanej kobiecie rulon rękopisu. Wybąkałem parę słów o potrzebie posiadania trzech egzemplarzy maszynopisu. Ta umalowana

kobieta przejrzała rękopis, po wielokrotnym przepisywaniu pokryty ze względu na czytelność wołowatym pismem. Nie wykazała zbytniego zainteresowania. Odetchnąłem z ulgą wychodząc stamtąd. Po kilku dniach zgłosiłem się po odbiór maszynopisu. W biurze obok kobiety, też przy maszynie, siedział beczynnie mężczyzna, który przyglądał sobie małym grzebykiem bujne, falujące włosy.

– Wie pan – powiedziała kobieta – mąż też przeczytał.

– Bardzo interesujące – powiedział mężczyzna – całkiem dobrze się czyta.

Wstał i uścisnął mi mocno dłoń. Spojrzałem na niego podejrzliwie. Poczzerwieniałem. Czym prędzej zapłaciłem i wyszedłem odprowadzany uważnym spojrzeniem obojga. Tak było na samym początku. A wkrótce potem wybrałem się do redakcji literackiego tygodnika. Poszedłem tam z asystą. Moi najbliżsi znajomi w tym czasie, doliniarz Plebaniaczek, farmazonista zwany Doktorkiem i ten trzeci, którego przezwiska nie pamiętam, zasiedli w barze naprzeciw budynku, gdzie mieściła się redakcja. Dostyc mętnie przedstawiłem cel swojej wizyty i wyszedłem pośpiesznie z baru, pozostawiając towarzyszy nad kilkoma kolejkami wódki, którą zawczasu zamówiłem. W budynku naprzeciw nie skorzystałem z windy, tylko pozwoliłem sobie wspinać się po schodach, zatrzymując się co piętro i wyglądając przez okno. Pokoje redakcyjne pełne były bieganiny i podniesionych głosów. Uporczywie dzwonił telefon, na który nikt nie reagował. Podczas tej wizyty nie zainteresowano się szczególnie moją osobą (całe szczęście, tego się najbardziej obawiałem), tylko siedzący przy pierwszym biurku szpakowaty mężczyzna polecił mi pozostawić teczkę z maszynopisem, a na okładce tej szarej teczki zapisać moje nazwisko i adres. Drugi mężczyzna w ogóle nie uniósł głowy znad swego biurka, coś pisał i popijał herbatę, dzwoniąc łyżeczką w szklance.

Odtąd liczyłem dni, było ich czternaście. Dopiero wtedy był ten telefon – przełom i to „tak” nieoczekiwane usłyszałem. Tak to się zaczęło.

Raz jeszcze wtedy los zderzył mnie z moim przyjacielem z przedmieścia, tym od książek i marzeń. W tej samej redakcji, gdzie złożyłem swoje opowiadanie posłyszałem przypadkiem rozmowę o nim i o jego tekście. Zapamiętałem z tego, co mówiono, że w jego opowiadaniu pojawiają się ciężkie, bordowe kotary z pluszowej materii. Odgrywały jakąś ważną metaforyczną rolę w tym tekście. Zapamiętałem też, co mówiono o jego wyglądzie.

– Taki wielki, niedźwiedziowaty i rudobrody.

Jego opowiadania nie wydrukowano. On zaś mignął mi na ulicy. Miał rudą brodę i jak żeglarz skandynawski wyglądał. Pomyślałem o ulicy Składowej, rozłożystych wierzbach i naszych rozmowach pełnych śmiałego żeglowania po oceanie literatury. Potem już tylko o nim słyszałem. Skończył studia matematyczne i wyjechał do Anglii. Miał tam ojca. Po latach spotkałem jego gosposię. Opowiadała o tej Anglii, pracuje, urządza się, listy pisze, matka go kilka razy odwiedzała; on sam tu nie przyjeżdża. Tak mówiła ta gosposia starowinka dużo i ochoczo. Ale wydawało mi się, że nie mówi wszystkiego. Że wie jeszcze coś więcej. Takie niczym nie sprawdzone odniosłem wrażenie. I nic ponadto. Matkę przyjaciela też widziałem. Ukłoniłem się jej, ale czy nie zauważyła, czy nie chciała zauważyć? Nie wiem. Niedawno odwiedziłem to nasze przedmieście. Przystanąłem pod domem przyjaciela i patrzyłem w okno na pierwszym piętrze.

Okno jego pokoju. Było okratowane. Zdziwiły mnie te grube, gęste kraty w oknie na pierwszym piętrze. Po co tam były założone? Dzień był szary, dżdżysty i ponury charakter tych krat przez to jeszcze bardziej się uwidocznił. Nie wiem czemu, wyobraziłem sobie mego przyjaciela ogarniętego oblędem. Już tak do końca skazanego, spędzającego w tym pokoju z okratowanym oknem całe swoje życie. Być może dniami, tygodniami tkwi w biernej apatii, ale nagle ogarnia go ciemna moc i zaciska dłonie na żelaznych prętach krat. Nie wiem, dla czego to sobie wyobraziłem. Czy ten przypadkowy powrót na nasze przedmieście, do opustoszałej krainy dzieciństwa, stał się tego powodem? Nic nie wiem. Nigdy nie widziałem już

swego dawnego przyjaciela. Znikł bez śladu wraz z tymi odległymi czasami. Mgliste tylko wspomnienie, coraz bardziej zatarte kontury. Czy istniał w ogóle?

Ale wtedy na początku pisania, nie było wcale tego rozrzewnienia. Usłyszałem, co mówili o nim. Nie wydrukowali. Być może nawet jakaś sekretna satysfakcja w tym. Dwaj rywale. Jeden zaczyna prowadzić. A ta nowa sprawa była jak wir, wciągała coraz silniej. Ta potrzeba, która zmuszała mnie nieoczekiwanie w nocnej godzinie do sięgnięcia po pióro i kartkę papieru. To pośpieszne zapisywanie obrazów, dialogów, sytuacji, które naraz wypełniały moją głowę. I ten niepokojący dylemat: czy nie jestem grafomanem? Nieszczęsnym, daremnym zapisywaczem papieru. Na tę daremność jak na nieuleczalną chorobę skazanym. Czułem przecież, że coraz bardziej pożera mnie to pisanie i pożerać już nie przestanie. I ta pozycja z dystansu coraz silniejsza, jakby zza przezroczystej szyby na wszystko patrzyłem.

Czy aby nie jestem grafomanem? – jak cierń to natarczywe pytanie.

Czytałem więc te swoje próbki byle komu i chciwie czekałem na ocenę. Te oceny bywały tak różne, tak krańcowe. Jeszcze bardziej pogłębiały poczucie niejasności mojej sytuacji. A jednocześnie ciągle towarzyszyła mi podczas tego „dziewiczego” pisania taka radość, żywiołowa radość utrwalania, tworzenia, królewska niezależność i swoboda nad kartką papieru. To zadziwienie z powodu składanych w zdania słów, które jakieś obrazy, wzruszenia, refleksje powodowały; więc powstawanie z tych martwych liter jakiegoś świata, krainy, która dawała mi satysfakcję absolutnego władcy, twórcy i uczestnika zarazem. Pamiętam tego przypadkowo poznanego w knajpie inżyniera z Biura Projektów Wodno – Melioracyjnych, którego raniem zaprosiłem do siebie, nazywał się Sznajder, ugościłem go wódką i ukrywając rękopis w płachcie gazety czytałem swoje opowiadanie jako utwór znanego, bardzo popularnego pisarza. Skończyłem i czekałem na jego zdanie. Milczał długą chwilę. Wreszcie powiedział: – Poprzednie jego rzeczy bardziej mi się podobały.

A moja dziewczyna z tamtego czasu, Teresa, spoglądała na mnie wręcz z politowaniem i kiedy skończyłem czytać głosem drgającym z przejęcia opowiadanie pod tytułem Porachunki garbusa, nic nie powiedziała i jej głuche milczenie było dla mnie dotkliwym ciosem.

Tak szamotałem się z tym zapisanym papierem po omacku i to „tak” w telefonie, kiedy zadzwoniłem do redakcji literackiego tygodnika, było rzeczywiście przełomem. Ze zdwojoną mocą zabrałem się do pisania. Coraz rzadziej myślałem o Ząbku i nawet przestałem się o niego dopytywać. Wykrętnie też zareagowałem na propozycję przypadkowo spotkanego kompana z więziennego kręgu. Ucieszył się na mój widok. Spotkaliśmy się pod wiaduktem na Targówku i zaciągnął mnie do baru „Pod Karpiem”.

– Tylko ty mi pasujesz – oświadczył klepiąc mnie po kolanie.

Był to początek udreki, która prześladowała mnie przez wiele dni. Ten znajomek zaproponował fachową złodziejską robotę. Podkreślał swoje zaufanie i nie miał żadnych wątpliwości co do mojej odpowiedzi.

– Git skok! – roześmiał się z zadowoleniem. – Od razu wiedziałem, że będzie ci pasować.

Jeszcze tego samego dnia poszliśmy obejrzeć sklep. Szedłem z nim w wilem się wewnątrz jak ośmiornica. Zadowolenie z jego uznania i wyboru, a z drugiej strony rozsadek i zaczynające pochłaniać pisanie wykazywały bezsensowność zamierzonego czynu. Oglądałem ten sklep przy ulicy Kawęczyńskiej i nic właściwie nie widziałem. Mój przyszły współnik fachowo szkicował plan sytuacyjny, rozważał grubość krat, zamków i możliwość dostępu do wnętrza przez sufit nad sklepem.

– Może na parasol?

Pytał o moje zdanie. Noc nie słyszałem. Na szczęście przyjęty tą robotą nie zwrócił na moje roztargnienie żadnej uwagi sam sobie opowiedział.

Umówiliśmy się na następny dzień i to spotkanie mieliśmy już poświęcić konkretnym przygotowaniom. Nie poszedłem i dotąd odczuwam wstyd. Wstyd z powodu swego tchórz-

stwa. Mogłem przecież wyjaśnić przyczynę odmowy. Powiedzieć po prostu: Nie, u mnie już koniec z tym, do czegoś innego się wzięłem.

Mogłem tak powiedzieć i cały czas miałem to na końcu języka. Zabrakło mi jednak odwagi. Powiem, a on zapyta: Do czego to innego się zabrałeś?

Co odpowiedzieć? Następnie: głupia próżność, mnie wybrał, więc jak można odmówić? Nie był to przecież ktoś byle jaki, żadna tam płotka, tylko fachowiec z niemałym kalendarzem wyroków wytatuowanym na przegubie dłoni. Zawsze też chodził na roboty z podobnymi do siebie fachmanami. Stchórzyłem... Przez wiele lat na widok podobnej sylwetki, podobnej twarzy – zatrzymywałem się jak wryty i spoglądałem ze wstydem, oblewającym gorączką twarz. Nikomu się z tej rejterady nie zwierzałem. Chowałem to gdzieś na samym dnie pamięci i zaprzątnięty wieloma nowymi zajęciami, nieczęsto o tym spotkaniu pod wiaduktem na Targówku myślałem.

Powoli obrastałem w pisarskie piórka. Siedziałem nad trzecią już książką. W tym czasie odbyła się moja ostatnia rozmowa z Księciem Nocy. Przypadkowo znalazłem się w tej części miasta. Spacerowałem bez celu, mimo woli odwiedzając miejsca z dawnych lat. Przeważnie były nie do poznania i tylko wysilek pamięci przywracał dawny ich kształt. Niedobry był mój nastrój. Coraz głębiej pogrążony w swoim pisaniu, chwilami czułem się jak skrepowany i niejasne myśli krążyły mi po głowie. Myślałem uporczywie o swoim życiu i pisaniu. Życie oddalało się coraz bardziej. A pisanie wydawało mi się zwykłym tchórzostwem wobec życia. To moje dawne bieganie, cała ta szarpanina, chaos ulic śródmieścia, pikietka pod zegarem, glinianki i rudery przedmieścia, gołębniki i węglarze, Ząbek i jego ferajna, ciągle wyrastający nie wiadomo skąd ludzie, cała tamta edukacja, tak bogata w zmienność i nieoczekiwane zakręty – wszystko to wyschło, życie zawężyło się nieznośnie i poczęło płynąć powolnym, uregulowanym strumieniem. Byłem spętany i po każdym bezskutecznym pragnieniu zmiany spętanie stawało się jeszcze ciaśniejsze. Już dni i noce wypełnione tylko rojeniami związanymi z papierem, papierowy świat, ten papier szeleścił denerwująco, ile to arkuszy, na początku białych, potem zaczernionych niewolniczym maczkiem liter; zaczął się więc czas człowieka samotnego, na papierze odprawiającego swoje misteria. A kiedyś nasz świat był mały, a wydawał się olbrzymi... i ten czas właśnie, rozmiar czasu dziennego, dzień był jak życie, każdy inny, a potem skurczyły się dni, skurczyły i jednocześnie rozciągnęły, wodniste i bez treści, tak podobne do siebie i zakisłe. Zrywał się we mnie popłoch niekiedy, zmienić ten rytm, rozbełtać i wzburzyć, wykorzystać po prostu te gasnącą szansę; zaraz jednak opadłem z pozornej aktywności, bezsilny i zupełnie bezradny. Czyżby to koniec już? I pamięć przywróciła wizerunek tego chłopaka piętnastoletniego, co tak się niecierpliwił i wyrывał, tamten czas przybrał kształt raju utraconego, a taki przecież w rzeczywistości ponury i ciasny. Odgrzebać to dawne, młode, gorące spod grubych warstw zimnego popiołu, odgrzebać i rozżarzyć, może znów zapłonie ogień; takiej znów uchwyciłem się nadziei i ogarnęło mnie podniecenie. Usłyszałem za sobą wołanie. Padło moje imię. Obejrzałem się. Ktoś machał do mnie ręką. Z początku nie poznałem. Wynurzył się z uliczki między straganami stojącymi pod halą targową z czerwonej cegły. Zbliżył się. Książę Nocy.

– Wróciłem z tej zsyłki – oświadczył dysząc i potrząsając serdecznie moją ręką.

Ubrany był w marynarski mundur, podarty i poplamiony, oraz w marynarską pasiastą koszulę. Uśmiechał się po dawnemu mefistofelicznie, a jeden jedyny ząb, który pozostał, wylażył na dolną wargę jak kieł drapieznika. Ale nie był w nim żadnej drapieżności. Zgarbiony i chudy jak szkielec, chód miał ciężki powłóczący. Wydawał mi się bardzo stary i przebrzmiały jak ta cała jego mitologia, która tak wspaniale krasiała moją młodość. Patrzyłem jednak ze wzruszeniem. Dużo tego umarłego nagle zmartwychwstało. Te miejsca już pogrzebane, nie istniejące. Dawni ludzie, co też zginęli niepowrotnie. Równocześnie jakaś zmurszałość w nim była. Cuchnął kwaśnym zapachem dawno nie mytego ciała. Zmurszałość i starzyzna. Rozkłada się i butwieje. Tak pomyślałem i zaprosiłem go do najbliższego baru. Jadł łapczywie, mil-

czał. Czasem podnosił oczy znad talerza i przyglądał mi się badawczo. Wtedy opuszczałem głowę. Byłem dziwnie zmieszany. Też milczałem. Zawstydziała mnie ta przepaścista różnica między nami. Stał się nędzarzem, czarną od brudu szyję okręcał jakąś szmata, która niegdyś była apaszką. Zbyt obszerne marynarskie ubranie wisiało na nim jak worek. Twarz miał zniszczoną i pełną bruzd, oczy nie zapalały się wcale tym dawnym porywającym ogniem. Tak to widziałem. Przerażliwie jasno, okrutnie. Wieczór był zimny, listopadowy. Po szybach baru zaczęły spływać strugi deszczu. Pomyślałem, że na pewno nie ma mieszkania, sypia gdzie bądź. Może w bazarowych straganach czy piwnicach... Zaprosiłem go do domu swoich rodziców. Akurat byłem wtedy sam. Pojechaliśmy taksówką. Przeważnie milczeliśmy lub padały tylko zdawkowe, drewniane słowa.

Po deszczu i chłodzie, który panował tamtego wieczoru na ulicach, w domu było ciepło i przytulnie. Lampa na nocnej szafce rzucała nieduży krąg światła, a kiedy dołożyłem węgla do pieca, zaczęło tam trzaskać i huczeć wesoło. Książę Nocy spojrział na papiery rozrzucone na moim stole.

– W zaklinacz słów się bawisz – ni to stwierdził, ni zapytał.

Speszył mnie tym powiedzeniem. Trafił w sedno mojej rozterki. Oto spotkaliśmy się znów. Wędrujący wiecznie człowiek miasta, mistrz mój i przewodnik. I ja, dawny jego uczeń, teraz trawiący nad papierem długie godziny.

I choć na początku byłem taki spokojny i chłodny, burza się we mnie rozpełtała, stare drzazgi i kolce uwierać zaczęły. Coś się przypomniało, jątrzyło, cały kłęb splątany myśli, obrazów, niejasnych przeczuć, dawno pogrzebanych doświadczeń, które długo spoczywały w spokoju nie zakłócając pozornego ładu i siły. Czułem się coraz bardziej niespokojny. Tyle blizn nagle się otworzyło i boleć zaczęło. Krzątałem się nerwowo po pokoju, przestawiałem bez sensu rozmaite przedmioty, coś wyglądałem i poprawiałem, nieustannie paliłem papierosy. On zaś siedział i patrzył uporczywie na mój stół z papierami. Potem rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na fotografii, która wisiała nad moim łóżkiem. Był to koń z czasów dzieciństwa, kiedy zaraz po wojnie wysłano mnie na wieś, żebym odżywił się i nabrał sił. Tam na wsi wyobrażałem sobie tego konia jako niedoścignętego rumaka, który długo nie dawał się schwytać i ujarzmić. Polubiłem tego konia i dla mnie wykonano jego fotografię. Zostałem z nią do dziś.

– Niezły. Suche pęciny, mały łeb – uznał fachowo Książę Nocy – cugowy.

Opuścił głowę i machinalnie wyrównał stosik zapisanego papieru na stole.

Żeby zagłuszyć niepokój, zacząłem zadawać natarczywe pytania: co robi, gdzie bywa, jaki jest jego obecny szlak, kto mu towarzyszy i czym zabawia się ostatnio. Słuchał dosyć obojętnie tych moich głośno, nienaturalnie głośno zadawanych pytań i wzroku znad stołu nie unosił. Po chwili zaczął opowiadać o życiu włóczęgów. Mówił, jak to łatwo można cały dobytek zredukować do jednego tobołka, zauważył mimochodem, że całe, nawet niezwykle bogate życie ludzkie też można ścisnąć w garści i tylko odrobina zostaje godna ocalenia. Poniosła go wena i już paroma celnymi słowami naszkicował postać rajzera, wiecznie na szlaku, wolnego sowizdrzała, pędzącego beztroskie, bez żadnych więzów życie, nieustanna zmian, hop, wskakujesz do towarowego pociągu lub ciężarówkę zatrzymujesz na szosie. Ale urwał nagle. Jego życie nie było już chyba beztroskim rajem rajzera, sowizdrzała.

Znowu pogładził stosik moich papierów na stole. Zupełnie wygasła ta jego chwilowa inwencja.

– Nie ma już takich młodych, jak ty byłeś – odezwał się cichym, znużonym głosem. – I czasy inne. Nie mam już teraz żadnego szlaku. Tak się snuję, gdzie popadnie. Mój cień właśnie...

Smutkiem powiało od tych słów. Smutkiem i przegraną. Ten ponury cień padł również na moje życie. I naraz te ostatnie lata wydały mi się jak stojąca woda, pozbawione źródła i bez najmniejszego nawet prądu. Lata bez niepokojów i uniesień. Więc znów dopadła mnie jedno-

znaczność? Kalendarzowe dni, tygodnie, miesiące, skąpe w doznania, ostrożne w posunięciach, zadziwienie też coraz rzadziej towarzyszyło tej wegetacji. Właśnie wegetacja, powtarzałem to słowo. Pomyślałem też o kobietach z którymi sypiałem, miałki kompromis dawnych maksymalnych wyobrażeń z tym, co nastąpiło, też zalegał brudną chmurą, tak oto biegle się nauczyłem fantazją czy po prostu oszustwem wypełniać tę wieczną różnicę między tym, czego szukałem, a tym, co znalazłem; aż stało się to zwyczajną, ubogą w uniesienia technika przyjemności, gdzie przepaść między rozpasaniem cielesnym a idealnym romantycznym snem z dawnych czasów nie budziła już żadnego gniewu czy sprzeciwu, stała się refrenem tych podobnie przeciekających lat, kiedy to wódką nauczyłem się pomagać sobie w okraszaniu płaskiego, jałowego trwania i tylko ranki bywały niebezpieczne; otwierałem oczy i patrzyłem przerażony na ściany, przedmioty, ubranie, ludzi, domy, drzewa i niebo, wszystko to tłoczyło się i nacierało groźnie, jakby za chwile miało zmiażdżyć mnie niczym jakaś monstrualna prasa hydrauliczna lub ściąć jak to śmiercionośne wahadło świętej inkwizycji z opowieści Edgara Allana Poe. Gęsta magma beznadziei spowijała i przenikała wszystko. I jeszcze tylko, jak zasłona dymna, ta stara umiejętność mi pozostała, coraz bardziej zresztą już cheralawa, niekiedy mechaniczne przywołanie kilku trików wprost, ta umiejętność dowolnego, fantazyjnego i niczym nie skrepowanego oddalania się od rzeczywistości, wzbijania się gdzieś w baśń, jakby sen czy krainę mirażu pustynnych, i tam tylko poruszałem się lekko, tam tylko była swoboda, barwa i nieskończoność możliwości żeglowania. Złudne chwile pozornej pełni, oczyszczenia, wolności szybko jednak ulegały rozsypce. Ten nieustanny wysiłek po nocy, żeby ożywić umysł i ciało, pozbierać się w jako tako spójną całość i zacząć dzienny, sztucznie ożywiony rytm, a pod tym jak podskórna woda: zniechęcenie, jad, tępa złość, te rozliczne pułapki na mojej drodze, których już nie potrafiłem niszczyć czy przeskakiwać, tylko omijałem strachliwie. Te ludzkie losy, w swoim początku tak olśniewające, barwne, tyle w nich zapowiedzi i górnolotnych zamiarów, a miarę natłoku lat stawały się przetrącone, wykastrowane i rozciągliwe jak guma do żucia, a przy tym tak do siebie podobne w swojej nijakości. Te twarze, tak na początku wyraziste, szlachetne w rysunku – tak szybko rozmazane, wytarte, brzydkie. Nawet ten ostateczny krzyk – śmierć – nie był już jak przepaść bezdena czy zapowiedź nieznanych wędrówek w zaświatach; stawał się zwykłym zakończeniem ludzkiego pełzania po omacku, podsumowaniem biologicznej pracy ludzkiego organizmu, chwilą wygaśnięcia paliwa, przejściem w nicłość, rozproszenie, niepamięć. Te wszystkie śmieci, tak do siebie podobne, nakładały się jedna na drugą, odbierały więc finałowi jedyny, niepowtarzalny sens.

I tylko niczym pies mogłem wyć słowami Zbyszka Młotka: „Czasem, cholera, tak chciałbym pójść za oczami gdzieś daleko!”

– Wyszło moje źródło – zabrzmiał głos Księcia Nocy. Drgnąłem jak uderzony i wybiegłem do kuchni przygotować kolację. Krzątałem się w pośpiechu, pragnąc tymi kuchennymi czynnościami zagłuszyć niewesołe rozmyślania; kroilem chleb w równiutkie kromki, wyjmowałem ze słoików marynowane grzybki i rolmopsy, odgrzewałem zupę i kotlety z obiadu. Jednak niepokój, tak bardzo spotęgowany obecnością Księcia Nocy, towarzyszył mi nadal. Nie wiadomo czemu roznosiciel mleka, Karol Hopla – Hop, mi się przypomniał. Kiedyś szarym świtem roznosząc mleko po domach znalazł banknot stużłotowy na chodniku, pomyślał chwilę i wietrząc jak pies gończy ruszył wzdłuż płotu, po kilkunastu metrach znów znalazł banknot stużłotowy.

– I dotarłem do źródła – kończył z dumą Karol Hopla – Hop. – Przy śmietniku leżał pijaczek, miał przy sobie jeszcze tysiąc złotych.

To „dotarłem do źródła” szczególnie odpowiadało mi w tej chwili. Też chciałem dotrzeć do swojego źródła i odgrzebać gorące spod grubych, zimnych warstw popiołu. Odgrzebać i rozżarzyć. I piórem choćby musnąć, poruszyć to splatane, parszywiejące życie, gdzie pospołu w kotłowisku ciemność i jasność, strach i radość, ohyda i wzniosłość. Więc może uda się

wsunąć tam rękę i choć na chwilę uwolnić to przerażone, z bijącym szaleńczo sercem zwierzątko. Taką chociaż mieć nadzieję.

Wróciłem do pokoju, uprzątnąłem papiery ze stołu, rozłożyłem obrus i stawiać zacząłem talerze, półmiski, salaterki i szklanki.

Przy stole Księżę Nocy ożywił się znów i nawet starał się być wesoły. Opowiadał śmieszne anegdotki o życiu śmietnikowych włóczęgów, o pomysłowym żebraku Adolfie, który to sprzedaje fiołki pod nocną „Kameralną”, to znów podwija nogi i udaje kalekę, a w pociągach grasuje jako niemowa z tabliczką na piersi: Pomóżcie prawdziwie nieszczęśliwemu.

– Ta jego niezmordowana działalność... – szczerym podziwem zabrzmiał głos Księcia Nocy. – Przecież znacznie starszy ode mnie, a tyle energii. Zarabia nieźle i wszystko przepuszcza. – I jak to było w jego zwyczaju, pożeglował daleko wstecz i przyjaciela swego z czasu wojny wskrzesił. Był konsulem egzotycznego Hondurasu czy Panamy, miał więc stanowisko czysto tytułarne, ale ten człowiek, lubiący wyzywać niebezpieczeństwo, właśnie pod szyldem Hondurasu dużo krwi napsuł okupantowi, gościł w lokalach „Nur für Deutsche” i nieraz potrafił nawet z rąk gestapo ludzi uwolnić. Znów nagle powrócił do żebraka Adolfa. Opowiadał o jego prześladowcy, beznogim osiłku, który grzmoci go zajadle kulą.

– Z zawiści... – podkreślił Księżę Nocy. – Za jego niefrasobliwość, inteligencję, szczęście i wisielczy humor.

– Adolf? – zastanowiłem się. – Czy jąkała może?

Przytaknął.

Zamajaczyła jakaś pokraczna sylwetka i twarz. Z mroków niepamięci wynurzyła się już cała postać.

– Znałem.

Wyobraziłem sobie życie Adolfa i Księcia, być może trzymają się razem, te ich noce, dworcowe bufety, twarde ławy, na których drzemią, i perypetie z milicjantami. Nieraz zapragnąłem o wszystkim zapomnieć, przesadzić bariery, rzucić wszystko i znów podporządkować się ślepo Księżu Nocy, zanurzyć się w te bazarowe i piwniczne rewiry, tak dać się ponieść tym mętным falom i nie oglądać się wcale za siebie ani przed siebie zbyt daleko nie patrzeć. Popatrzyłem na Księcia ukradkiem. Rozglądał się po stole pożądlivym wzrokiem i jadł bardzo szybko. Był wprost nienasycony. Może najadał się na zapas? Ciepło od pieca zaczerwieniło jego twarz. Przeciągnął się błogo i westchnął. Nie było w nim żadnego niepokoju ani tej siły, która zawsze zmieniała obcowanie z nim w stan gorączkowej wibracji. A te opowieści to zwykłe dykteryjki przy biesiadnym stole. Dla mojej rozrywki być może... Podziękowanie za gościnę... I ta ocieżała sytość po smakowitym jedzeniu mojej matki, to ciepło rozchodzące się od białego kaflowego pieca, ta przytulna w tej wieczornej porze atmosfera mojego pokoju, gdzie światło spod klosza lampy rzucało dyskretny krąg i bury spasiony kot drzemał na pluszowej kanapce – to wszystko rozluźniło go jakoś; obsunął się na oparcie fotela i zadrzemał. Głowa zwisła mu na bok i ten ząb jeden jedyny schował się za wargi. Wyglądał na człowieka zmęczonego i bardzo potrzebującego odpoczynku. Westchnął przeciągle przez sen, ułożył się swobodniej, takim rozbrajającym gestem podłożył łokieć pod głowę. Mościł się do wygodnego, głębokiego snu.

– Zostań – powiedziałem niepewnie.

Czujny niezwykle. Zerwał się od razu. Popatrzył na mnie ostro, nieprzyjaźnie.

– Zostań – powtórzyłem – jest miejsce.

Wskazałem na tę kanapę, gdzie drzemał kocur. Sprężył się jak do ataku. Poruszył przecząco głową. Już nie siadł.

– Ja – powiedział patrząc na mnie ciągle nieprzyjaźnie – nigdzie nie zostaję. Zapomniałeś już o tym?

Rozwiązał się bez śladu ten spokojny wieczorny nastrój. Znów był Księżem na posterunku. Spojrzał w ciemność za oknem.

– Miasto – powiedział – czeka na mnie.

To ciepło do pieca nie znaczyło już nic. Pożegnał mnie niedbałym klepnięciem w ramię.

– Jak wiesz, nie lubię się żegnać.

Stałem w oknie i patrzyłem za Księciem Nocy, który szedł uliczką wśród parterowych domów naszego przedmieścia. Krok miał powolny i ociężały. Długo był widoczny w świetle narożnej latarni. W miarę jak znikał w ciemności, stawał się jednym z wielu ludzi, których znałem. Sunęli oni długim korowodem i nie budzili we mnie żadnego ożywienia. Pamięć dość opieszale przywoływała ich głosy, twarze, gesty, to co robili i czego pragnęli. Stałem przy oknie i patrzyłem. Wydało mi się jeszcze, że się obejrzał. Ale nie byłem tego pewien. Być może złudzenie wzroku lub ruchliwe na wietrze gałęzie drzew stworzyły taki pozór. Znikł mój Książę.

STYPA

Słoń pojawił się ostatni. Już te łapiduchy zaczęły powarkić. Że kolejka. Że inni czekają. Że karawan zajęty co do minuty. Aż Fanodorm zamknął tym hienom pyski dwoma czerwonymi papierkami. Pokłonili się i od razu zmieniła im się mowa. Starszy z nich nawet wzdychać zaczął.

– Taki zgon dla bliskich...

Zgasił go Fanodorm w połowie zdania.

No i wreszcie ten Słoń. Pan Słoń, jak każe mówić na siebie frajerstwu. Rzeczywiście wysiadł jak panisko ze swego BMW 2000. Wyciągnął wieniec z bagażnika. Młodzieżowy plejboj ciągle z niego, spodnie w tyłku ciasne, jakby pęknąć zaraz miały, a u dołu niczym klosze, zamiszowa kurteczka i czarny wisior pod szyją; tylko gęba już szara, wyjedzona. Pracuje ten Słoń w damskim towarzystwie, to i stroi się odpowiednio.

Piękny jego wieniec, róże, chyba ze czterdzieści, na gęstym świerkowym podkładzie, i szarfa lilaróż. Wystawił się przyzwoicie, nie ma co.

Przechodząc do kostnicy zwolnił kroku. Aż w progu całkiem się zatrzymał.

– Nie lubię tego widoku – powiedział do Mikiemu. – Musi wyglądać paskudnie. No nie? – Miki przytaknął. I ten wieniec oddał Mikiemu. – Połóż mu tam gdzieś w moim imieniu.

Miki poczłapał chętnie. Wyraźnie się spodziewał, że z powodu swojej słabości Słoń może mu parę złotych za przysługę odpalić.

Zaśmiał się Fanodorm. Zaśmiał się Nowojorczyk i Gruby Leszek też.

– Słoń niby taka bestyjka – powiedział Fanodorm – a jak maselko w tej sprawie.

– Delikacik z pana Słonia – dodał Gruby.

Słoń ciągle krzywił się jak po rycynie.

– Nie lubię tego widoku – powtórzył.

– A co ja mam mówić – westchnął Fanodorm.

To prawda. Fanodorm ze zdrowiem ma ostatnio kłopoty. Ciągle coś mu nawala. To żołądek, to nerwy lub wątroba. I chudnie. Ten piękny angielski garnitur w zielony rzucik wisi na nim jak na kiju. Raka podejrzewa w swoim organizmie Fanodorm. Strach mu spać nie daje, ale miną nadrabia nadal.

– Ty się musisz powoli przyzwyczajać – odciał się Słoń. – Ja jeszcze nie mam zamiaru.

– Nie mów hop – uśmiechnął się łagodnie Fanodorm. – Weź przykład nieboszczyka. Kto by to pomyślał.

Rzeczywiście nikt nawet przez chwilę o tym nie pomyślał. Jeszcze tak niedawno kroczył sobie majestatycznie od knajpy do knajpy. Żartował i farmazonem swoim ludzi zabawiał. Słoń zamyślił się ponuro. Może przypomniał sobie, jak te różne gówniary, które podrywał pod szkołami, słuchały z rozdziawionymi dziobami i oczyma okrągłymi jak u sowy potocznych monologów nieboszczyka.

Z ciemnego wnętrza kostnicy wynurzył się Miki. Wpatrzył się nachalnie w Słonia.

– Pusty jestem – szepnął.

– Mało to pustaków chodzi po świecie – odwarknął Słoń. Ale z tego strachu przed śmiercią odpalił mu jednak hojną ręką stówaka.

Jak ten Miki chuchał i gładził papierek! Przyjemnie było patrzeć. Złożył w równiutką kosteczkę i wsunął do kondonierki, czyli tej małej kieszonki w spodniach. A Słoń powstał jeszcze chwilę. Obstukał butem koła swego wozu. Popatrzył z pogardą na Fiata Fanodorma. Przywitał się z ostatnim „tatusiem” nieboszczyka.

Był to Admirał. Przejęty tą całą historią. W czarnym garniturze, z czarną opaską na ramieniu, uroczysty.

Jego kobita już sobie musiała wypić.

– Nie ma naszego Wicia – powtarzała – a tak pięknie ostatni urlop spędziliśmy...

Zapatrzył się na nią Słoń. Ubrana w drogie, zagraniczne łachy, a jednak bez gustu. Nigdy nie miała gustu. Nawet kiedy wysiadała w kawiarni „Grandu”, marząc o milionach z Zachodu. Tylko młoda wtedy była. No i znalazła sobie Admirala. Co prawda nie z Zachodu, ale łeb do biznesu ma.

– I taka wymarzona pogoda – powtarzała monotonicznie. – I tyle uroku... Choć kapryśny był nieboszczyk. Okropnie! Jak on wybrzydzał na ten urlop. Dawniej, mówił, to miałem takich panów, co to urlopy w hotelach i restauracjach kategorii S spędzali, a nie w zagnojonych chałupach. Bezczelny!! – oburzyła się i zdeptała z pasją papierosa. – Tyle pieniędzy na niego wydaliśmy.

– Daj spokój – machnął ręką Admirał.

– Zresztą... – trajkotała nieprzerwanie – co innego urlop w kurortach, a co innego na łonie natury, musi być pewien prymityw. Taki romantyczny spływ Dunajcem na przykład, albo jak piliśmy żętycę na hali...

– Daj spokój! – powtórzył już groźnie Admirał.

– Jak on może przy tej babie wytrzymać! – powiedział szeptem Słoń. Wyraźnie ucieszył się, że jeszcze jest kawalerem.

Wpadł też na chwilę do kostnicy Butolog. Tak nieoczekiwanie zza węgła się wynurzył. Też bukiet kwiatów przyniósł. Ale nie zatrzymał się. Tylko z daleka machnął ręką zebrany.

Popatrzyli z uśmiezkami na Delatora, który stał przecież na widoku. Butolog go nie zauważył. Delator udał głupiego i gdzieś w bok się zapatrzył. Rok ma Butolog do odsiadki i ukrywa się, czekając na amnestię. Liczy dni do najważniejszego państwowego święta i wróży z kart – dadzą czy nie dadzą... Jak oko, to dadzą, a fura znaczy nie. Więc wychodząc z kostnicy rozejrzał się płochliwie i ruszył wzdłuż muru. Tym razem spostrzegł chyba Delatora, bo naraz zaczął biec.

– Ścigany – zaśmiał się Nowojorczyk.

– Swoją drogą – zamyślił się Fanodorm – ciekawe, dadzą te amnestię czy nie dadzą.

Słoń spojrział na zegarek. Poszeptał jeszcze na boku z Władziem Reakcjonistą. Razem prowadzili firmę. Znów spojrział na zegarek.

– Będę się zrywał – rzekł. – Rzućcie garść ziemi w moim imieniu.

– Zgubią cię te dziwki – na to Fanodorm. – Od rana zajmujesz się dziwkami. I tak do rana.

Słoń już chciał mu się odciąć. Ale akurat mankiet koszuli poprawił sobie Fanodorm i zegarek na przegubie jego dłoni załśnił. Złoty Tissot, ostatni szyk. Zagapił się Słoń. I nic już nie powiedział. On na przedmioty czuł. Ocknął się i szybko wszedł do swojego BMW, drzwiami może zbyt głośno trzasnął. Z zazdrości zapewne. I odjechał.

W przeciwną stronę. Bo za chwilę trumna już została wtaszczona do czarnego karawanu ze srebrnymi okuciami i kawalkada samochodów ruszyła na cmentarz. Zaczął padać deszcz. Marki wozów nie były według kieszeni ich właścicieli. Tu już następuje zmyłka. Taki Fanodorm dla przykładu wyłącznie Fiatem polski 125 jeździ. Nie chce nic innego. Ani myśli. Śmieją się z niego, że powinien Syrenką. Zupełnie nie podpadająca. Fanodorm tłumaczy tym kpiarzom: – Coś ekstra zawsze w oczy kłuje. – I ubiera się skromnie. Niebiednie oczywiście. Ale swojsko. Płaszczyk z domu mody męskiej „Adam”, owszem, garnitur z angielskiego materiału, ale żadna ekstrawagancja, staroświecko raczej szyty przez tutejszego mistrza Witkowskiego. Nic więc w oczy nie kłuje. Tylko zapalniczkę, papierośnicę i zegarek ze złota posiada. Lubi takie drobne przedmioty z tego szlachetnego kruszcu. Tej przyjemności nie może sobie odmówić.

Wracając jednak do motoryzacji. Również Władziu Reakjonista, co dwa forsodajne przedsiębiorstwa prowadzi, efektownym wozem się nie popisuje. Po prostu Warszawa. Pe-

wien to związek posiada z jego częstymi wyjazdami w teren, Warszawa motor ma mocny, zawieszenie wysokie i po różnych wertepach śmiało można objąć.

Natomiast ten golas Admirał (bo golas on przy tych dwóch jednak) już wóz musi mieć lepszy, dla niego wóz jak dla Cygana sygnety. Cała przyjemność dla niego to efekt w postaci samochodu. Toteż jego wóz w tej pogrzebowej kawalkadzie najświetniejszy. Citroen DS 21, błyszcząca, karawaniarski zgoła, ze ściętym pyskiem niczym rekin pojazd.

Nowojorczyk w ogóle nie posiada własnego wozu. Nie chce. A stać go nie na jeden. Taksówkę na pogrzeb wynajął. Starą, z pordzewiałą tu i ówdzie blachą Wołgę. Tyle, że taksiarz blatny, nieboszczyka doskonale znał i ceniał, niejaki Leszek Grubas, sto kilo żywej wagi, brzuch jak beczka i wlać można w tę beczkę gorzały moc.

I tak oto pogrzebownicy do tych czterech wozów powsiadali.

Miki, obdartus i brzoźwowy (tak o nim mówią) pijaczek, najdłużej stał i wyraźnie nie wiedział, co z sobą zrobić. Niepewny, czy go zaproszą, tak patrzył nieśmiało, jak oni wsiadali. Przygarnął go do swego Fiata Fanodorm. Miki pustecki i pijaczek, ale do tego i owego zawsze się przydać może. Niekosztowny równocześnie i wdzięczność za marny grosz czuje.

– No, co tak sterczysz jak palant – powiedział Fanodorm i Miki śpiesznie, takim bocznym drepcikiem na tylne siedzenie się wsunął. Przycupnął w kącie, żeby miejsca jak najmniej zająć, i nieznacznie rękawy swego gabardynowego postrzępionego płaszcza podwinął.

Jeszcze chciał Literata do siebie Fanodorm zaprosić. Od początku dla niego łaskawy. Jak tylko przy kostnicy go zobaczył, od razu powitał kordialnie. Odtąd wszyscy odnosili się do Literata życzliwie. Choć właściwie nie lubią piszących. I mają racje. Literat, żurnalista, wsio rawno. Obsmaruje taki, fantazji jeszcze dorzuci i nieprzyjemność jak smród. Ale skoro Fanodorm... To i Nowojorczyk od razu wylewnie: – Bardzo mi miło. Nieboszczyk wiele mówił mi o panu. – Swoją drogą... wtrącił Fanodorm – z niego jest gotowy temat do książki, że tak powiem.

No ale z zaproszeniem wyprzedził go Nowojorczyk. Więc Literat do tej Wołgi Grubego Leszka się wpakował. Snob z tego Nowojorczyka, i choć jak już zostało powiedziane, w branży, która trzepie grubszą forszę, nie lubią piszących, to jednak nie może on sobie tej przyjemności odmówić. Intelktualnym odprężeniem to nazywa. Lubi pogadać o starych, przedwojennych czasach. Kabarety, piosenkarze, tekściarze i tancerki – jego specjalność. Jako młodzian w tym nocnym świątku obracał się w euforii.

– Aktorzyca jakaś wyszczekana, rymotwórca zafajdany to dla niego jakby Pana Boga za nogi złapać – podśmiewał się zawsze Ratusz nieboszczyk.

I teraz w taksówce Nowojorczyk od razu spicz zaczął o Światopełku Karpińskim i jego pijaństwach.

– Gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie literackiego nieboskłonu – walił z tandetną emfazą. – Niestety, jak zwykle u nas, przedwczesna końcówka.

A jego kochanica, miła dziewczyna imieniem Małgosia, wpatrzona w niego jak w tęczę. Figurą Nowojorczyk dla niej. I forszą, i światowym sznytem oraz zaganiaczem, jak powiadał nieboszczyk. Podobno właśnie w zaganiacza niezwykle tęgiego obdarzony.

– Kwik w każdym babskim cielsku – szeptem informował nieboszczyk – potrafił spowodować.

Nieboszczyk kpił raczej z tego daru, już względem tych spraw obojętny.

– Znużył się. Łajdak, hulaka – dawał Nowojorczyk ripostę na jego kpiny – a w rezultacie impotencja.

Takie plotki krążyły rzeczywiście. Sam nieboszczyk bardzo rzadko względem jakimś szczególnym kobiety obdarzał. Przeważnie tylko uprzejmość, galanteria, ale zimne to, bez tego charakterystycznego dla samczej potrzeby podniecenia.

– Jestem wyzwolony – sytuację swą określał podniośle – żądza jest bowiem formą niewolnictwa.

Zresztą bywały takie damulki, co z tego właśnie powodu parol na niego zagięły – skosić takiego nieczulego drania, rozgrzać i do gotowości doprowadzić.

Siedziała jeszcze w tej taksówce Grubego Leszka na tylnym siedzeniu obok Literata ta Aśka, młoda, długonoga i stercząca niebywale w biuście, tylko z pyskiem już obrzmiałym i wyuzdanym na wiek. Ona to na nieboszczyka nachalnie leciała. Wiedziała, czym mu dogodzić, wódkę i kolacyjki w drogich knajpach fundowała. Tak go wódą i tym swoim cycem sterczącym rozgrzewała. Finansowo ostatnio swobodna, handlowiec aż z Japonii, kontrakty tu jakieś zawiera, Aśkę sobie upatrzył. Przyjeżdża i korzysta. Niedługo korzysta, a stałą pensję wypłaca, bonami Pekao, zielonymi papierkami i naszym groszem. Umowa na rok stoi. Aśka jego dyspozycyjna flama, za gotowość po prostu opłacana. Żółtek jak to żółtek, niepokazny, włosy jak druty i taki jakiś. Mongoł po prostu, śmieje się Aśka i ze swojego fartu zadowolona. Urządzona, można powiedzieć, ta cwaniurka niebywale. Fanodorm jednak wciąż nad nią bojeje.

– Dla kobiet – troska się – nie ma większego niebezpieczeństwa. Z takiej beztroski właśnie najłatwiej się staczają.

I nieraz wizje ponurą tego upadku przed nią rozpościera. Czas tu przecież swoje dołoży. Aż przyjdzie taki moment: stara, siwa baba, człap, człap, zagłada po śmietnikach, pojemniki kita, z jakimś cuchnącym śmieciarzem sztamę trzyma i denaturatem się poją obydwójce.

Fanodorm jak poeta wizjoner na swój numer pracuje. Ale za młoda przecież Aśka, żeby takimi gadkami się przejmować. Śmieje się w twarz Fanodormowi.

– Stary cap! – chichocze, kieckę mini podciąga, swoje piękne, smukłe nogi wystawia. Posiada ona to swoje kobiece wyczucie. Fanodorm żądzą płonie do niej wyraźną. Chciałby na dłużej z nią się związać. Podobno posunął się do tego, że do cudzoziemskiej, dewizowej pensji swoją pragnął dołożyć. Ale Aśka uparcie nie chce. Jeden stały jej wystarcza w zupełności. Stały i ulotny jak motylek przecież. Ponadto te żółtki nie są tęgusy w erotycznych potrzebach, mówią znawcy. A reszta to czas na zabawy, kaprysy, miłostki. Niekiedy łapie ją taka niespodziana ochota na młokosa jakiegoś. Zobaczy w kawiarni, zderzy się przy barku nocnym w knajpie. I już gotowa. Nie tylko na młokosa, jak się okazuje. Tak samo na nieboszczyka właśnie. Aż dziwne, stary to był chłop jednak, a ona raczej do młodych przystojniaków lgnęła. Jak jeszcze typ włoski, oliwkowy, barczysty, z kłakami na piersiach, to piszczały od razu. Tak to czasem uczucie krętymi ścieżkami chodzi. Stary łysy chłop o dziobatej twarzy najwięcej ją zabiegów kosztował. Namęczyła się przy nieboszczyku. Ogień w wygasłym, popsutym palenisku koniecznie rozniecić chciała. Denerwował się nieboszczyk. On to potrafił wybuchać.

– Odejdź zmijo! – ryczał. – Zniknij z moich oczu! – Oczywiście po kolacji, którą Aśka stawiała. – Nie mogę znieść tej wstrętnej pajęczyny twoich mozolnych zabiegów, smród już czuję... – Tak to brutalnie dawał jej do zrozumienia, że zapach jej ciała chęcią nabrzmiałego jest mu również wstrętny. – Mieć tu córkę – kończył nieoczekiwanie. Następnie uspokoiwszy się dawał poważny, obywatelski wykład o bezsensie posiadania dzieci w ogóle.

Czy roznieciła ogień w tym palenisku? Nie wiadomo.

Byli tacy, co widzieli, jak z tej wiloni na Saskiej Kępie, gdzie ostatnią sublokatorkę miał nieboszczyk, wychodził sobie pod parasolem nie sam, z tą Aśką właśnie. I tak czule ją obejmował, zupełnie jak za dawnych swoich uwodzicielskich czasów, kiedy to jeszcze King of Night go nazywano. Nic nie wiadomo. Aśka nawet pary z ust na ten temat nie puściła. Dyskretna jak nigdy. Nieboszczyk też. Aha, to Pies, czyli Delator, widział ich, jak pod parasolem razem szli. Deszczowo wtedy było jak dziś. Tylko czy wierzyć Delatorowi? Fanodorm twierdzi, że tak. Admirał też mówi, że Delator szczerzy jest ostatnio jak nigdy.

Aśka oczy miała podpuchnięte i czerwone. Tak jakby płakała. Ale gdzie by to zwierzę płakało. Niby dlaczego?

– Lubił *Ostatnią niedzielę* – powiedziała. I zanuciła ochryple. Głosu to ona nie miała za grosz, fałszowała, aż skręcało.

Skrzywił się Nowojorczyk, koneser kabaretowej piosenki przecież.

– „Ta ostatnia niedziela...” – wydierała się okropnie. A Gruby Leszek chichotał i w lusterko miny pełne rozbawienia puszczał.

Tak tą pogrzebową kawalkadą sunęli. Za karawanem pierwszy Fanodorm, czyli kapitał i historia zarazem. Tuż po wojnie z nieboszczykiem się poznali. Jeden drugiemu pasował nad wyraz. Nieboszczyk jemu niefrasobliwością, pomysłem w zabawie i dowcipem słynnym w kręgach lokalowych bywalców. Fanodorm finansowym zabezpieczeniem. Do ostatka więc przetrwała ta przyjaźń. Co prawda Fanodorm kieszenią coraz mniej już służył, ale taki to człowiek, twardy i do sentymentalnych uniesień nieskory. Ponadto innych raczej według siebie oceniał i nieraz mawiał nieboszczykowi: – Nawet mogę ci poważnie pomóc, dać kapitalik na niski procent i na szerokie wody interesów wyprowadzić. – Nie chciał jednak nieboszczyk raz obranej drogi życia zmieniać. Do końca beztronski był z niego sowizdrzał. Nie pochwalał tego Fanodorm, ale i głośno nie potępiał. Tak już zostało między nimi. Do kosztów pogrzebu hojnie i bez wahania swoją działkę dorzucił. W trakcie jazdy coś cichym, łagodnym głosem Mikiemu tłumaczył. Miki nieustannie kiwał głową. – tak jest – powtarzał jak żołnierz na służbie. – Tak jest.

Następny w samochodowej kolejności był Władziu Reakcjonista. Też ze starej gwardii. Jeszcze u Andersa z nieboszczykiem się zaprzyjaźnił i ta przyjaźń do końca nie wygasła. W wozie razem z nim syn, którego do interesów już wciągał.

Admirał, co trzecim i najlepszym jechał wozem, najmłodszy był ze wszystkich, ale ostatnio w życiu nieboszczyka najważniejszy. Jak już powiedziano „tatusiem” jego od roku był, czyli opiekował się nim po prostu, pensyjkę na życiowe potrzeby przydzielał, sublokatorski pokój opłacał i ciągle z tym samym zachwytem wsłuchiwał się w jego farmazońskie monologi.

– Trafił wreszcie samotny, nie zrozumiany poeta – mówił żartobliwie nieboszczyk – na swego prawdziwego wielbiciela. Chwyta mnie on w lot i czuje.

Tak było. Wierny do końca Admirał nieboszczykowi. W szpitalu go umieścił, pogrzebem się zajął. Jak matka i ojciec dla niego w jednej osobie. Nie tylko dla żartu więc nieboszczyk, jak wypił więcej, „tatusiu” mówił do tego wielkiego chłopca, najmniej o połowę młodszego od siebie. Admirał naprawdę smutny. Przygnębiony tym nagłym zejściem. Taki atleta, ciężary kiedyś podnosił, o przygnębionej twarzy opuszczonego dziecka. Żona jego paplała nieustannie, ale on jej wcale nie słuchał.

Z tyłu siedział Pies, czyli Delator, i wzdychał ciężko od czasu do czasu.

Takim korowodem jechali za czarnym karawanem z posrebrzanymi okuciami. Niezbyt szybko, bo szosa śliska. Szaro było i zaciął równy, monotony deszcz, a niebo zasnuło się brudnymi chmurami zupełnie. Daleka droga, gdyż grzebać mieli nieboszczyka na tym nowym cmentarzu za miastem. Wólka Węglowa to miejsce się nazywało.

I tak gładko wcale tam nie dojechali. Nowy to cmentarz. Nieznana droga. Nawet ci karawaniarze nie byli pewni. Parę razy zwalniali i rozglądali się bacznie. Ten ostatni wóz, tak-sówka znaczy Grubego Leszka, zgubił się jeszcze w śródmieściu, zielone światło, tamci przeskoczyli i później sam już Gruby Leszek na ślepo tej drogi do Wólki Węglowej szukać musiał. Wiadomo tylko było, że od północnej strony za miastem. Jadą więc szosą, Gruby dodaje gazu, może dogoni tamtych, pola już i wiocha, a cmentarz ani śladu. Pytają ludzi po drodze.

– Pieprzona sprawa – złości się Gruby Leszek, bo honor ma taksjarski i wstyd mu, że sam dać rady nie może.

– Fatalny początek – kracze ta Aśka.

Tylko Nowojorczyk pozostał chłodny i spokojny. Taki elegancik starawy, pachnący Yardleyem, obojętnie przed siebie się gapi.

Literat natomiast rozmyślał o nieboszczyku. Ciągłe jeszcze do jego śmierci nie mógł się przyzwyczaić.

Wreszcie boczną, błotnistą drogą dojechali do jakiegoś cmentarza. Krzyże, mogiły, budy z kwiatami przy bramie. Ale to nie był ten cmentarz. Tylko katolicki. Więc kwiatów jeszcze przy okazji dokupili, Nowojorczyk tak się szarpnął, i od cmentarnych bab dowiedzieli się dokładnie, jak dojechać do miejsca przeznaczenia. Już bez kłopotów, ale ze znacznym opóźnieniem tam dojechali. Karawan i trzy wozy przed bramą stały.

Fanodorm bardzo się niecierpliwił. Przechadzał się na trzy kroki pod parasolem.

– Gdybyś zwęszył jakiś szmalec – przyciął Grubemu – to węchem byś trafił.

Grubas zamilczał ten przytyk. Specjalizował się bowiem w kursach z trefnym towarem, które, jak wiadomo, dobrze są opłacane i często po ciemku się trafiają. To jest na wycucie przede wszystkim jazda.

No i wreszcie można było do smutnego obrzędu przystąpić. Właściwie ceremonia nie taka znów wcale uroczysta czy skomplikowana. Cmentarz komunalny, świecki pogrzeb. Tak żył sobie nieboszczyk, który powiedział: – Z Bogiem to już sam osobiście się porozliczam. Żadnych katabasów, łaciny i tak dalej. – Fanodorm i Władziu Reakcjonista odmiennego byli zdania. Uważali, że po chrześcijańsku, z pompą powinno się to pożegnanie odprawić. Fanodorm nawet za portfel znacząco się złapał, dając do zrozumienia, że grosza nie pożałuje. Jednak zdanie ostatniego „tatusia” nieboszczyka przeważało ostatecznie. Dlatego świecka to była sprawa. A ta Wólka Węglowa jak pustynia wprost. Plac wielki i goły, siatkowym płotem ogrodzony, z rzadka dopiero kopczykami mógł poznaczone. Dalej kępy drzew, samotne zagrody; widok zamykała budowla jakaś z czerwonej cegły i dwa wysokie kominy tam sterczały. Takie to miejsce. Deszcz z wiatrem ciągle zacinał, szarzyzna i błoto; odpychająco w tej pogodzie Wólka Węglowa wyglądała. Równiutkie jak pod linijkę alejki tonęły w kałużach.

Żona Admirała, daremnie szukając słuchacza, do Mikięgo na koniec się zwróciła:

– Co za kretyński pomysł, takie miejsce wynaleźć, a tak przekonywałam nawet na Bródnie dałoby radę kwaterę... – Tusz spływał jej po policzkach, szminka też się rozmasowała. Miki odsunął się śpiesznie. Nie chciał przecież z Admiralem zadzierać. Z nikim nie chciał zadzierać. Tylko uśmiechnął się po cwaniacku do Literata. Z nim jakby jedynie na poufalej stopie się poczuł.

Z budy przykrytej papą wynurzył się zarośnięty facet w okrągłej czapce i miejsce dla nieboszczyka Ratusza pokazał. Trumna została ustawiona na dwukołowym wózku z długim dyszlem i ten w okrągłej czapce pociągnął wózek. Oni poszli za nim. Dół już wykopany. Wszystko gotowe. Stanęli gromadą wkoło. Czapki i kapelusze pozdejmowali. Chociaż w pierwszej chwili nie byli tacy pewni względem tego, świecka to przecież sprawa. Ale Fanodorm bez wahania swój piłśniak z głowy ściągnął i poszli za jego przykładem.

Wtedy to z bocznej ścieżki, człapiąc przez błoto, zbliżyła się do tego miejsca starsza kobieta w kraciastej chustce zawiązanej pod brodą i mężczyzna w butach z cholewami. Zdziwili się wszyscy. Nikt ich przecież nie znał. Oni podeszli do grobowego dołu i kobieta chlipać zaczęła. Chlipała coraz głośniej i przez to chlipanie słowa modlitwy docierać zaczęły. Zdziwili się jeszcze bardziej, kiedy Admirał zbliżył się do niej i z szacunkiem w rękę ją pocałował. Była to rodzina nieboszczyka Ratusza. Siostra i szwagier. Z daleka przyjechali. Stamtąd gdzie nieboszczyk sześćdziesiąt bez mała lat temu się urodził właśnie. Rodzina jego jedyna, inni już wymarli czy też pogubili się po świecie. Tak im Admirał wyjaśnił obecność tych dwojga. Kobieta głośno już modlitwę za dusze zmarłego odmawiała. Mężczyzna w cholewianych butach też się do niej ochryple dołączył.

– Gospodarze – zaszeptał Admirał. – Nieboszczyk z wsiowej pochodził rodziny.

– Nikt by nie pomyślał – zdumiała się Aśka. – Taki bywalec i dżentelmen.

– Daleko odskoczył od tego tam... – dodał Fanodorm – no... od tej jabłoni – przypomniał sobie nareszcie przysłowie.

Na tej gołej cmentarnej przestrzeni znowu gęstym deszczem powiało. Skulili się ukrywając twarze w kołnierze i parasole jak w tarcze wystawili. Tylko Miki pozostał wyprostowany, z

gołą małą główką oblepioną mokrymi, rzadkimi pasemkami włosów. Aśka chyba jednak płacze. Oczy wyciera raz po raz. A może jedynie od deszczu, który zacina coraz mocniej?

Nowojorczyk wyraźnie niecierpliwiał się, na przemian spoglądał na zegarek, to znów na tę lamentującą wsiową rodzinę nieboszczyka. Ten Nowojorczyk w wieku Ratusza przecież, a trzyma się nad podziw świetnie. Suchy, wyprostowany sprężyste przystojniak ze szpakowatą gęstą czupryną, może szpecą go nieco te baki, które sobie według mody na szczęki puścił. Przedwojenny przyjaciel nieboszczyka, jeszcze czasów młodzieńczych, kiedy jako dwaj lowelasi zaczęli zaliczać te swoje knajpy, kabarety, kobiety. Więc ten Nowojorczyk śmiercią nieboszczyka z pozoru nie za bardzo poruszony.

– Organizm swój jak beczkę traktował – powiedział oschle. – Beczkę bez dna. To nie przechodzi bezkarnie.

Fanodorm z jego poglądem się nie zgadzał.

– Tu nie ma nic do rzeczy dbałość o organizm. Są takie choroby, na które nie ma sposobu. Powtarzam: nie ma! – dodał z naciskiem.

Nazw tych chorób nigdy nie wymieniał. Twarz mu się wtedy zmieniała i głos ściszał. Jednej szczególnie bał się panicznie. Jak dopust boży najstraszniejszy ona dla niego. Tym bardziej że to ostatecznie zdjęcie żołądka podejrzone, bardzo podejrzone. Tak dziwnie zachowywali się lekarze. Mówili: bagatelka, jedynie musi pan na siebie uważać. Co to za diagnoza! Co kryją te psie syny...

Właśnie przy tym dole grobowym, kiedy tak patrzył na trumnę, którą grabarze opuszczali na pasach, niedobre przecucie ścisnęło serce Fanodorma. Nic nie dał jednak poznać po sobie. Tylko żuł w ustach ulubione ruskie przekleństwa. Miał taką swoją litanię. Szybko tego zaprzestał i z chłodną rozwagą przyjrzał się siostrze nieboszczyka. Zaczął się doszukiwać w jej twarzy podobieństwa. Roześmiał się.

– To był niepowtarzalny pyśk – powiedział półgłosem i ogarnęła go nagła chęć zobaczenia Ratusza. – Przyjemnie się gadało z tym nicponiem – zamruczał.

– Co proszę? – zapytał usłużnie Miki.

Odpędził go gniewnym ruchem ręki.

Władziu Reakcjonista też zagapił się w dół, gdzie opuszczano trumnę z ciałem jego andersowskiego druha. Nalana, apoplektyczna twarz Władzia znieruchomiała i może przypomniał sobie te wszystkie swoje uciechy na boku, które niegdyś organizował mu nieboszczyk. Lubił czasem zabawić się z dzierlatkami i był jak pajak, który zarzucił swą sieć i nieruchomo a żarłocznie czeka. Ta sieć to jego forsa, a nieboszczyk mu naganiał.

Następnie przyszła kolej na wieńce, wiązańki i bukiety. Grabarze poukładali je na trumnie. Na widocznym miejscu szafa: Witoldowi od przyjaciół. Był to pomysł Admirala. Wieniec z tą szarfą w najlepszej kwiaciarni zamówił. Kwiaty kolorową kopą przykryły trumnę.

– Nieboszczyk tak lubił *Ostatnią niedzielę* – zaczęła Aśka. Na szczęście nie zanuciła. Ten jej głos, ten jej słuch.

Symbolicznie każdy po grudce ziemi cisnął. Miki to nawet całą garść błota nabrał raz, drugi, jakby sam cały dół zasypać chciał. Zza pleców zebranych wynurzył się pies i też garstkę ziemi na trumnę Ratusza cisnął. Z tym Psem głupia sprawa. Wiadomo, Pies, czyli Delator. Przyszedł pierwszy do kostnicy. Nikogo jeszcze nie było, a już stał. Nawet podejrzenie to wyglądało. No, ale skoro Fanodorm nie wyraził żadnego zaniepokojenia jego obecnością ani Nowojorczyk... To inni też. Zabrał się więc Pies na cmentarz wozem Admirala. Każdy z daleka się od niego trzymał. Ale był. Smutny taki, nos na kwintę, łeb spuścił. Może to emerytalny pies? Raczej nie. Kto, jak nie on, lat temu będzie ze trzy, nieboszczykowi życie utrudniał?

Ciągali go po różnych instytucjach i komendach, wezwaniami napastowali. Na różne strony go zażywali. Nie pracuje, więc z czego żyje? Tak sobie chodzi, tylu ludzi zna, więc niech co nieco pomoże. Niech poinformuje chociaż, co ludzie rozmaici robią, jak sobie żyją i co

mówią. Trzeba przyznać, nieboszczyk z humorem natrętów znosił. Wszystko z humorem. I Psa nie potępiał.

– Jego chleb – mówił – niełatwy...

Natomiast tym wścibskim z komendy na pytanie, z czego żyje, odpowiedział: – Z różnic.

– Z różnic?! – zdziwili się.

– Z różnic – powtórzył nieboszczyk.

Oni wściekłym wrzaskiem do niego: – Z jakich różnic?

Nieboszczyk z niezmaconym spokojem wyjaśnił: – Mam bogatych przyjaciół, jak zapewne wiecie, panowie, milionerów po prostu, na naszą miarę oczywiście, oni lubią pić koniak, koniak tylko zamawiają, a ja nie lubię tego trunku, więc oni dla siebie koniak, ja mówię: żyto proszę! I różnica dla mnie. A z czego oni żyją? Co mnie to obchodzi, byle dalej żyli tak dobrze. – Tak tym natrętom rozmaitym zamknął usta nieodżałowanej pamięci nieboszczyk Ratusz.

Krażyła ta dykteryjka jak smakołyk i śmiechu było, kiedy to zdarzenie swoim spokojnym, aksamitnie modulowanym barytonem opowiadał.

– My też z różnic – powiedział Władziu Reakcjonista. – Nieboszczyk tak skrótowo podstawowe prawo ekonomiczne naszego biznesu określił. – Zastanowił się z półotwartymi ustami, jakby jakąś różnicę obliczając. A szpadel grabarza miarowo zsypywał ziemię na ukwieconą trumnę.

I Literat ten głos głęboki, przejmujący nieboszczyka usłyszał. I twarz jego zobaczył, tę szeroką, poznaczoną śladami po ospie twarz z leciutkim grymasem ironii i pobłażliwości. Nawet ze zrozumieniem niejakim na Psa, czyli Delatora, popatrzył. Udzieliła mu się ta pobłażliwość i wyrozumiałość wszechogarniająca.

Więc jeżeli chodzi o Psa, to nie niepokoił już ich zbyt.

– Z takimi... – jeszcze Gruby Leszek najwięcej miał wątpliwości – nic nie wiadomo. Kiedy kumpla mojego jeden taki doprowadził na wyrok.

Fanodorm wzruszył ramionami.

– Nie ze mną takie numery, to dobre dla prymitywów.

Ale gruby Leszek ciągle z wrogością na Delatora spoglądał.

– Psa też można wychować – dodał więc dla uspokojenia Fanodorm. – Będzie z ręki ci jadł.

– Nażre się – burknął Grubas – a potem chap, prosto do pudła cię zaprowadzi.

– Owszem, sprzeda cię, kiedy przyjdzie twoja pora – przytaknął spokojnie Fanodorm. – Ale nasza pora jeszcze nie nadeszła.

Te rozterki na psi temat przeciął ostatecznie Admirał.

– Nieboszczyk wcale go nie potępiał – oświadczył. – On dla mnie jak kurz w powietrzu, mówił, dokuczliwy, ale musi być.

– Miał powiedzonka! – podziw zawodowca w głosie Literata.

– To prawda – powiedział Nowojorczyk. – Teraz żałuję, że nie zapisywałem.

Fanodorm zamyślił się.

– Szyja Hamburg, jeżeli chodzi o psów, to był najlepszy. Pluł takiemu w ślepią i mówił: Inaczej nie mogę, mam alergię na ten fach. Szyja Hamburg – powtórzył. – Co to była za głowa.

Trumna już została zasypana. Kopczyk foremny szpadlem grabarza wyklepał i resztę kwiatów na ten pagórek położono. Znów kolorami ładnymi w szarzyźnie i deszczu mogiła rozkwitła. Delator przyklęknął i modlić się zaczął. Miki też. Bardzo religijny ten Miki i mocne miał związki z nieboszczykiem. Teraz głowę zwiesił i walił się w piersi.

Aśka przeżegnała się ukradkiem i na kopczyk mogilny zapatrzyła się po raz ostatni. Smutno i dziecinnie w tej chwili wyglądała. Ale szybko wróciła do rzeczywistości.

– Chodźmy już – powiedział niecierpliwie. – Przemarzłam okropnie.

– Kieliszek czegoś na rozgrzewkę – poparła ją natychmiast żona Admirala.

Admirał na szczęście nie usłyszał. Poprawił jeszcze blachę i wieniec tam położył.

Fanodorm spojrzął na zegarek i dał znak do odwrotu. Ruszyli gromadką do tej głównej, wyłożonej płytami alei. Za nimi w dość znacznej odległości włókł się Pies.

Obejrzał się jeszcze Nowojorczyk. Ale mogiły już dostrzec nie mógł. Zniknęła w zamazanej deszczem cmentarnej przestrzeni. Tylko ta wielka budowla z dwoma kominami ciągle widoczna.

– Dobrze, że chociaż nie dymią – powiedział Literat – bo wtedy jak obóz koncentracyjny to wszystko.

– Ja nie mam takich skojarzeń – odparł Nowojorczyk. – Kremacja w zachodnim świecie szeroko jest stosowana.

Na tej wyłożonej płytami alejce zatrzymał ich naraz Admirał.

– Coś ważnego sobie przypomniałem. – Udał naiwnie roztargnienie, a czuło się wyraźnie, że w tym miejscu właśnie rzecz postanowił wyłożyć. Przedstawił swój projekt. Ostatni w sprawie nieboszczyka. Szantażem na ambicję zebranych podzielał. – Oczywiście, jeżeli nie macie ochoty, to ja sam cały koszt poniosę.

Tym sposobem rzecz ostatecznie rozstrzygnął. Rozchodziło mu się o to, żeby nagrobek przyzwoity wystawić. Krzyż z czarnego granitu albo tablicę marmurową. Miał nawet Admirał artystę, co rzeźbi w kamieniu, upatrzonego.

– Trwały ślad – zgodził się Nowojorczyk. – Inaczej za jakiś czas mogiły się nie odnajdzie.

Admirał kuł żelazo, póki gorące, i zrobił zrzutkę od razu. Każdy po brudacie wyłożył. Nie przyjął tylko pieniędzy od Delatora. No bo od takiego nie można, brudne ręce przecież. Miki też nic nie dał. To golas, grosza przy duszy nie ma od dawna. Na tym stanęło. Krzyż granitowy wystawią. Skończyła się cmentarna sprawa. Tą długą, wyłożoną płytami aleją doszli do bramy wyjściowej, gdzie ich samochody stały. Przed nimi stypa. Deszcz padał nadal.

Ci wsiowi, rodzina zmarłego znaczy, też wsiedli do taksówki. Taksówka dla nich od rana wynajęta. Admirał tak charakternie się tą wsiową rodziną zajął. Pożegnał ich teraz i dobrej podróży życzył. Na stypę nie zostali zaproszeni przecież. Obcy ludzie, nie tylko dla nich, dla nieboszczyka również. Nieraz tak powiadał: Wyrosłem ponad swoją familijną miarę. Rodzinę mam nieciekawa, wieś zmieszana z drobnomieszczaństwem. Z wyjątkiem matki nikt nie rozumiał mnie zupełnie, już nie mówiąc o szacunku wzajemnym czy przywiązaniu.

Ci, co znali ten zamierzchły rodowód, na przykład Nowojorczyk, dodawali ze śmiechem, że szwagrow swoich nieźle oszwabił, jakieś pożyczki pozaciągał i znikł bez śladu.

– Co może łączyć artystę z pospółstwem? – żartował po swojemu Ratusz.

Ale nic to właściwie nie ma do rzeczy. Po pańsku zostali przyjęci. Prosto z Wileńskiego dworca do taksówki sobie wsiedli i o nic martwić się nie potrzebowali. Wdzięczni Admiralo wi. Ten szwagier nieboszczyka tak po chłopsku, chytrze, a pokornie dziękował: – W imieniu całej rodziny chciałbym wyrazić wdzięczność, że zadbał pan szanowny o wszystko należycie.

I pojechali. Inni też śpiesznie do wozów wsiedli. Przemoknięci. Nie wszyscy przecież pamiętali o parasolach.

Przy cmentarnej bramie pozostał jeszcze Miki. Ociągał się jakby. Chudziutki, w podartym płaszczu, dygotał nieustannie. Ten dygot nie z zimna wcale, gorzałkowy to dygot. Wyraźnie nie zaprawiony ten Miki. Golas, skąd może mieć na zagrzewkę.

Przyklęknął i przeżegnał się zamasyście.

– Te, dewota! – zakpił Władziu Reakcjonista.

– Żegnam go – odparł z powagą Miki.

Fanodorm wychylił głowę ze swojego Fiata i też tam w dal popatrzył.

Ta śmierć, co przyszła znienacka, przypomniwała mu innych, dawniejszych nieboszczyków.

Taki Lolek Farmazon, co biografię jak rtęć miał, raz u Maczka, raz spod Lenino szedł, a równie dobrze Legia Cudzoziemska mogła być. Wesoły Lolek zawsze i beztronski, padł nagle, być może nędzne trunki przyczyną, brzoźówkę i denatur pod koniec pijał. Albo Henio Rekin, co wielkie pieniądze na odgruzowaniu stolicy zbił i równie lekko puszczał je w tango wielodniowe, olśniewające. Wsypała go żona, poszedł siedzieć, zdrowie stracił walcząc o wariackie papiery, wyszedł wreszcie na wolność, jednak wnet szlag go trafił. Również Cygan, co największym był od wyrobów z plastiku macherem. Przejechał go tramwaj. Właśnie jego, faceta, co tak rzadko chodził, przeważnie woził go przecież bordowym Mercem jego szofer i obstarawa zarazem, Zbyszek Młotek.

– Właściwie mogą się cieszyć – westchnął Fanodorm – że tak zmarniałych czasów nie dożyli.

– Żegnam go – powtórzył Miki i ostanie słowa modlitwy wymamrotał.

– Szybciej! – zniecierpliwiał się Gruby Leszek, tym razem on przygarnął Mikiego do swojego wozu.

Już w samochodowym ciepłku przechylił się Miki do Literata i tak zaczął: – W wielki świat mnie wprowadził, wszystkie bramy pootwierał...

Ciągnął żarliwie swą opowieść o wspaniałych lokalach, trunkach, samochodach i kobietach, które wtedy pierwszy raz zobaczył. Wspominał nieboszczyka Ratusza, który jakby pęk wytrychów przy sobie nosił i co chciał, to odmykał.

– Od jednego nadzianego gościa do drugiego, zmieniał ich jak rękawiczki i nic od nich nie chciał, choć tyle mógł mieć, tylko bawił się, jak on lubiał bawić się, co on nie wymyślał, to był szatan zabawy... – piał Miki, małowówny zazwyczaj i aż dziw brał, skąd u niego w kacowym odrętwieniu ta żywość niezwykła. Nie peszył go również ani trochę wyniosły, chłodny Nowojorczyk. Oczy przymknął i tak gadał.

Siebie wspominał. Młodego i głodnego życia wilka, zapatrzonemu w mistrza Ratusza wtedy. Nieboszczyk Ratusz wynalazł go na swoim knajpianym szlaku. Mikiego właśnie, nieźle zapowiadającego się boksera wagi średniej w drugoligowej drużynie.

Spodobał mu się chłopaczek naiwny i szczerzy. Zabrał go ze sobą. Lubił tak brać ze szlaku. Miał jakiś taki magnes, poruszył niedbale ręką, coś tam powiedział mimochodem i już za nim szli. Taki był u szczytu formy Ratusz.

– To był wielki artysta, jak on łać farmazon potrafił, do płaczu albo do śmiechu, co chciałeś jak czy czad jakiś ta jego mowa, do każdego inaczej i każdego skołować dał radę. I żeby coś z tego chciał mieć, nic, śmiał się, pił, a potem odchodził, nudziło mu się czy coś, zawsze odchodził... – z zadyszka, śpiesząc się mówił Miki.

Jak modlitwa do boga Ratusza to brzmiała. A Gruby Leszek. Który coraz częściej znaczące oko puszczał w lusterko, już tego poematu wytrzymać nie mógł i wtrącił śmiejąc się: – Następnie, braciszku, jak z pudła po wyroku wyszedłeś, to łomot mu taki dałeś prawidłowy, bokserki, po prostu nokaut, tydzień nieboszczyk z domu nie wychodził, leżał i jęczał, podbite lima, złamany nos, cały czarny jak Murzyn...

To też prawda. Miki, bokserki wagi średniej, chłopak z zapadłej prowincjonalnej miasteczki, wciągnięty w wir podziemnego miasta, miał wtedy do Ratusza zaufanie bez granic. A Ratusz jak to Ratusz. Lekko jednak ludzi traktował. Miał zresztą swoich ważniejszych przyjaciół. Oni prowadzili czasem bardzo trudne sprawy, potrzebowali odważnych młodych ludzi. Poszedł z fałszywym towarem Miki w teren. Ten towar sprzedawać zaczął. Dolary były podobne jak prawdziwe. Jednak wpadł. I nie to wcale, że wpadł, było dla niego najgorsze. Tylko to, że nie wiedział, czym handluje. Dlatego ten nokaut po wyjściu z dwuletniego wyroku właśnie.

– Co miałem mówić – rozkładał ręce nieboszczyk Ratusz. – Proszono mnie o dyskrecję, ponadto egzamin swoisty to był dla chłopca. – Po ojcowsku, pedagogicznie przygodę Mikiego i swoją komentował.

– ...Jak Murzyn – śmiał się Gruby Leszek – dostojny kacyk murzyński... Podobno ładowałeś w niego jak w worek treningowy.

Ale Miki nie słyszał tego i nadal powtarzał: – Wszystkie bramy przede mną pootwierał.

– Więzienną również – Nowojorczyk rozweselił się wyraźnie. – Ten nasz Ratusz – zwrócił się do Literata – miał jednak swoisty dar humoru.

– Żalu do niego nie mam – zakończył Miki z naciskiem.

Kawalkada wozów do miasta podążała. Na stypę jechali. Literat patrzył w szybę z tyłu i te auta, jedno za drugim, widział. Tym razem Wołga Grubego Leszka była pierwsza.

– Gangsterski pogrzeb – powiedział.

Nowojorczyk spojrział na niego z leciutką ironią. Deszcz padał nadal.

Knajpa na stypę już została wybrana. Niezły jak na tę warszawską pustynię lokal. Ostatni raczej. Kelnerzy tu starzy, przedwojennego chowu fachowcy. Goście też lepsi przychodzili. Nie ta tłuszcza rozpanoszona, Chamowo, jak mówią dyskretnie kelnerzy, ale resztki dobrego towarzystwa. Cwaniacy wyższego lotu, macherzy, kupcy i artyści, w ogóle tacy, co ładniej niż przeciętność wydają forszę, hucznie i swobodnie, znaczy z fantazją jeszcze i humorem. Też zresztą stracili już rozmach, skrzydła mają podwiązane, na rachunki im rozmaita konfidencja i donosicielstwo patrzy. Tak to już jest. Cała lepsza branża musi się z tym liczyć.

– Dawno było tu jak w rajku – rozmarzył się Władziu Reakcjonista.

– Chlustałeś niezłe, tak, tato? – zainteresował się jego syn.

Ocknął się Władziu i brutalnie od drzwi knajpy odepchnął syna.

– Do domu się zmywaj! Za młody jeszcze jesteś na gorzałkowanie.

Syn w rewanzu zrobił mu szpas. Wsiadł do jego Warszawy, zatrąbił na pożegnanie i odjechał.

Rzucił za nim wiąchę przekleństw Władziu Reakcjonista. Ale po zastanowieniu się uznał to za dobry omen. Wróci do domu taryfa, pić więc może do woli.

Fanodorm wysiadając z wozu poweselał i życzliwie na świat popatrzył. Cały czas podczas pogrzebu prześladowała go myśl o grypie.

– Trzeba będzie się rozgrzać – oświadczył.

– Napijesz się? – zdziwił się Nowojorczyk, higienista.

– Dlaczego nie – odparł Fanodorm. – Koniak dobrze mi zrobi. – W sprawie swego żołądka też już postanowił ostatecznie. Wybierze się do sławnego profesora i wreszcie uzyska pewność w tej materii.

Więc do drzwi knajpy rażno podchodzili. Drzwi otwarte szeroko i ten ciepły lokalowy smrodek ożywił wszystkich.

– Nieboszczyk tak to lubił – powiedział czule Admirał. – To był jego świat.

– Kto tego nie lubi – odezwała się żona Admirała.

Miki, zmarnowany bokser, też z innymi do drzwi knajpy dochodził. Zacierał dłonie i wyciągał szyję jak ogar myśliwski, co trop w nozdrza łapie.

Zatrzymał go Fanodorm. Takim krótkim, władczym ruchem ręki. Następnie poszperał w kieszeniach, wyciągnął stuzłotową kulkę i podał Mikiemu.

– Masz i idź sobie – powiedział. – Golnij gdzieś za duszę świętej pamięci zmarłego.

– Tak jest – skłonił się Miki i od drzwi zawrócił. Obejrzał się tęsknie, podniósł kołnierz płaszcza i ruszył w deszcz.

– Nie pasuje tu – rzekł Fanodorm. – Stoczył się zbyt nisko. Miałem meldunki. Szajba mu odbija, kompromituje, niestety.

– Żal mi chłopaka – mruknął Admirał.

– Racje ma prezes Fanodorm – wtrącił Władziu Reakcjonista. – Nie raz mu chciałem dać zarobić, nic nie wychodzi jednak, zawala terminy, upija się... Głowy już do życia nie ma.

– I fantazji mu brak – dodał Nowojorczyk. – Nieboszczyk również do interesów beztalencie, ale co za fantazja i czar.

Za Fanodormem w tyle Delator się zatrzymał. Do knajpy wyraźnie się sposobił. Skrzywił się Władziu Reakcjonista. Na Fanodorma z wyrzutem popatrzył.

– Zaprosiłem kolegę – Fanodorm ze spokojem na to. – Pies – dodał ciszej – ale nie dla każdego.

Na takie dictum nie było już żadnej odpowiedzi. Głowa ten Fanodorm. Najstarszy i ciągle mu się wiedzie. Nie siedział też nigdy. Protestować przestali.

Jeszcze trzy schodki i w knajpianym wnętrzu już się znaleźli. Obsługa witała ich z wyraźną przyjemnością.

– Przepraszam za niedyskrecję – zapytał kulawy kierownik lokalu. – Z jakiej to okazji ta uroczystość, panie prezesie?

Zmierzył go zimno Fanodorm. Karcił w ten sposób za zbytne wścibstwo. Skurczył się kulawy.

– Rzeczywiście niedyskrecja – wycedził Fanodorm. – No, ale powiem ci, kochasiu. Pochowaliśmy Ratusza.

– Profesora?! – zdziwił się kierownik, bo tak w gastronomii nazywano nieboszczyka. – Tak niedawno jeszcze...

– Jeżeli chodzi o śmierci – wyjaśnił Władziu Reakcjonista – to zrobił przyśpieszenie.

Fanodorm wydawał dyspozycje kłaniającym się w pas kelnerom.

– Stół pod lustrem w łoży... – zastanowił się. – Zestawić dwa.

Coś im jeszcze polecał. Kelnerzy kiwali gorliwie głowami.

Nowojorczyk, wsparty niedbale o parapet, rozglądał się po sali.

– Niestety... – cedził słowa. – Kiepska ta wasza gastronomia... – W ten sposób nygus – światowiec swoją dwudzielność podkreślał, cudzoziemiec, tak sobie raz tu, raz tam, samolotkiem przeskakuje ocean. – I ta knajpa, niby przedni tutejszy standard, a jak bar w portorykańskiej dzielnicy.

– Nie narzekaj, safandulo... – przerwał mu Fanodorm. – Tu przynajmniej będziemy przyzwyczajeni do obsługi.

Rzeczywiście, kelnerzy uwijali się jak frygi. Za chwilę koniaczki dla pań i Nowojorczyka – po pańsku, nie tylko dla siebie zamówił ten szlachetny trunek Fanodorm – dla innych tradycyjne żyto.

– Przypomniała mi się przypowieść nieboszczyka – odezwał się literat, pokonując nieśmiałość wobec tego grona – dał temu tytuł „Śmierć gastronomii” i mówił tak: Jadę sobie autobusem, siedzi facet obok mnie i otwiera teczkę, wyciąga butelkę, szklanek, nalał sobie do pełna gorzały i trąbki spokojnie, a te baby, co siedziały w pobliżu, jazgot podnoszą: Jak pan się nie wstydzi, nie ma pan gdzie pić, tu dzieci patrzają; tamten wypił do końca, otarł usta i mówi: A gdzie mam pić, knajp nie ma, te, co są, za drogie, w domu też nie mogę, bo moja baba to jest taka bladź jak wy wszystkie.

Fanodorm słuchał w roztargnieniu, a kiedy skończył swoje Literat, zadzwonił widelcem w talerzyk.

– Pozwolę sobie wznieść toast – zaczął uroczyście – za pamięć naszego drogiego zmarłego.

Poważny i patetyczny, wydawać się mogło, że poczucia humoru, lekkości za grosz w nim. Ale to pozór tylko. Z tytułu swojego starszeństwa lubi tak truć czasem po prostu. Tak więc Fanodorm tę stypę ze smakiem celebrował. Przymioty zmarłego wyliczał, przetykając toastami.

– Lojalny – mówi. – Bardzo przyjaciółom oddany. Mógł wiedzieć tak dużo i nigdy nie chlapanął tą wiedzą nieopatrzenie. Przy pozorach niefrasobliwości skupiony przecież i odpo-

wiedzialny. A ileż to razy przysługę serdeczną w imię przyjaźni wyświadczył. Niedawno jeszcze... – W tym momencie kpiarsko się uśmiechnął.

– Dał ci nauczkę niezłą, szanowny prezesie – wtrącił Władziu Reakcjonista.

Pamiętali wszyscy, jak nieboszczyk złoto Fanodormowi sprzedawał. Umieszczał u rozmaitych jubilerów, jeździł na prowincję. Fanodorm, stary skąpiec, dziękował mu serdecznie, na kolacje (dość postne, bo skąpy właśnie) zapraszał, ale o prowizji ani słowem nie wspomniał.

W końcu bilansując cały ten interes nie doliczył się Fanodorm jednej bransoletki.

– Gdzie ten fant? – pyta.

– Jak to?! – oburzył się z godnością nieboszczyk. – Zapomniałeś o prowizji.

– Można powiedzieć – zarechotał Władziu Reakcjonista – wyruchał Fanodorma.

– Pozorny egoista – ciągnął nie wzruszony żartami Fanodorm – a potrafił człowiekowi w chwilach smutku czy nostalgii pomocną dłoń podać i rozrywkę jakąś dla przepędzenia złego nastroju podsunąć.

Tym razem Admirał śmiechem parsknął. Rozbawiła go stateczna, księża stylistyka Fanodorma. Zaczynał papy Fanodorma, mógłby jakieś frajer powiedzieć.

Tymczasem chudy, ascetyczny z wyglądu Fanodorm gustował w bujnych kobietach cieleskich. Wiedział o tym nieboszczyk i istną olbrzymkę do garsoniery mu przytargał. Była to studentka AWF – u, miotaczka kulą czy coś w tym rodzaju. Kaśka Kariatyda, tak nazywał ją nieboszczyk. Jak się przy niej uwijał prezes Fanodorm! Scena to humorystyczna. Olbrzymka zrazu jadła tylko i jadła. Pustoszała lodówka Fanodorma w zawrotnym tempie. Szynki pół kilo, korków cała puszcza, mule, sardynki też, łososia ćwierć kilo, zapijała sokiem pomarańczowym, przetykał jej ten napitek koniakiem swoim ulubionym Hennessy gościnnie gospodarz. Wreszcie zniecierpliwiony przytulił się do niej łakomie, łąpki za bluzkę wsunął, oczy jak kot zmrużył, te jego łąpki drobne i chwytne bulwiaste piersi miotaczki obmacywać zaczęły. – Ale ona była jeszcze nie dojeżdżona – opowiadał nieboszczyk Ratusz. Odepchnęła więc natręta. Zatoczył się wątył Fanodorm, odbił o stół, poleciał dalej, dopiero przy zlewie ostatecznie się zatrzymał.

– Jeszcze musiał usmażyć befsztyki z polędwicy, wyciągnąć drugą flaszkę koniaku, dopiero wtedy jego pragnienia się sfinalizowały – Nowojorczyk objaśnił puentę zdarzenia nie znającemu sprawy Literatowi.

Fanodorm i tym razem zachował powagę.

– Owszem, sytuacje rozmaite bywały – przyznał skromnie – lecz w tym zdarzeniu również szczere serce naszego drogiego zmarłego jak na dłoni.

– I nigdy cykor dupy mu nie ścisnął – wtrącił Władziu Reakcjonista.

Skrzywił się Nowojorczyk wykwinął na wulgarność tego powiedzenia. Ale tak jak inni przytaknął. Bo historia z innej parafii została przypomniana. Siedział Książę w więzieniu. Też już nieboszczyk. Księciem Ratusz go ochrzcił. Za szeroki gest i pańskie maniery. Wszystko prawie mu już zabrano. Willę na Sadybie, samochody, letnią daczę nad Zalewem, złoto w różnych miejscach powykopywali i jeden tylko schowek nie odkryty pozostał. W ogródku tej willi na Sadybie. A willa pod czujną obstawą przecież. Jednak Ratusz nie wahał się ani chwili. – Nic nie ryzykuję, ptaszyno – oświadczył niedbale żonie Księcia. Poszedł tam ciemną nocą i to, co było, wykopał. Przyniósł ten garnek pełen blitu kobiecie.

– To prawda – przyznała żona Admirała – ale wtedy jeszcze był przecież czynny. Pamiętacie, jak szalał za żoną Księcia?

– Wiemy, oczywista – zgodził się Fanodorm. – Tylko nie wiem, czy każdy by dla miłości tyle zaryzykował. Ponadto skarbiec go nie pokusił, a mógł uszczknąć po drodze, oj, mógł nic nie ryzykował.

– Był uczciwy i bezinteresowny – odezwał się Admirał. Ile razy cały dzienny utarg mu zostawiałem.

– Bezinteresowny... nie zawsze – zaśmiał się Władziu Reakcjonista. – Pamiętacie, jak panią Blankę z torbami puścił?

Pani Blanka była recepcjonistką w Hotelu Francuskim w Krakowie. Przystojna starsza pani. Podobno z arystokracji. Poczula słabość do nieboszczyka. Być może ostatnią słabość starzejącej się kobiety. W czasach pełnej jego aktywności to się zdarzyło. Zajmowała się pani blanka lichwą przy okazji. Pod zastaw biżuterie rodową od krakowskich hrabiów brała. I w którymś momencie Ratusz zajął się tym przechowywanym skarbem. Przepuścił w krakowskich i zakopiańskich knajpach. Wtedy to, zdaje się, tego słynnego mordercę Mazurkiewicza poznał. Straciła pani Blanka intratną posadę w hotelu, sprawa w sądzie o przywłaszczenie, zrujnowana reputacja. A nieboszczyk Ratusz zniknął z jej życia jak sen jaki złoty.

– Może i dobry w damskich numerach – odezwał się Gruby Leszek, dotąd zajęty wyłącznie ćpaniem i piciem. – Ale tak to lewy gieroj był z niego. Pod „Paradisem” miałem zajście z takimi trzema nygusami, oparłem się o ścianę, robię, co mogę, to kopem, to piąchą, ale coraz gorzej, już i oni mnie trafiać zaczynają, filują, Ratusz wychodzi z lokalu, Wiciu, wołam, a ten taki syn udał, że nie słyszy, i odszedł sobie wolniutko, nawet się nie obejrzał, pytam go później: Jak tak mogłeś w potrzebie zostawić, a on na to: Bójki to nie moja specjalność.

W tym momencie wtrącił się Nowojorczyk:

– I słusznie, rozsądek to raczej niż tchórzostwo, po co miał się w burdę wdawać. Zaręczam ci jednak, niegdyś umiał ze swoich pięści czynić użytek.

– E tam – Gruby Leszek pozostał nie przekonany.

– Na ciebie już czas, grubasku – przypomniał mu o obowiązkach Fanodorm.

Gruby wstał od stołu zaraz. Odszedł bez pożegnania.

– Ta jego skurwysyńska nieczułość – wzburzyła się nagle Aśka. – Pamiętam, na prywatce u kociego Łba. Wszystkie chodziłyśmy nago, a oni ani drgnął, stary, gorzałą opity bąk. I pomyśleć: ta Blanka, albo we Wrocławiu, nie było takiej, co by mu się oparła. Ta żona Szymona, wiecie tego, co wyjechał do Izraela, oszalała na jego tle, pojechali do Sopotu, ile ona forsy wydała. W „Grandzie”, jak była pijana, to na kolana się przed nim rzuciła: Wiciu, co chcesz, wszystko dla ciebie zrobię, powiedz, co chcesz! A on: Wracaj do męża, luba moja, ze mną szczęście krótko trwa, tak jej powiedział ten drań!!!

Co ona w tym Ratuszu widziała? Ostatnio przecież dziadek już z niego. Otyły, ospowaty i taki burkliwy, zły, zręda po prostu.

– Ja go rozumiem – powiedziała z przekonaniem. – Świat bez kobiety. To jak dla mnie świat bez mężczyzny.

Fanodorm zapatrzył się w nią zachłannie.

– Nie mógł po prostu z tego miodu korzystać. Jak ktoś się za dużo nakosi, to potem nie może i tyle – odezwał się Admirał.

– Dlatego właśnie się załatwił – z uporem Aśka. – Takie życie to pustynia.

Żona Admirała przytaknęła gorąco.

– Cóż za tępa wiara we wszechwładną moc kobiety – powiedział sarkastycznie nowojorczyk. – Raczej świadomość nieuchronnego końca w bólu i rozkładzie była tutaj powodem.

– Pewnie – ożywił się raptownie Fanodorm – świadomość nieuleczalnej choroby trawi człowieka i może gwałtowne załamanie spowodować. – Spochmurniały wzrok w stół wlepił i palce na obrusie nerwowo tańczyć zaczęły. – Może – powtórzył.

Władziu Reakcjonista ze współczuciem na niego zerknął. Wiązały ich przecież rozległe interesy. I żeby pocieszyć, strzelił jak kulą w płot.

– Ja ci powiem, z tym rakiem wcale nie jest tak straszne, żona mojego brata też to miała, leży w szpitalu, już koniec, przerzuty, a co się okazało? Pomyliły się konowały żadne przerzuty, wróciła do domu i żyje.

Sam zdrowy jak byk. Grube łapy, gruba szyja i łeb na tę szyję nasadzony łysy, okrągły.

– Coś mi za czerwono wyglądasz – prawie z nienawiścią do niego Fanodorm. – Żeby cię jakaś apopleksja nie trzepnęła.

Machnął pobłaźliwie ręką Władziu Reakcjonista.

– Jeżeli chodzi o nieboszczyka – wyraziła swoją opinię – to po mojemu wkurwił się albo załamał. Wtedy robi się ze sobą koniec.

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył żywo Admirał. – Z niego był racjonalista i esteta. Sam mi to mówił. Jak Petroniusz. Tak powtarzał. Jak Petroniusz. Muzyka, tańce, wóda, dziwki i sam sobie reżyserujesz swój los. Właśnie tak mówił.

– Kabotyn – skrzywił się nowojorczyk. – *Quo vadis* mu się przypomniało.

Ten to patrzył z dystansu. Cudzoziemiec dewizowy jednak. Najbardziej pasjonuje się huśtawką giełdową, hossa i bessa, zawsze świetnie wie, ile za uncję złota płacą aktualnie. Tyle że coraz dłużej tutaj. Dziewczynę sobie znalazł jak piec i stare ciało ona dobrze mu grzeje. A tam za oceanem bije dolarowy licznik.

Przyglądał mu się ukradkiem Literat. Duża forma jednak i powściągliwość. Te maniery, ta sucha twarz wyżła i włosy gęste, siwe, starannie uczesane. Jak wykwinie pojada sobie, raczej konsumuje, trzeba powiedzieć, palec wytwornie odgięty, łokcie przy bokach, widelec i nóż poruszają się cicho, a kieliszek z koniakiem w dłoni fachowo ogrzewa. Nafaszerowany zielenią – powiada o nim Władziu Reakcjonista. Dolary ma na myśli, zawistnik. I to oko szkliste, bez cynku najmniejszego, co dzieje się wewnątrz. Wiadomo jednak, że pod tą rybią powłoką kryje się niemałego formatu kozak. Gadają rozmaicie po kawiarniach i knajpach. Tyle szmalu już tam za oceanem zebrał. Może jak rentier spokojnie sobie żyć. Ale on tu i tam podobno w rozmaite afery się wdaje. Lubi to po prostu. Nudno mu bez tego.

– Coś go gryzło niesamowicie – powiedziała teraz ta jego duża, pocziwa dziewczyna właśnie. – Przypominasz sobie, Karolu, jak leciałeś do Ameryki w październiku ubiegłego roku, odprowadziliśmy ciebie, zaprosiłeś do restauracji na lotnisku, prezenty jeszcze miałeś dla nas, dla niego taki piękny kupon na garnitur z Pekao, Ronsona i jeszcze coś, już nie pamiętam, a ona nie chciał przyjąć, tak ordynarnie się zachował, jeszcze jakieś pretensja urojone do ciebie... – dalej mówić chciała, ale Nowojorczyk dał jej dyskretny znak ręką.

Natychmiast przestała. Posłuszna, wytresowana kochanica. Fanodorm zauważył ten gest Nowojorczyka. Zmarszczył brwi. Oni podobno mieli ze sobą na pieńku w interesach. Obaj twardzi przeciw i nieustępliwi jak nie wiem co.

– Słusznie Margaret zauważyła. – Tak nowojorczyk tę swoją Małgosię nazwał. – Witold nie miał ostatnio najlepszego samopoczucia.

O Nowojorczyku jeden ciekawy fakt wiadomy. Teraz przypomniał sobie Literat. Z okresu jego skoków zaraz po wojnie, kiedy to w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech majątku się dorabiał. Na czarnym rynku pracował. Wspólnik wtedy go wykosił. Zabrał gotówkę i zwiął. Po latach Nowojorczyk odwiedził go w jego posiadłości pod Paryżem. Opowiadał tę historię pijany Ratusz, żywa kronika tych zawodników przeciw. I tamten już nie żyje.

– Cios był fachowy – powiedział Ratusz. – On podczas wojny w komandosach służył. – Był wtedy poważny. Bez zwykłej ironii i pobłaźliwości. Splunął. – Nie lubię – mruknął na koniec.

Czego nie lubi, tego jednak nie sprecyzował.

Fanodorm wyraźnie miękki dzisiaj. Znowu zamówił wódkę i zakąskę. Znów koniak nie tylko dla siebie, ale i dla pań.

Aśka uporczywie próbowała zaśpiewać *Ostatnią niedzielę*. Nieźle podpiała już sobie.

Fanodorm całkiem odtajał i rzekł: – Rzuć tego dewizowego łachudrę. Ze mną będziesz miała dużo lepiej. Nie pożałujesz, zobaczysz! – Niby to żartem powiedział. Ale tak wyczekując na nią patrzył.

– Dowcipny jesteś – roześmiała się Aśka. Pocałowała go w policzek i napała biustem.

Spróbował obmacać ją po wypukłościach. Wywinęła się zręcznie.

– Nie podniecaj się, wujku!

Małgosia, czyli Margaret, wydeła usta. Obrażona cnota. Za matronę przy Aśce się uważała. Moralność, godność i ład.

– A coś ty, lepsza? – zajazgotała Aśka. – Nie bierzesz, no powiedz? Nie dajesz i za to nie bierzesz?!

Fanodorm parsknął śmiechem. Rozbawił go spór dam.

Małgosia straciła swój łagodny spokój.

– Jak śmiesz, ty... wyciruchu!!! – aż zaplula się z oburzenia.

Znów interweniował Nowojorczyk. Delikatnie dotknął ramienia swojej dziewczyny. Coś jej tylko zaszeptał. Małgosia uspokoiła się od razu.

Fanodorm wyraźnie rozczarowany. Małgosia natomiast szybko odzyskała pogodę ducha i pogрузyła się w ożywionej rozmowie z żoną Admirala. Rozmaite szczegóły stroju porównywały na sobie, nawet do biustonoszy i halek doszły. Bezwstydna w tym szczególnie żona Admirala. Bez żenady kiecke zadarła i majtki pokazała mówiąc: – Włoskie, ostatni krzyk mody... jak pianka...

Splunął na to Nowojorczyk.

– Lekka przesada.

Zawstydził się za żonę Admirala.

Władziu Reakcjonista łeb nisko pochylił i filować zaczął między nogami strojnisi.

– He, he!! – zarechotał i spocona gęba frajdą mu rozblęła. – No i skończyła ten pokaz mody.

A Słoń jak zwykle pojawił się z fasonem. Do szatni aż towarzyszyła mu ładna smarkula. Pożegnał ją niedbałym klepinięciem w pośladki. Zapatrzył się Fanodorm.

Następnie, kiwnąwszy im ręką z daleka, przy barze Słoń sobie stanął.

Widzieli, jak witał się serdecznie z Kryską Łapką. Ta trzymała swa niezmienną barową wartość. Obliczają ją na pięćdziesiąt z hakiem. Jeszcze w wojnę przecież do miasta chadzała.

– Ta Łapka – zaśmiał się Słoń, podchodząc do ich stołu – trzyma się pięknie, co?

Zgodnie przytaknęli.

Słoń zdążył już zmienić strój. Był w welwetowym garniturze koloru fioletowego i wzorzystej koszuli z wielkimi rogami kołnierzyka, spod którego wystawała niedbale zawiązana zielona apaszka.

– A wiecie, dlaczego tak się trzyma? – zapytał Słoń tajemniczym szeptem.

Nie wiedzieli.

– Bo na śniadanie dzieci ona zjada, tak, tak, tylko laskę klientom obciąża, to przecież najlepiej konserwuje.

– Dlaczegoś taki spóźniony – zapytał surowo Fanodorm.

Słoń stół zlustrował i od razu setkową dawkę żyta sobie nalał.

– Interesy – odparł. – Nikt przecież mi forsy za darmo nie da. No... – spojrzał koso na Fanodorma – założysz za mnie pięćdziesiąt patoli?

– Nie jestem „Caritas” – Fanodorm wzruszył ramionami.

Ponadto – Słoń wyraźnie droczył się Fanodorem – przyjemne sztuki na noc sobie ustawiłem. Dwie świeżutkie sałaty, przed maturą. Podleję gorzałą i gotowe. Jedna przód poda, drugą załatwię od zaplecza. Potem mogą odstąpić.

– Wyłącz się z tą plugawą mową! – podniósł głos Nowojorczyk. – Co za słownictwo! Tu są przecież kobiety!

Zwady z Nowojorczykiem Słoń wyraźnie unika. Udał jedynie, że nic nie usłyszał. Ale zaprzestał trzaskać dziobem. Żonie Admirala Słoń podoba się od dawna. Patrzyła na niego z uśmiechem.

– Zgredy – powiedziała szeptem do Literata – nie lubią Słonia. Taki młody dynamiczny.

Jak jastrząb ten Słoń. Chudy, muskularnym o twarzy ostrej i brutalnej.

– Gangsterzy!! Istna mafia! – wybuchnął entuzjazmem niezłe już napity Literat. – Co za świat! Jak ja to lubię!

Słoń krzywo na niego popatrzył. Nie lubił tej frajerskiej gadaniny. W ogóle nie lubił takich kształconych pustaków.

– Uczył się i uczył – powiedział i uśmiechnął się nieprzyjemnie – a groszem nie śmierdzi. Czy to jest figura? – dla zgrywy zwrócił się do Fanodorma.

Drapieżnik naprawdę z tego Słonia. Opowiadał Ratusz. Raz tylko w życiu pracował, i to bardzo krótko. Za furmana się wynajął. Węgiel woził. Aż ugryzł go koń. Wyczuł człowieka czy coś, od tyłu za bark go drapnął. Zaryczał Słoń, oczy krwią mu zaszyły i kołem zaczął tłuc. Walił w zaciekłym uniesieniu. Uśmiercił konia. – W dodatku to był wielki koń – mówił Ratusz. – Perszeron. A jednak padł.

Ale dziś do kostnicy nie zajrzał. Zbiełał, usta zacisnął i cofnął się od drzwi.

Jeszcze bardziej z powodu tego przypomnienia poruszony Literat. Snuł malownicze zwidy jak z *Ojca chrzestnego* wprost.

Fanodorm jako najstarszy wiekiem i znaczeniem zabrał głos i euforię naiwną Literata zagasił.

– Otóż, mój drogi, sprawa przedstawienia się nieco inaczej, bardziej prozaicznie i skromnie, ta twoja licentia poetica raczej tu nie pasuje. Po prostu są u nas trzy kategorie ludzi. Tak z grubsza próbując klasyfikować. Pierwsza więc to ci na stanowiskach, wysokość szczebla jest tu obojętna. Następnie idą muły i cała ta anemia, ci, co nic nie potrafią albo boją się wszystkiego panicznie. I wreszcie ludzie utalentowani, na Zachodzie mówi się: biznesmeni, menedżerowie czy jak tam. Oni nie chcą żadnego stanowiska, posady, to niewola przecież. Oni nie chcą po prostu niczego za frajer, tylko sami kombinują, mózgową elitą, lubią to robić, inaczej żyć nie potrafią. A władza dla nas nie ma zrozumienia. Tak oto geneza naszego towarzystwa się przedstawia. Głową trzeba tego manewrować, żeby przeciwieństwa pokonać. Słoń też powoli do nas dochodzi, jeżeli oczywiście utemperuje się nieco, manier nabierze i poszerzy horyzonty.

Słoń w milczeniu przełknął tę gorzką pigułkę.

– Wracając jeszcze do tego tematu – podjął Fanodorm upiwszy nieco koniaku z kieliszka – to nieboszczyk miał trafne spostrzeżenia. Pełne polotu i lapidarne. Nieraz powtarzał z upodobaniem: Pułap Zbyt niski tutaj i ciasno, skrzydeł nie da rady rozpostrzeć. Smutne i prawdziwe, niestety. Bo choćby ja Fanodorm, nie lubię tego przezwiska, zbyt nachalny związek z medycyną, lek taki, jak wiadomo, ale wracając do istoty rzeczy, zarobić umiem, niekiedy z niczego prawie utłukę piękny grosz, czyli mam inwencję, dochodzi jeszcze szczęście, to bardzo się liczy, niektórzy mówią: fart, można i tak, tylko nic z tego nie wynika, osiągnę wilgę, powiedzmy, dwie, szykany rozmaite w środku porobię, baseny i oranżerie, mogę jeszcze to i owo, powiedzmy, z kitem na rodzinę swój dobytek rozpiszę, samochód, jeden, drugi, obwieżę żonę biżuterią jak choinkę, dzieci urządzą, co dalej, pytam się, dalej niestety stop, wszystko od pewnego momentu kisi się, czyli psuje. Czy może być coś gorszego dla ludzi z inwencją, którzy doskonale wiedzą, że pieniądź rodzi pieniądź, którzy również zdają sobie sprawę z możliwości nieograniczonych, jakie daje pieniądź? Lokujesz, pomnażasz, ryzykujesz, czekasz, uderzasz, zarabiasz, tracisz, ciągle ta wielka batalia, jak strateg i komputer zarazem, a ponadto artystą po trosze musisz być, szaleństwo i rozwaga, co za skala możliwości na fundamencie pieniądza opiera się, ta sama prawda jak refren od tysiącleci powtarza się w dziejach ludzkiego gatunku...

Uśmieszki przy stole. Szczególnie Nowojorczyk prosto w twarz Fanodormowi ironiczne grymasy posyłał. Był powód. Jakby Ratusza słyszeli. To jego monolog. Fanodorm niezwykle pojętym uczniem. Z pamięci kropił toczka w toczkę. I tych uśmieszków wcale nie zauważał. Albo omijał. Dalej ciągnął ten wywód, tematem autentycznie pochłonięty.

– Ta wielka uroda życia z pieniachów wynikająca, ta możliwość młodości i męskiej, prawdziwej walki, ciągle w ataku, ciągle w zagrożeniu, czujność i odwaga, niekiedy wszystko tracić i jakbyś się urodził, znów do boju szarżujesz, znów wszystko od początku zaczynasz, tu niestety, to znaczy do naszej rzeczywistości powracam, drobne możliwości, drobne pieniądze, muł, błoto, grzęzniesz, brodzisz, żadnej większej toni, głębin, wyschnięte wszelkie wody, ani razu mocniej się nie zanurzysz, nie mówię oczywiście o ryzyku w postaci wyroku, to jest tutaj rozbudowane drobiazgowo, pięć, dziesięć, piętnaście lat, proszę bardzo, ile chcesz, ale nie o to mi chodzi, wszystko kisi się, psuje, gnije, ten przykry zapach rozkładu dookoła, ta nagromadzona forsa, energia w to dzieło włożona nie ma szansy na rozmach...

W tym momencie uśmieški już zauważył, ale nie spieszył się wcale.

– Być może coś wam to przypomina, po prostu on wyraził to słowami, co ja czułem od początku swej działalności, precyzyjnie to sformułował, kształt temu zgrabny i celny nadał z właściwym sobie polotem... Znaliście zapewne Jureczka zwanego Kocim Łbem, młody, jednak tęga głowa, talent od Boga dany, na początku swojej drogi w Słonia typie osobniczym raczej, jednak bardzo szybko porzucił zły styl, piął się w górę, tempo niezwykle szybkie, i pod sufitem się znalazł, coraz uderzał tym swoim kocim łbem w mur. Jaki morał z tego wynika? Musiał opuścić Jureczek te strony, i to w pośpiechu, że tak powiem, jednak tam właśnie, w szerokim świecie, rozpostarł swe orle skrzydła.

– We Frankfurcie interes prowadzi – odezwał się Słoń z wyraźną zazdrością.

– I nieźle na tym wychodzi – młasnął smakowicie Fanodorm. Twarz mu złagodniała. Wyraźnie jego pupilem ten Koci Łeb i jak najlepiej mu życzył.

– Ale to są wyjątki – posmutniał. – Na palcach policzysz. Nie każdy może tak definitywnie zerwać związki z macierzą czy jak tam. Te korzenie tak głęboko sięgają. Ruszyć się nie można. My już ugrzęźliśmy jednak. I wiek, i kwestia odwagi, wiele zasadniczych względów. To miał na myśli nieboszczyk. Pułap zbyt niski i grunt grząski pod nogami, kurczą się naszych szlaków przestrzenie.

– Znałem Kocięgo Łba – odezwał się nagle Literat.

Było to przywołanie młodości. Więzienie na ulicy Gęsiej. Gęsiówka. Cela sto jedenasta. Gromada krótko ostrzyżonych małych spacerują stukając drewniakami. Wśród nich oni obaj. On i Jureczek zwany od początku Kocim Łbem. Barczysty, piegowaty rudzielec. Zwarty i skupiony, jakby ciągle nad czymś rozmyślał intensywnie. Nigdy nie ustępował nikomu. Ta zawzięta walka z celowym o pierwszeństwo do kotła z żarciem. Tłukli się pięściami, walili drewnianymi buciorami, gryźli i wciskali pace w oczy. Otaczała ich milcząca gromada więźniów. Zwycięzcą został Koci Łeb. Jego przeciwnik leżał złachmaniony na betonie. A on ślaniając się i opierając o kibel, wychrypiał: – No, który jeszcze? – Ugięły mu się kolana, klęknął, ale ciągle patrzył wyzywająco, w czujnym oczekiwaniu.

Takim go zapamiętał Literat. I ten czas letni w sto jedenastej celi utrwalił mu się z fotograficzną dokładnością. Leżeli na pryczach obok siebie, przed nimi okienko i kawałek błękitnego nieba porżnięty kratami. Dzielił się sprawiedliwie dymem z niedopałków i zwierzali z marzeń. Koci Łeb tak mówił: – Głupie te skoki, ten cały mój klops, myślisz, że tego nie wiem, wiem dobrze, ani forsy, nic, tylko że w pudle szanują ale co mi z tego.

Milczał długo. Twarz pokryta piegami, krótko ostrzyżone rdzawe włosy. Godzina była poobiednia. Żar buchał z nagranych murów. Kroki na korytarzu. Ktoś z sąsiedniego wyrażał monotonią: – Było, jak mówię, kurwa twoja mać, wzięliśmy cwela pod fleki...

Głos Kocięgo Łba znów: – Jak wyjdę na wolność i znów coś się trafi, to tylko ciężka forsa, ciężka forsa – powtórzył z uporem, który tak doskonale pasował do jego głowy kształtem przypominającym koci łeb. – ...Całość obmyślona jak w zegarku, każdy szczegół gra, frajerelem już nigdy nie będę, kurwa twoja mać – zakończył tym zwrotem tak często używanym w gwarze więziennej.

Przypomniał sobie znów Literat taki ranek. Mineło kilka lat. Radosny marsz ulicą. Po pierwsze za pierwszą książkę. Szedł i myślał o tym nowym, niepokojącym życiu, które wraz z pisaniem zaczynał.

Klakson samochodowego sygnału wyrwał go z tego błogostanu. Obejrzał się. Za nim przy krawężniku zatrzymał się okazały wóz zagranicznej marki. W tamtych czasach to była jeszcze rzadkość. Z okienka wychłał swą uśmiechniętą, a zawsze w jakiś sposób nieruchomą (ten uśmiech jak grymas tylko) twarz Koci Łeb.

– Gdzie podzucić?

Wiadomość o uroczystym wydarzeniu w życiu kolegi z tamtych więziennych czasów przyjął dosyć obojętnie, ze zdawkowym jedynie uznaniem.

– Fajna sprawa. A dużo ci za to zapłacą?

– Nie o to chodzi – zaprotestował Literat. W tym dniu przecież wypełniony był czystą, bezinteresowną wiarą w literaturę.

– A ty co robisz? – zapytał.

Już tylko jedną ręką trzymał kierownice Koci Łeb, druga uderzył go na płask po udzie. Zachichotał

– Pamiętasz nasze gadki pod sto jedenastą? – Satysfakcja zamigotała w jego szarych świdrujących oczach. – Za byle co się nie biorę. – Dłoń w żółtej pekari rękawiczce powtórnie uderzyła go w udo.

Wreszcie to ostatnie już, najbardziej nieoczekiwane spotkanie, w Belgradzie. Wcześniej słyszał jedynie coś niedokładnie, jakaś afera, proces, główny oskarżony zbiegł, to był podobno Koci Łeb. On zawsze miał fart, koci syn – mówili ludzie ze światka szeptem załatwionych interesów. Otóż ten Belgrad. Znajdował się w pustej recepcji hotelu „Moskwa”. Zaszedł tutaj w sprawie rezerwacji biletu lotniczego do Warszawy. Miękki szum opadającej windy. Otwierają się drzwi. Spojrzał mimowolnie. Ktoś podbiega do niego i zaraz to niezmiennie „kurwa twoja mać!” usłyszał.

Koci Łeb. Stateczny i poruszający się niedbale. Cały w skórach i tergalach, migotał gazowym Ronsonem, na przegubie piegowatej dłoni złota bransoletka z zegarkiem, palił cygaro. Przedstawił starszego, schludnego pana o niepozornym wyglądzie i dobroduszej, budzącej zaufanie twarzy. – Pan Leon, mój szef z Frankfurtu. – A ciszej: – Duży kozak, jeden z większych. I ja właśnie robię u niego.

Jechali z Frankfurtu do Pireusu. Zatrzymali się dla odpoczynku w Belgradzie. Samochód prowadził Koci Łeb. Było to oliwkowe Volvo. Uwielbiał zawsze jazdę niedbale poruszał kierownicą, rozparty na skórzanym siedzeniu.

Pan Leon siedział obok.

– Nie lubię spraw związanych z techniką – oświadczył – z natury jestem humanistą. Na najgłębszych drobiazgach typu śrubka czy gwint nie znam się zupełnie. Nie umiem również prowadzić samochodu. Śmieszne, tyle już lat w zachodnim świecie wysokiego standardu, ale to mi nie przeszkadza zupełnie.

Obaj z Kocim Łebem podjęli z wylewną gościnnością Literata. Był nieco zażenowany. Pan Leon poklepał go po ramieniu.

– Cała przyjemność po naszej stronie. Jesteśmy tak krótko i nie wiadomo, jak to wydać – wyciągnął z jednej kieszeni zmięty zwitek dinarów, to samo z drugiej.

Koci Łeb opowiedział w swojej ucieczce z Warszawy. Był spalony. Miał cynk. Wpadka. Dzień, dwa i aresztują. Miotał się więc. Nagle uśmiechnęło się szczęście. Trafił się jeden taki z wkładką paszportową do Jugosławii. Wybierał się na urlop nad Adriatyk. Znajomość została zawarta w knajpie. Dziewczyny, wódka. Bardzo był na to łasy ten z wkładką. Wtedy zaświeciło zielne światełko. Koci Łeb zaczął działać. Hucznie pieniędzmi rzucił. Ten z wkładką spojone został doszczętnie. Wkładka i bilet gładko przyjęte. Była to późna noc. Rankiem odlot. Godziny do odlotu pełne nerwów. Choć właściciel wkładki umieszczony w ustronnym

miejszu na Zaciszu, związany i z kneblem w ustach, ale nic nigdy nie wiadomo przecież. Twarz z fotografii na wkładce od biedy podobna. Tylko w okularach. Nałożył okulary i zaryzykował. Najgorsze to spojrzenie wopisty w przejściu. A później chwila dłużąca się nieznośnie, kiedy wopista zajrząwszy pod pulpit szperał tam w jakichś papierach. Przepuścił. Ten samolot jak pojazd kosmiczny dla Kocięgo Łba. Rakieta z Przylądka Kennedy'ego. Wywinął się z matni. Z Jugosławii do Wiednia to już był żadne wysiłek. W Wiedniu ulga. Wygrał. Trzeci już rok pracuje dla pana Leona. Nie narzeka. Dobre interesy, ciekawa praca, dużo podróży.

Pan Leon uśmiechał się dobrotliwie.

Dzordż zdolny – powiedział – bardzo zdolny chłopiec. – Pytanie Literata o rodzaj interesów zbył łagodnie: – i tak nie znasz się pan na tym, co mam zanudzać.

Wzniósł toast za to spotkanie. Wysączył odrobinę trunku. Skrzywił się z niesmakiem.

– Alkoholu też nie lubię. – Zamyślił się, postukując palcem w kieliszek. – Warszawa – powiedział. – jak to miasto teraz wygląda? Nie poznałbym pewnie. To było git miasto. – Nagle przeszedł na kminę, używał starych, dawno zapomnianych powiedzeń z gwary złodziejskiej. Uśmiechnął się powściągliwie. – Jak pan słyszy, swoją edukację odbyłem... W trzydziestym trzecim roku pierwsza odsiadka, ciurma na Daniłowiczowskiej. Mój współnik miał ksywę Kulawy Puryc... Młode lata, niecierpliwość, no i kolizja z prawem nastąpiła.

Orkiestra grała jakąś dziką bałkańską melodię. Siedząc na sali podśpiewywali ochoczo.

– A z polski taką piosenkę pamięta, – pan Leon zanucił niespodziewanie cienkim, zgoła humorystycznym falsetem: – „Ej wy orły, sokoły, dajcie mi skrzydła, ziemia mi zbrzydła, jak bym tak chciał pohulać z wami lub tam na górze żyć z piorunami...”

Ocknął się Literat i z tą piosenką, która dzwoniła mu w uszach, do żałobnego stołu powrócił.

– Na pewno ktoś z was zna pana Leona – zwrócił się do zebranych. – Taki kozak z Frankfurtu.

– Tylu ludzi przewinęło się przez moje życie – odparł wymijająco Fanodorm. – nie sposób zapamiętać.

– Być może Ratusz go znał – dodał Nowojorczyk.

Wtedy Literat wyrecytował słowa piosenki: – „Ej, wy orły, sokoły, dajcie mi skrzydła, ziemia mi zbrzydła, jak bym tak chciał pohulać z wami...”

– Doskonale pamiętam! – zawołała żona Admirala i aż klepnęła się po udach. – Naprawdę! To było we wrześniu, przypominasz sobie, Rysiu? – zwróciła się do męża. – Powiedziałam wtedy, żeby wybrać się do niego. Już trzeci dzień nie dawał znaku życia. Taki osamotniony, stary. Bo tak naprawdę to ostatnio nikt się nim nie zajmował. Tylko ja i mąż. Więc tam na Elsterską pojechaliśmy. Wchodzimy, a tu już na korytarzu słysząc śpiew z jego pokoju. Zbaraniałam, on nigdy nie śpiewał, nie miał zupełnie słuchu. Tak po cichu podchodzimy pod drzwi, a on śpiewał właśnie te orły, sokoły, i tak dalej... Doskonale sobie przypominam.

Admirał przytaknął.

– Śpiewał – powiedział ponuro.

– Okropnie był dziwny – zamyśliła się żona Admirala. – Naprawdę nic z tego nie rozumiem.

– Dlaczego to zrobił? – Aśka nagle trzeźwe zupełnie spojrzenie w Fanodorma wlepiła. Ten wzruszył ramionami.

– Tak gniewał się z byle powodu – zaczęła kochanica Nowojorczyka. – W ogóle mówić z nim nie można było, absolutnie, jak wściekły pies... prawda, Karolu?

Nowojorczyk dłonie splótł na podołku i młynka kręcił palcami. Zamruczał niezrozumiale.

– Tak jest – powiedział Fanodorm – lubił warczeć ostatnio... Warczał i warczał.

– Nie wymawiając – zauważył Admirał – na prezesa też.

– Poniekąd – rozłożył ręce Fanodorm. – Na innych jednak znacznie gorzej... Jak mu ten łachudra Łamigłowa, znaczy Bolek, wsparcia odmówił, to tak niby żartem przygroził: Jeszcze ci się przypomnę z za grobu, dwa twoja raz, za sobą szybko poproszę.

– Tfu – splunął przesadnie Władziu Reakcjonista. – Kiepskie żarty.

– Albo wcale nie żarty – znów z jakąś sędziowską surowością Admirał.

Pojawienie się kelnera przerwało rozmowę. Tym razem zamówieniem zajął się Nowojorczyk. Z ochotą tak wielką to uczynił, jakby ten wątek poprzedni najbardziej dla niego był nieprzyjemny.

– Coś mu przestało pasować ostatnio – nowy głos się odezwał.

Spojrzeli wszyscy w tę stronę. Spłoszył się ten, co mówić zaczął, i zająknął. Był to Delator. Fanodorm życzliwie na niego popatrzył.

– Ja też tak sądzę – przytaknął.

Delator, ośmielony aprobatą tak wpływowej osoby, ciągnął już pewniej: – I do lat najwcześniejszych chętnie powracał, jak to kiedyś w szkole uczył, też się wtedy dopiero dowiedziałem, że przed wojną był nauczycielem w wiejskiej szkółce czteroklasowej, z tego wynika – pedagog po prostu, nigdy bym nie przypuszczał, tam więc kochał się w córce wójta, wójt na takiej zabitej dechami prowincji to był dygnitarz, piękna panna jego córka, krew z mlekiem, tak mówił, nazwisko jej zapamiętałem – Delator uśmiechnął się wstydliwie – taką już mam pamięć, Bodendorfówna, kręciło się koło niej fatygantów, aspirant policji, student, nawet syn dziedzica, on, nieboszczyk znaczy, słabe miał w porównaniu z innymi szansę, panna w ogóle go nie zauważała, bardzo zadzierała nosa ta Bodendorfówna, natomiast jemu mocno zaszumiało w głowie, krzątał się przy niej bez skutku, dopiero czytając *Lalkę* Prusa wyleczył się z tej sercowej choroby zupełnie, sam przestał ją zauważać, nawet stwierdził, że nie taka ona wcale piękność, po prostu ładna dziewczyna, wtedy ona pierwsza do niego zagadała: co pan tak się boczy, panie Witoldzie, oczyma przewraca, zalotna taka i skłonna, topiła się jak maselko w szybkich abugach, tak oto zerznął ją bez wysiłku, ale tylko raz i nic już nigdy do niej nie czuł, ad acta to włożył, wydała się za męża za tego aspiranta policji, komendantem powiatowym później został, takie historyjki opowiadał nieboszczyk, bilans czy co, mówił też, że po tej słabości do Bodendorfówny już był względem kobiet zimny raczej i nie na serio, tym bardziej wtedy Igneły do niego; miał w tamtych czasach przyjaciela, Borysa Nachimowicza, syna bogatego kupca drewnem, razem buszowali, czyli pierwsze kroki w życiu...

– Tego etapu w jego życiu nie znam zupełnie – Nowojorczyk ożywił się jak nigdy dotąd. – Poznałem go dopiero, jak na podbój stolicy zjechał.

Fanodorm chrząknął niecierpliwie.

– Przepraszam – powiedział Nowojorczyk.

Więc Delator ciągnął dalej: – Ten Borys zakochał się w jednej takiej, ważniaczka, córka lekarza czy coś w tym rodzaju, chłopak był jak świeca, piękny Borys, tak nieboszczyk go nazwał, tylko wtedy przecież gojka – Żyd, takie pary nieczęsto się kojarzyły, jej bracia psami go poszczuli, kupił sobie Borysa butelkę trucizny i koniec chciał ze sobą zrobić, podpatrzył go nieboszczyk, cichaczem to świństwo wylał i naszczał tam do pełna, nadszedł wieczór. Borys żegna się z nim uroczyście, łzy mu się kręca, za butelkę capnął i ciągnie haustem, skrzywił się okropnie i wypłuł, nieboszczyk w śmiech. Borys posiniał z wściekłości i do niego z pięściami, jednak zaraz ta złość mu przeszła i też w śmiech, tak się objęli przyjaciele i pękają ze śmiechu, tym sposobem wyleczyłem go z paskudnej słabości, mówił nieboszczyk, dobry uczynek wobec bliźniego mam na sumieniu; takie to zdarzenia rozmaite najchętniej rozpaмиętywał, o matce też mówił, prosta kobiecina, kucharką była w Resursie Kupieckiej, martwiła się o jedynaka, że taki lekkoduch, żony, dzieci, nic, jak to matka, zaraz po wojnie, kiedy z Zachodu wrócił, to przytargał matce cały tobiół dobytku z UNRRY i niemieckiego szabru, kawa, papierosy, i tak dalej, to był wtedy kapitał, tyle tego matce naniósł, starowina płakała, wróciłeś, synku, cały, zdrów, nie tylko, mam, posunął jej farmazon, jak młody bóg wtedy

wyglądał, w tych battle – dressach i berecie z wstążeczką, nie tylko, mamó, żonę też sobie przywiozłem ze świata, akuratną, miłą, a dzieciak już w drodze, czyli będziesz miała wnusia, nakłamał, bo przyjemność chciał zrobić starowinie, nigdy z niego żadnej pociechy i pożytku nie miała... – Delator przeżył to wszystko, głos mu drżał, twarz mieniła się uczuciem, taki aktor z niego albo naprawdę. – Matka, sam wiesz, tak mi mówił, święta sprawa, zawsze liczy na syna, tym bardziej że jedynek jestem, naraz tak się zmartwił, zginie nazwisko, śladu żadnego nie pozostanie...

– Dlaczego właśnie jemu to mówił? – odezwał się szeptem Literat.

Ze zdumieniem patrzył na wysłużoną gębę Delatora. – Przecież to pies.

– Miał do niego zaufanie – Nowojorczyk uśmiechnął się powściągliwie i dodał: – Fano-dorm już przedstawił pogląd w tej sprawie. Nie słyszał pan?

Słoń od razu skwapliwie przytaknął.

Nawet Słoń. Taki nieprzejednany i ostry. Najmłodszy przy ty. A więc najmniej wyrozumiały. Pieszczą wprost tego Delatora. Tak pomyślał Literat. Równocześnie Słonia znów zobaczył w słynnej szarzy z żyłką na dygoczącego ze strachu tłusciocha.

– Po patrzalkach kapustę! – zachęcali współnicy.

Słoń jak w ekstazie. Już dłoń wyciąga. Za chwilę mojka wejdzie miękko w ślepią. Schwycili go od tyłu i unieruchomili dłoń z żyłką.

Przypowieść o ruskim worze jest tu istotna. Ruski wor na bazarze handlarkę z forsy osku-bał. Ktoś zobaczył i: – Złodziej! – zawołał.

– Widziałeś? – pyta spokojnie wor.

Tamten potwierdził z zapalem.

– To już nie będziesz widział.

Błyskawiczny ruch ręki. Między palcami zaślśniła żyłka. Zaraz kwik okropny. Oczy pełne krwi. I ślepy ruch rąk ofiary tylko. Chętnie tę przypowieść przytaczał Słoń przy różnych okazjach. Smakował i ważył każde słowo. Opowieść – tęsknotę za prawem regulowaną przestępczą jednością. A teraz Słoń taki cichy, spokojny. Delatorowi potakuje. Słowa mu z ust jak miód spija. Wszyscy Delatorowi potakują. Delator jak ksiądz cnoty zmarłego wylicza.

– Miał pięćdziesiąt osiem lat – powiedział na koniec. – Co to za wiek.

Pięćdziesiąt osiem lat miał również pan Leon. Literat znów do Belgradu wrócił. Wiał lodowaty wiatr z dunajskiej niziny. Koszawa ten wiatr tamtejsi nazywają. Mroźna wtedy zima w Belgradzie. Wiał wiatr koszawa i śnieg padał już drugi dzień. W takiej gęstej śnieżycy jechali do granicy greckiej. Odprowadzał pana Leona i Kocięgo Łba. Ale najważniejszy tu pan Leon. Jak Ratusz teraz dla niego. Ratusz, który wyjechał gdzieś w nieznane. Ta jazda wariacka. Koci Łeb dociskał gaz do oporu. Wiraże, pisk opon i śmiech Kocięgo Łba. Niezmacony spokój pana Leona. Pościg za jakimś autem. Tamci też prują zdrowo. Wreszcie wyprzedzili. Mówi pan Leon: – Mam do niego zaufanie. Dobry kierowca. Sprawdził się w trudnych sytuacjach.

Było to jak pożegnanie młodości. Nagle wygrzebanej z popiołów przez to pojawienie się Jureczka zwanego Kocim Łbem. Czary w Belgradzie. Pił chciwie rakiję z butelki. Mocny, aromatyczny trunek. Koci Łeb wyciąga rękę po butelkę. – Przecież prowadzisz wóz – powstrzymuje go pan Leon. Przydrożna karczma. Ostatni postój. Jacyś brodacze w kozuchach i czerwonych fezach. Z głośnika znów ta dziwna bałkańska muzyka. Tym razem piją szumadijski czaj, rakiję z palonym cukrem i wrzątkiem. Koci Łeb wyciąga z portfela fotografię. Pokazuje z rozrzewnieniem. Zakopiańskie Krupówki, nieśmiertelny niedźwiedź obejmuje ładną, roześmianą kobietę z dzieckiem na rękach. – Żona i syn – mamrocze. Do krwi przygryza wargi. – Ona dostała wyrok. Pięć lat. Za mnie.

Mówi pan Leon: – Nikt za niego nie dostaje wyroku. Każdy za siebie. Pamiętaj. – ojcowskim ruchem wicherzy mu rude gęste włosy. Puszczą kpiarskie oko do Literata. Znów mówi: – Ja parę razy zaczynałem życie od początku. Nieraz już myślałem: dalej nie dam rady. Ale daje

sobie jakoś. W wojnę to dwa lata za piecem przesiedziałem. Wie pan, rasowo byłem słaby. I wywieźli się sąsiedzi. Przyszli i o moje życie się targują z gospodarzami. Chcieli mnie zatłuc, a całą forszę zabrać do podziału. I taka rozmowa, a ja ciągle za piecem i słyszę to wszystko. Wreszcie tamci odeszli z niczym. Ale ci moi tak patrzyli na mnie krzywo jakoś. Uciekłem stamtąd, wołałem nie przeciągać struny. Później po lesie z partyzantami chodziłem i co krok kostucha szczyrzyła zęby...

Pozegnalny postój. Przydrożna chłopska karczma. Piją szumadijski czaj. Najlepszy na rozgrzewkę. Mówi pan Leon: – Po wojnie osiadłem w Szczecinie, chciałem w Cieszynie, ale kasjer na dworcu źle zrozumiał i dał bilet do Szczecina. Może być, myślę sobie, blisko granicy, port w dodatku. Niezłe to było miasto. Żyło się jakoś. No i stało się nieszczęście – spokojny, równy głos pana Leona – posadzili. Sokoła, tak powiedzieli, do klatki. „Orły, sokoły...” Lubię tę piosenkę, ładna, polska piosenka.

Koci Łeb już odzyskał pogodę ducha. Patrzy z podziwem na swego bossa i powtarza: – Jakie kozackie numery, jak pragnę Boga, kozackie numery!

Mówi pan Leon: – Z Polski wyjechałem w pięćdziesiątym szóstym roku, zaraz jak tylko skończyła mi się odsiadka. I znów od początku, goły byłem zupełnie. Od niczego zaczynałem. Musiałem kapsle na butelki w wytwórni wód nabijać. Teraz żyję sobie jako tako.

– Milioner – powiedział z przekonaniem Koci Łeb.

– Przesada – skrzywił się pan Leon – Dżordż jeszcze polską miarę stosuje. Takich jak można liczyć na kopy... I Dżordza jeszcze wychowam na ludzi. – Przymknął oczy. – Nie mam nikogo. Cała rodzina w wojnę poszła do pieca. Drugi raz żenić się już nie chciałem. Sądzę, że Dżordż nie zawiedzie moich nadziei.

Koci Łeb spłonął się jak panienka. Poruszył się nerwowo. Pewnie obliczał tę ciężką forszę pana Leona i marzył, cholernie marzył. Tak oczy skromnie przykrył powiekami.

Pan Leon dodał niespodzianie: – Tak właśnie zastanawiam się nad nim. Dżordż, u was Koci Łeb na niego wołali. Kto to jest? Co on sobie myśli?

Była to chwila pełna napięcia. Głos pana Leona stracił swą zwykłą łagodność, stwardniał, oczy takie zimne, przenikliwe.

Szarówka za oknem. Śnieg ciągle padał. Mówi pan Leon do Literata: – Podobno piszesz pan książki, mówił mi Dżordż, jaka szkoda, że nie ma pana we Frankfurcie, ja bym opowiadał swoje życie, a pan byś to opisał, potem ja robię reklamę i bestseller gotowy, pan pewnie umie pisać, ja swoje też umiem. – Auto znika w śnieżnicy. Wraciał literat autobusem do Belgradu.

Dlaczego Ratusz to zrobił? Musiał? Nie miał siły? Odechciało mu się? Żal bezsilny. Nie ma już Ratusza.

A Słoń zwrócił się z takim właśnie pytaniem do Admirala: – Więc jak to właściwie było? Mógł jeszcze sobie pożyć czy nie?

– Docent powiedział: kiepska sprawa – zaczął Admirał. – Ale znów profesor nie miał takiej pewności, muszę jednak kilka dni wstrzymać się z diagnozą, tak dokładnie powiedział. W ten ostatni dzień, jak do niego przyszedłem, to był całkiem spokojny, tak sobie leżał, nawet coś opowiadał, ci, co z nim leżeli, aż boki zrywali ze śmiechu, nauczył ich swojego toastu, do gorzały należy podchodzić z rozwagą, no jak? – pytał, a oni chórem: wnijdź we mnie, ale nie rządz mną, już miał ich w garści, tym swoim farmazonem już ich kupił, panie Witoldzie, może kompotu, może kurczaka, tak go częstowali, ale on nie mógł nic jeść, nie mogę, mówił, paw mi podchodzi do ust, usiadłem przy nim na łóżku, niby nic, normalnie, tylko oczy takie miał wpadnięte, nagle wpadły mu głęboko i twarz cała ściągnięta, przyszedł ten docent, ordynator oddziału, obchód robili, też musiał nieboszczyk docentowi swojego farmazonu zadać, polubił go wyraźnie, więc przyszedł z całą tą swoją świtą w białych fartuchach i pyta: no jak tam nasz komandos, prawidłowo, mówi nieboszczyk, prawidłowo do końcówki się zbliżam, tylko jedną mam prośbę do medycyny, słucham, tamten na to, niech pan, docencie, pozwole, kolega wódkę przyniósł i setkę bym sobie kropnął, miałem ze sobą flaszkę, kazał, to przyniósł

i setkę bym sobie kropnął, miałem ze sobą flaszkę, kazał, to przyniosłem, nie ma mowy – mówi docent – wpieryw musimy wyleczyć, a potem wypije nasz komandos niejedną setkę, nieboszczyk tak na niego popatrzył, ten docent łeb opuścił, a nieboszczyk tak mu odpowiedział: co pan mi tu pierdoli – wyraźnie zezłościł się – ja już jestem w godziny liczony, dobrze o tym wiem, bzdury – docent tak z kitem się oburzył – jeszcze pójdzie pan, mój komandosie, na swój rewir, „Bristol”, „Europejski”, „Kameralna”, nieboszczyk nic na to już nie odpowiedział, docent nacisnął mu brzuch, tu i tam pomacał, coś zapisał w karcie choroby i poszedł sobie, ja jeszcze z nim trochę posiedziałem, pytam się: Wiciu, co ci potrzeba, gorzały nie mogę, sam wiesz, nic – burknął, jakby obrażony, też sobie poszedłem, zdążyłem dojść do portierni, a tam krzyk, ludzie biegną, tak to było, wróciłem i już po wszystkim, paskudnie wyglądał ci, co leżeli z nim w pokoju, powiedzieli, jak to zrobił, więc zaraz po moim wyjściu wstał, ciężko mu chodzenie szło, nogi miał jak banie, podszedł do okna i tak im powiedział: no to cześć, chłopaki, bawcie się dobrze, od razu hulnął, na łeb przypikował, taka masa, prawie sto kilo żywej wagi, więc jak tak przypikował na bruk z drugiego piętra...

I zwiesił głowę Admirał. Nawet ten Władziu Reakcjonista skrzywił usta. Inni też tak jakoś. Aśka chlipnęła. Przyszła wreszcie ta chwila. Dopadła. Świadomość nieodwołalna. Nie ma już Ratusza.

– Nie lubię – odezwał się naraz w tej ciszy ciężkiej Słoń. – Nie nie lubię takich widoków. Wolę już go żywego zachować w pamięci. On to sobie wykombinował. Z przyśpieszeniem znaczy. Sam mi tak kiedyś powiedział: Jak przyjdzie do mnie zimnołapa, to wcale nie będę na nią czekał i jęczał ze strachu. Wystąpię naprzeciw tej kurwie i powiem: już idę, madam... Tak to sobie wykombinował.

– Może trzeba było mu dać kielicha – mruknął Władziu Reakcjonista. – Ale kto to mógł przewidzieć.

Literat przymknął oczy. Upalny dzień jesieni. Na rogu przy „Szwajcarskiej”. Wyszedł stamtąd Ratusz. Dostojnie sobie kroczy, podpierając się parasolem. Zatrzymał się.

– No... – uśmiecha się – zapowiada się ciekawy dzień. Jak chcesz, to wprowadzę cię trochę w swój świat.

A potem już był tylko telefon i powiedział Ratusz: – Jestem w szpitalu. Jak chcesz, to wpadnij. Pogadamy jeszcze raz.

Nie zdążył.

Dźwignął się od stołu. Kręciło mu się w głowie i powietrza zabrakło. Duchota taka.

– Ta wentylacja – wymamrotał...

Zataczając się podązał do wyjścia. Już przy szatni potknął się i byłby upadł. Ale Słoń znalazł się przy nim i podtrzymał go silnym ramieniem.

Fanodorm telefonował oparty o kontuar. Coś przekazywał Nowojorczykowi, który zapisywał w notesiku.

– Trochę zabarłożyliśmy – uśmiechnął się pocziwie Fanodorm – a interesy nie czekają przecież.

– Ratusz, gdzie jesteś? – powiedział żartobliwie Literat i znów przymknął oczy.

– Należy odwieźć go do domu – polecił Fanodorm. – Zmęczył się przedwcześnie.

HADES

Wentylator warczał jak wściekły pies. Nie wiadomo po co. Gorąco nie było. Wyłączył Magazynier Czesiek. Ustało, i lepiej. Spuchlak pojawił się trzy razy w odstępach półgodzinnych. Niby służbowo. Niby zaferowany. Zapotrzebować chciał polędwicę. Ale przecież dobrze wiedział, że nie ma polędwicy. Potem radził się, co zrobić na gorąco. – Schab po hetmańsku? Co o tym myślisz? – powtórzył bezmyślnie kilka razy i długo patrzył w butelkę z tą bekającą wodą Borżomi. Pokręcił głową.

– Gruzińska – rzekł Magazynier Czesiek. – Medale złote brała. Jeszcze za cara.

– Słona ta woda – mruknął Spuchlak. – Nie lubię. – Swoje cynki dawał. O coś zupełnie innego mu szło. To najważniejsze wisało mu na rozchylnych, obwisłych wargach. Wargi były spieczone. Wczorajsze walczyło o swoje prawa.

– Może być schab po hetmańsku – potwierdził z powagą Magazynier Czesiek. – Albo zrób coś pod beszamelem. Może też być pieczone jakieś. Poszedł sobie Spuchlak, ciągle głową kręcąc. Wolno, z ociąganiem. Tak wychodził, a wlatywał jak po ogień. Jego sposoby. Jeszcze raz wpadł. Biała kucharska czapka na głowie mu się dyndała i o rostbef mu szło. Też wiedział, że od miesiąca nie dają rostbefu. Minę uczynił pełną gospodarskiej troski i oczyma po butelkach myszkował. Na magazynierskim biurku same dziś były wody mineralne. Borżomi, Kryniczanka i Mazowszanka. Postny zestaw.

– Może Kryniczanki chcesz łyka? – zapytał Magazynier Czesiek. – Pragnienie ona gasi.

Ten żart przyjął Spuchlak gwałtownym protestem i od razu do siebie piętro wyżej pobiegł.

– Odprawiłem kusiciela – powiedział Magazynier Czesiek do swoich pomocników, Kolosa i tego starego, co kiedyś kierowcą był w Warsepie.

Ale w ich oczach wcale nie znalazł uznania. Siedzieli na wózku, dłubali w nosach i coraz zerkali tam na lewo, gdzie w boksie za siatką druciana skrzynki z butelkami stały. Skrzynka na skrzynce, stosy tych skrzynek pełnych półlitrowego szkła. Wiadome było, że w tych skrzyniach nie żadna tam woda Borżomi, ale inny, konkretny napój.

– Horiłka – powiedział Kolos patrząc na skrzynki w najbliższym boksie. – Jaka to gorzała?

– Ukraińska – rzucił pośpiesznie ten stary, co był kierowcą w Warsepie. – Jeszcze degustowana nie była.

– I nie będzie – uciął te wredne podpuchy Magazynier Czesiek.

Popatrzył w piwniczny korytarz oświetlony jarzeniowym światłem. Po dwóch jego stronach boksy opatrzone siatkami, a w tych boksach towar rozmaity. Solidna to była piwnica. Drzwi żelazne jak do skarbcza i mury grube, forteczne. Martwe i głuche, żadne dźwięki z góry nie dochodziły; z rzadka tylko odzywał się agregat chłodniczy.

Pochylił się Magazynier Czesiek nad biurkiem i sprawdzać zaczął towarowe faktury. Liczyłdem trzaskał. Myliły mu się pozycje. Powtarzał od nowa. Nie takie to pilne. Zresztą Hania, jego żona, inwentaryzacją się zajmowała. Toteż porządek był w księdze zapotrzebowania i zbytu. Ale koniecznie chciał się czymś zająć i odpędzić pokusę, która do tej piwnicy trzy razy w osobie Spuchlaka się wdarła. Dla powagi nałożył okulary. Zdjął po chwili. W nos cisnęły.

Człapanie dziadowskie przerwało mu buchalteryjne zajęcia. Przylazł Hitler. Ten z wąsikiem henną czernionym, co puste butelki od niego odbiera. Cuch zionął mu z gęby jak z gorzelnii. Ten cuch Spuchlaka przypominał. Tym bardziej w żadne pogwarki z Hitlerem się nie wdawał. Tylko obliczył ilość pustych butelek, które na korytarzu jak żołnierze rzędami stały. Hitler skorzystał z transportowego wózka i pociągnął szkło po pochylni na górę. Grzechotało

i dudniło, aż zacichło. W Hadesie, tak nazywano ten piwniczny magazyn, zapanowała cisza. Z obłuzowanego kranu pokapywała woda.

Magazynier Czesiek wpatrywał się w listę z ważnymi telefonami, zawieszoną pod tą nagą babą, co ją wycięli z „Playboya”. Krocze miała jawnie pokazane. Pod tym kroczem coś napisane po angielsku.

Pomocnica Lilka zadzwoniła do jakiegoś Staśka. Nachalnie umawiała się z nim na wieczór.

– Może do kina albo gdzieś, gdzie szafa grająca – powtarzała.

Ten Stasiek, czy jak go tam, chyba nie bardzo chciał.

Magazynier Czesiek z ukosa obciął kilka razy Lilkę. Średnia. Cycki dość duże. Odznaczały się pod bluzką. Porównywał z tą z „Playboya”. Nie ma porównania. Przez chwile zastanowił się nad brzuchem Lilki. Wypukły. Za bardzo wypukły. Może ten Stasiek, do którego tak wydzwania, coś zmajstrował i z jego przyczyny brzuch rosnąć zaczyna.

Książkami się zajął. Miał pod ręką w szufladzie te ostatnio kupione. Trzy, z tego dwie o wojsku i o wojnie. Tylko takie lubił. Wojsko w życiu go ominęło. Przypominał sobie te najbardziej ulubioną, Kirsta o niemieckiej armii. Tam to był dryl, pruski, ganił ludzi do upadłego. Przywołał Kolosa. Kolos świeżo po wojsku.

– Bardzo was tam tresowali?

– Trochi – wystękał Kolos.

– Podobnież popuścili ostatnio. Dawniej więcej cisnęli, nie?

Kolos roześmiał się.

– Jeden podpadł szefowi kompanii. Półchamek taki z Mławy. Ten to miał złamane życie. – Śmiał się coraz głośniej. – Padnij! Powstań! Biegiem! Wieszać się chciał.

Magazynier Czesiek pokazał mu te książki, którą dopiero zaczął czytać. Amerykańska, wojenna, o lotnikach. *Paragraf 22*, tak się nazywała.

– Ten to napisał – powiedział. – Same numery, numer za numerem. Cyrk z wojska. Cyrk z wojny. Jak skończę, to mogę ci pożyczyć.

Kolos wzruszył ramionami atlety. Na książkę nawet nie spojrzął. Nie lubił książek. Czytywał tylko „Expresiaka”. Nie było z nim rozmowy. Magazynier Czesiek odprawił go niecierpliwym gestem. Przez chwile poczuł się samotny i opuszczony. Paskudne uczucie. Od razu go naszło. Nic nie cieszyło. Wszystko widziało mu się w czarnych kolorach. Taki dzień.

– Przestań wydzwaniać! – wrzasnął na Lilkę. – To urzędowy telefon! A ty blokujesz linię!

Spojrzała na niego zdziwiona. Już przecież nie dzwoniła. Pomocnicy zachichotali. Popatrzył na nich wściekle. Twarze mieli poważne. Z tego rozdrażnienia zatemperował dwa ołówki. Precyzyjna, miękka robota, napięte nerwy trochę poluzowały się.

Przyszedł Kichawa. Źle powiedziane. Wkroczył Kichawa, kierownik tej restauracji kategorii S, która mieściła się na parterze ponad piwnicami. A Kichawą przeważała go żona Magazyniera, Hania. Katar często go łapie. Mówi, że sienny. Popatrzył Magazynier Czesiek na kierownika. Nos jak truskawka, porowaty i gruzłami pokryty, koloru też mocnego. Elegancki, muszka pod szyją, buty typu golf nosi, a sweterki ma ręcznej roboty i szaliki również. Żona mu na drutach dzierga. Młoda żona. Trzecia. Kichawa ciągle jej zapotrzebowanie na nowe szaliki i sweterki zgłasza. – Młoda – powiada – zająć czymś trzeba taką. – Hania, żona Magazyniera, uśmiecha się wtedy dwuznacznie.

Kichawie buty golfowe zaskrzypiały i po linii oficjalnej zaczął: – Jak leci? Towar przywieźli? Nie ma kłopotów? Bo jakby co... – nadał się dla fasonu – zaraz przedzwonię do Władzia, wiesz, dyrektor naszego zjednoczenia, Warszawa – Wschód.

– Kłopoty zawsze są – odpowiedział Magazynier Czesiek. Miał jeszcze na końcu języka, że dyrektora Wschodu też zna i na „ty” z nim jest. Ale zrezygnował.

Kichawa pokiwał głową. Nos – truskawka zmarszczył mu się naraz. Pospiesznie sięgnął po chusteczkę. Wytrąbił się potężnie.

– Znowu ten sienny? – zapytał Magazynier Czesiek.

Kichawa zbył milczeniem to ironiczne pytanie. Zabrudzonej chusteczki już do górnej kieszonki czarnej marynarki nie włożył, ale do kieszeni spodni wetknął. A z zapasu na nocną służbę przygotowanego śnieżnobiałą chustę wydobył i wykwintnie włożył w miejsce tej zabrudzonej. Taki był zawsze. Czysty i nienaganny. Szanował go Magazynier Czesiek. Hania też. Tylko zgonie uważali, że z tej trzeciej żony pożytku mieć nie będzie.

Kichawa prawą dłoń położył na biurku. Sygnet srebrny orzełkiem ozdobiony na ostatnim palcu poprawił. Pamiątka po ojcu ten sygnet. Ojciec legionowy wiarus, porucznik czy nawet kapitan.

I tak ten sygnet na palcu obracając, wywód zaczął o polityce: – Ciekawe, który którego wyroluje... Ten Ford podobno goły, prywatnego kapitału nie posiada, natomiast Carter biznes z orzeszkami ziemnymi prowadzi. Z powyższego wynika, że jak Ford fotel straci, to przykro mu może być, żadnego majątku nie posiada, golas raczej i do stanowiska już się przyzwyczaił...

– Pamiętniki zaczniesz kropić – rzekł Magazynier Czesiek. – Ciekawe może być. I dolców zarobi.

– U nas – roześmiał się Kichawa – to niczego takiego by nie wydali. A z tej kampanii wyborczej jutro z rana ogłoszą wyniki. Trzeba będzie zagranicznego radia wysłuchać „Jimmy” oni na Cartera mówią...

Magazynier Czesiek do telefonu sięgnął. Akurat przypomniał sobie, że dziś ten Castrol, co to z Anglii do swojego Fiata zapotrzebował, powinien nadejść. Więc do Góralskiego zadzwonił Tam cisza. Nie ma jeszcze Góralskiego w domu. Może gdzieś zabradziażył?

Kichawa, kierownik, po kantorku zaczął się pilnie rozglądać i tak samo jak Spuchlak wzrok na tej butelce z wodą Borżomi zatrzymał.

– Chcesz łyka? – zaproponował Magazynier Czesiek. – Samo zdrowie ta woda.

– Wiem, wiem – pośpiesznie przytaknął Kichawa. Dalej rozglądał się po kantorku. Denerwującym, powolnym wzrokiem. – Podobno... – zaczął ostrożnie – nową wódkę ci przywieźli. Rosyjską czy jakąś tam...

– Horiłka – potwierdził Magazynier Czesiek.

Kichawa pomilczał długą chwilę.

– Dobrze to? – zapytał wreszcie. – Była już degustowana?

Magazynier Czesiek pokręcił przecząco głową. Bronił się resztkami sił. Degustacja! Zmyłkowe słowa wymyślili. Tylko naiwny nabrać się może. Na domiar złego Kolos niby przypadkiem w drzwiach stanął. Jakby czekał. Jakby zmowa. Co miał zrobić Magazynier Czesiek. Dał mu kluczyk do kłódki. Po Horiłkę wysłał. Jak na swoją wagę, to Kolos niby raczy jeleń sypnął się do źródła.

Kichawa odtajał. Od razu się zdemaskował.

– Dzień taki – powiedział przymilnie. – Nostalgiczny. Deszcz, szarzyzna. Przygnębienie od samego rana mnie gniotło.

– W moim Hadesie – zauważył cierpko Magazynier Czesiek – zawsze ciemnica i nostalgia.

– Barowy dzień – odezwała się Lilka.

– A co ty o tym możesz wiedzieć, smarkula jedna! – zezłościł się Magazynier Czesiek.

Uśmiechnęła się cieleco.

– Tylko tak sobie mówię.

– Ciemnica i nostalgia – powtórzył Magazynier Czesiek. Nawet ten owłosiony rozkrok dziewczyny z „Playboya” jak wyliniała martwa skóra wyglądał. Nie kojarzył się z niczym podniecającym.

– Nie mówże tak, człowiecze... – z ojcowską troską zwrócił się do niego Kichawa, kierownik.

– Schowany jesteś głęboko. Jak w borsuczej norze. Ciepło, luksus. Na wierzchu rozmaite przykre rzeczy dziać się mogą, a u ciebie jak w schronie, nawet bombardowania nie będzie słychać.

– Prawda – wtrąciła Lilka. – Jak na dwudziestego drugiego lipca salut był honorowy, to wcale nie słyszałam.

Magazynier Czesiek głowę podparł łokciami i wzrok wlepił w biurko.

– Dogadać się z nikim po ludzku nie można – powiedział ponuro. I już była Horiłka. Ten bezczelny Kolos dwie flaszki przyniósł. Równocześnie zabrzmiał dzwonek z góry. Spuchlak windę z obiadem przysłał. Pod względem kulinarnym postarał się należycie, trzeba mu to przyznać. Na tacy gorące dania, czyli trzy schaby po hetmańsku, półmisek z boczkiem, grubym, poprzerastałym smakowicie mięsem, i jeszcze salaterka kwaszonych ogórków.

Kichawa uśmiechnął się do Horiłki i żarcia.

– Postarał się nasz szefunio – zatarł dłonie – zakąska palce lizać.

– Golgota – mruknął Magazynier Czesiek.

– Co mówisz? – nie dosłyszał Kichawa.

Magazynier Czesiek wściekłym ruchem kapsel z Horiłki zerwał. Kolos usłużnie podsunął szklanki.

– Zaraz pojawił się sam szef we własnej osobie – powiedział Magazynier Czesiek.

W nerwowym oczekiwaniu wyjrzał na korytarz.

– A ty – zwrócił się do Lilki – już masz wolne.

Niech sobie po sklepach polata. Niech do Hani zajrzy. Może przyda się na coś. Już tu ona potrzebna nie będzie. Zawsze babskie ucho męską rozmowę psuje. Hani jeszcze głupot może nagadać...

Lilka jak na skrzydłach wybiegła z kantorka. Zastukotały jej buciki w piwnicznym korytarzu.

– Koza – rzucił za nią miękko Kichawa, kierownik.

Za coraz młodszym towarem zagłąda. Młody towarek starą krew rozgrzewa. Tak powiada.

I rozległ się rechot Kolosa. Poderwał głowę Magazynier Czesiek. Uśmiechnął się blade. Oto objawił się Spuchlak. Na Horiłkę z szacunkiem popatrzył.

– Ma szef radar – pochwalił go Kolos – jeżeli idzie o naftę.

Kolos dobry, oddany chłopak. Ale bydlak. Gorzałka tylko dla niego. Tylko chlać. Swoją drogą cenny nabytek. Uczciwy, nic mu się do rąk nie klei. Tak samo uważa Hania.

Drugi z pomocników do kantora nie wchodził. Przy wejściu skromnie sobie stał. Od niedawna tu zatrudniony i jeszcze był nieśmiały. Pomyślał o nim magazynier Czesiek. Co on za jeden? Pewny? Nasłany? Na razie żadnym fetorem od niego nie zalatywało.

– Robimy degustację? – niecierpliwie powiedział Spuchlak i ukłonił się Kichawie, kierownikowi.

Dla naczalstwa zawsze czuł mores. Nawet dla takiego jak Kichawa, który był nieszkodliwy i miękkiego serca raczej.

Kolos gościnnie podsunął skrzynki po puszkach z pomidorowym sokiem. Jako krzesła służyły. Zasiadli do boju. Tak to u nich się nazywało.

Magazynier Czesiek przeżegnał się prawosławnym krzyżem. Opierać się dalej już nie miał siły.

– Znałem jednego rzekł Kichawa, kierownik podciągając starannie spodnie – co wódkę mieszał z mlekiem. Łączę przyjemne z pożytecznym, powiadał, wódka pożyteczna, a mleko przyjemne.

– Takich kombinacji to ja nie lubię – skrzywił się z niesmakiem Kolos.

– Gorzała – zauważył Magazynier Czesiek – mleko od wścieklej krowy.

– Horiłka – powtarzał śpiewnie Spuchlak. – Horiłka.

Na szachownicę i warcaby nie spojrział ani razu. Warcaby przygotował magazynier Czesiek już z rana na wszelki wypadek. Znał słabość szefa kuchni do gry i kalkulował sobie, że tym sposobem odciągnie go od alkoholowego nachalstwa. Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Spuchlak z lekceważeniem odsunął szachownicę, szykując miejsce dla szklanek. Czy

na niego można mieć jakiś sposób? Kto, jak nie on, przed miesiącem biegał po piwnicznym labiryncie pijany jak mało kiedy i wypisywał czerwoną szminką na ścianach: Więcej pić nie będę! Jego słowa. Czy można brać jego słowa poważnie? Kto, jak nie on, następnego już dnia śmiał się do rozpuku z tych swoich zapewnień czerwoną szminką wypisywanych na ścianach.

– Dla was, bydlaki, każdy dzień jest nostalgiczny – powiedział Magazynier Czesio.

Zaśmieli się serdecznie.

Magazynier Czesiek powiódł spojrzeniem po ścianie przy drzwiach. Tam też było szminką napaskudzone przyrzeczenie kucharza. Tylko biały ślad pozostał. Wyskrobane zostało nożem.

I tak to się zaczęło, jak zwykle się zaczyna. Po kieliszku pod smaczne, treściwe zakąski przez kulinarnego mistrza o wysokiej renomie sporządzone.

I czas był zdradziecki. Żadnych telefonów, zamówień. Żadne wozy z towarem nie przyjeżdżały. Nie. Taki dzień. Hania, żona Magazyniera, nie dzwoniła również.

– Wszystko sprzysięgło się przeciw mnie! – Magazynier Czesiek z desperacją pól szklarnicy Horiłki duszkiem wychylił. Chciał, żeby szybciej w głowie zaszumiało. Najgorzej pić z rozterką. Czyli pić, a myśleć o niepiciu. Horiłka nie zawiodła. Podziałała. Ten ciężar, co od rana go gniótł, lżejszy się zrobił. Spuchlak zabłyszczał na gębie jak maślany grzyb. I jak to z nim zawsze bywa, Horiłka nie miała dla niego żadnej mocy. Pompował ją jak wodę. Nie krzywił się i po zakąskę nie sięgał. Kichawa, kierownik, po swojemu, drobnymi łyżkami. Starał się nie przebrać miary. Zależy mu na tej młodej żonie, co sweterki, szaliki i skarpetki na drutach robi.

– Ciągłe jej daje nowe zamówienie – przechwalał się swoją chytrą. – Niech ma zajęcie. Rzecz w tym, żeby czasu wolnego nie miała. Przy różnicy wieku, która nas dzieli, wolny czas to zguba.

– Prawilno – przytaknął Spuchlak.

Pomocnik Magazyniera zwany Kolosem roześmiał się i na nich wszystkich, starych dla niego chłopów, pobłażliwie popatrzył.

– Jak będzie chciała, to rogi może w pięć minut przyprawić.

Przejrzał się w lusterku, włosy poprawił.

– No, no, młody kolego – zganił go kierownik Kichawa.

– A tak! – upierał się Kolos. – Niech szef kuchni powie, jak to było w sobotę na dancingu?...

– Niby tak było – niechętnie potwierdził Spuchlak. Sam też o swojej żonie pomyślał i o tym krótkim czasie, który na rogi wystarcza.

– Co było? – zaciekał się Kichawa, kierownik.

– Eksces taki – zaczął z oporem Spuchlak. – Popiło się towarzystwo i jedna dama zamknęła się w sraczu z obcym mężczyzną.

Kolos zarżał swoim zwierzęcym śmiechem.

– Na stojąco ładowała się z frajerem!

Kichawa, kierownik, w szkło butelki nerwowo sygnetem postukiwać zaczął.

– Całkiem się rozpuściła – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Toaletę w burdel zamienia.

Minę miał zaciętą i jak nic namiar weźmie na tę rozwydrzoną powodzeniem interesu kłozetową cwaniarę.

– Toaleta u niej jak buduar – odezwał się Spuchlak. – Zapachy takie... Zagraniczne.

Magazynier Czesiek z obrzydzeniem zerwał nagą babę wyciętą z „Playboya”, która nad spisem telefonów wisiała. Podarł ją w strzępy. Do kosza na śmieci wrzucił.

– Kto to powiesił? – zapytał groźnie.

Kolos wytrzeszczył oczy.

– Przecież sam pan kierownik... – zaczął.

Magazynier Czesiek nie pozwolił mu dokończyć. Pięścią w biurko rąbnął.

– Od dziś koniec z tym paskudziarstwem!

Spuchlak uśmiechnął się dobrotliwie.

– Prawilno – znów tego słowa użył.

– Demon w naszego Czesława wstąpił – rzekł Kichawa, kierownik.

– Demon magazynów – dodał Spuchlak.

Tak go między sobą nazywali. W wielu już magazynach pracował, i to różnobrażowych, a nigdy kontrola nie wykryć nie mogła, najwyżej superata niewielka bywała, ale w granicach normy zawsze. Wielki łeb albo cudak po prostu. Zdania są podzielone.

Uspokoił się już komandir tej piwnicy i, żeby ukryć zmieszanie, bloczek z kwitami zaczął stemplować. Gorliwie chuchał w pieczętkę i puste kwitki podbijał.

Kolos pośpiesznie napełnił szklanki.

– I jemu daj – polecił Magazynier Czesiek, wskazując na tego starego, który kierowcą kiedyś był w Warszepie. Ten stary w progu sobie stał. Cichy, spokojny człeczyna. Do gadania się nie włączał, tylko słuchał. Nie śmiał się również. Serdecznym ciepłem zapałał do niego Magazynier Czesiek.

Stary wychłał duszkiem.

– Nieźle. Prawko miałem pierwszej kategorii i na międzynarodowe linie już miałem iść. Papiery wysłali, referencje wystawili. Na tych liniach wielka kanada – stary smętnie zwiesił głowę.

– No i co? – zapytał Spuchlak.

– Lewy kurs zrobiłem i drapnęli. Rozleciało się wsio w piździec – stary jeszcze ciężiej zwiesił głowę.

– Niefart – skwitował Spuchlak. Kichawa, kierownik, wysmarkał się potężnie w chusteczkę.

– Tylko uczciwością do czegoś dojść można – powiedział bez przekonania.

– Kierownik jak do dzieci – wyrwało się Kolosowi.

Magazynier Czesiek tym razem nie ofuknął go jednak. Gada tak czasem Kichawa, aby gadać.

– Tylko – pogroził staremu pięścią – żebyś u mnie nie kombinował na swoją grabę! Nabiorę zaufania, a nie zginiesz, zobaczysz!

I oczy zrobiły mu się życzliwe i groźne zarazem, z migotem niebezpiecznym na samym spodzie.

Stary cały czas stał wyprostowany jak żołnierz na służbie i potakiwał krótkim, energicznym ruchem głowy. Oczy miał czyste, oddane.

– Jakby co... – skrzywił się nieprzyjemnie Kolos i swoje wielkie łapy wystawił – będę musiał interweniować.

– Nie strasz człowieka, twoim ojcem mógłby być – uciał ten śliski temat Kichawa, kierownik.

Horilka się skończyła. Magazynier Czesiek wręczył Kolosowi kluczyki do monopolowego skarbca.

– Może polecimy koniakiem – zaproponował.

Ale oni chcieli Horilkę chlać. Znów na stole była Horilka. Wtedy jeszcze raz pokazał się Hitler, ten butelkowy zbieracz. Wódkę zwęszył. Na progu stanął i żebraczo zgięty, wzdychać a stękać zaczął.

– Mógłbym pozamiatać pomieszczenie – zaofiarował się z postugą.;

Dali mu stakana. Odpił jak wodę. Kropelki z dna starannie na podłogę wytrząsał. Przypomniał sobie Magazynier Czesiek, że Hania kazała mu Hitlera do cyklinowania podłóg w mieszkaniu najać. Przekazał polecenie żony i odprawił pańskim gestem. Do dyskusji żadnej Hitler się nie nadawał. Ciemniak. Były kominiarz, znudziło mu się kominiarstwo, po dachach trzeba się naskakać. I o kominach tylko umie gadać. Hitler nachalny nie był, z kantorka tyłem się wycofał.

– Robactwo, nie ludzie... – taką goryczką Magazynierowi jak pawiem naraz poszło. – Latają, nie wiadomo gdzie i po co. Ślepią mają wydziobane, po omacku się snują. Czegoś szu-

kają. Za gorzałą wężą. W głowie trociny, wątroba gnije. I ani się obejrzą, do piachu czas się szykować! Co to za życie! Czy znaczy coś to wszystko? – zawiesił głos nabrzmiaty bolesną zadumą, wpatrzył się w sufit.

Pod sufitem nieruchomy wentylator jak wielka ćma. Półmrok w kantorku, duszna, podziemna ciepłota. Długi korytarz jarzeniówkami o trupim blasku oświetlony. Głęboko schowany świat. Schodami na wierzch trzeba wyłazić, stopni kilkadziesiąt będzie.

O Biblii pomyślał Magazynier Czesiek. Czytywał tę księgę od pewnego czasu. Czegoś tam szukał. Posuwał się rozmaitymi tropami. Ale zawiała jej mowa, w głowie tylko chaos z tego błędzenia, tak i owak można to zrozumieć. Jedno słowo, a znaczeń paręnaście za nim się kryje. Gubią się tropy. Zastanowił się nad Biblią. Zastanowił się nad sobą. Spuchlak, który wyczuciem jest obdarzony na jego słabości, napelnił szklanki.

– Niech ci ten ognisty płyn wąpzia przepali – powiedział z przyjacielską troską w głosie. – Czesiu kochany, nie takie mózgi jak ty całe życie nad tym strawiły i jeszcze gorzej z tej mądrości we łbach im huczało.

Kolos pogardliwym gestem książki widoczne w uchylonej szufladzie napiętnował.

– Z tego to się bierze – mruknął.

Pod koniec trzeciej flaszki Kichawę, kierownika, pęcherz cisnąć zaczął. Nogami wiercił, przyrodzenie uciskał, aż musiał iść. Podniósł się i wychylając się na korytarz, rozglądać się zaczął to na lewo, to na prawo.

– Na górę chyba pójde – stęknął.

Magazynier Czesiek otrząsnął się z ponuractwa i mruknął do Kolosa. Spuchlak od razu pokapował się, w czym rzecz.

– Najlepiej na górę – przytaknął. – Do mojego kuchennego. Tu kiepski mają przybytek.

– Warto na górę? – wtrącił się Kolos. – Nasz wcale nie taki zły. Na lewo korytarzem, potem na prawo, a od pochylni jeszcze raz w lewo.

Kichawa kiwał głową, ale oczy miał nieobecne. Mocno rozszadzało mu pęcherz. Ruszył kawaleryjskim okrakiem. Coraz szybciej. Pobiegł. Byli pewni, że i tym razem, tak jak zawsze, zagubi się w piwnicznym labiryncie i narobi gdzie bądź.

W ślad za nim wysłali Kolosa. Niech patrzy. Później opowie. Zostali sami. Patrzyli na siebie. Spuchlak. Zadowolony. Wódę goli bez umiaru, kałdun mu pęczniej, nieraz ochła się tak, że w kuchni na swoją służbową ławę nieprzytomny pada; oczy przetrze o świcie i od razu o zaprawkę woła.

Spuchlak cały czas odpowiadał mu czułym, anielskim spojrzeniem.

– Taki dzień – powiedział. – Nachodzi szarego człowieka smutek.

– Ile ty masz takich dni w tygodniu? – warknął Magazynier Czesiek. – Sześć.

– Co zrobić – odparł Spuchlak. Poglądził szyjkę butelki. – Zagłuszacz. Nie pijesz i cały porządek we łbie się rozłazi, jedno z drugim się trąca. Nie wiesz, która część do jakiej całości pasuje. – Gęba mu się pofałdowała jak u buldoga. – Wypijesz...

Magazynier Czesiek szeroko wysunął szufladę i pogładził książki swoje ulubione. *Paragraf 22. O SS gruba księga. Sto lat samotności.*

– Żyją ludzie inaczej – powiedział w zadumie.

Wrócił Kolos poparskując śmiechem.

– Nie znalazł! – zawołał. – Złał się przy chłodni!

Wkrótce dostojnie wkroczył Kichawa, kierownik.

– Ta Horiłka – niepewnie na nich popatrzył. – Pędzi.

Oni zachowali powagę.

– Ukaraińska gorzała ma to do siebie – przytaknął Magazynier Czesiek.

– Znaczą kripkaja – dodał Spuchlak.

– Niewiasty oni mieli – rzekł Kichawa – krasawe, czarnobrewy młodocyte, rozkosz dla konesera.

– Pobujał się na nich pan kierownik – odezwał się Kolos.

Kichawa krzaczaste brwi zmarszczył. Ale zadowolony. Wyprostował się i muchę bordową poprawił pod szyją.

– Przysłowie oni mają – powiedział uroczyście. – Szczo buwało, znajut lude, no ne znajut, szczo szcze bude... Życiowe. Młokosy wy przy mnie... – popatrzył na nich po ojcowsku.

Powrócili do degustacji. Najpazerniej kolos. On to rozlewał i sobie przydzielał największą miarkę.

– Cwaniaczku! – przygroził mu Spuchlak.

– Młody organizm – odparował Kolos – najwięcej łąknie.

Magazynier Czesiek już zdał się na żywioł.

– Nieraz – oszukiwał sam siebie – koniecznie trzeba się zgłuszyć.

Oszukiwał naiwnie. Przecież żadnej nie było dziś w nim ochoty i przeczuwał resztami trzeźwego rozsądku, że dopiero jutrzejszy dzień kara spadnie za te słabość. Hania nękać go będzie bezlitosnymi zarcikami. On zaś zamieni się w bezkształtną, rozdygotaną galarete. Chwilami taki dialog ze sobą prowadził i na Spuchlaka ciągle spoglądał z niechęcią. Był to jego zły duch. Bydlak nad bydlakami.

Gorzała i warcaby. W przerwach jeszcze kuchenne dziewczki maca po cyckach i zadach.

Spuchlakowi pobłyskiwały radością życia małe, świńskie oczka w tłustej twarzy utopione.

– Czesiu – zabelkotał – ...my razem to nie zginiemy.

Magazynier Czesiek pokiwał bez przekonania głową. Spuchlak. Obrzmiały, napompowany balon. Tak go ochrzciła Hania. Przyjęło się i niektórzy nawet nie wiedzą, jak się nazywa naprawdę.

Kichawa opowiadał jakiś kawał. Kolos chichotał niby przyglupek.

A dalej Horiłka całkiem nad nimi zapanowała. Stracili rachubę. Jedno było pewne. Zawsze na stole stała flaszka. Tego nie miało prawa zabraknąć. Wystarczyło rzucić kluczyk Kolosowi. Chwytał w locie. Biegł. Przynosił. Rozlewał. Spuchlak wargi zachłannie do szklanki przystawiał.

– Szyber ma! – chwalił sprawność jego gardła Kolos.

Aż z Horiłką rozdział został zakończony i na biurku pojawił się gruziński koniak. Ulubiony trunek Kichawy.

– Panowie sączą koniak wykwintnie – mówił – drobnymi łykami...

Tak gładząc odpijał co najmniej ćwierć szklanicy.

Kichawa na języku zatrzymał odrobinę trunku. Młaskać i cmokać począł. Nochalem pociągał.

– Smak, zapach, bukiet to się nazywa.

I rozpoczął wykład o kiperach, jak oni z tych kropelek gatunek, rocznik, jakość, wady i szczególne cechy poznać mogą.

Kolos pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Nie dałbym rady tak się branzłować.

– Toteż – zakończył Kichawa – u nas o szlachetnych trunkach w ogóle pojęcia nie mają. Za gruba skóra na podniebieniach. Jedynie ordynarna okowita cieszy się w tych stronach uznaniem.

Z nagła w piwnicznym korytarzu załomotały ciężkie buciory. Popatrzyli po sobie. Kto może tu iść? I w drzwiach kantorka stanął cieć Walczak, co u góry wstępu do tego Hadesu strzegł. Zadyszany i czerwony. Pokłonił się nisko Magazynierowi.

– Jakiś chciał tu wleźć – zameldował. – Mówi, że do pana. Ale nie wpuściłem. Niewyraźny taki i za nachalnie się wpychał.

– Może ten z telewizji? – zastanowił się Magazynier Czesiek. – o kawior się łąsi...

Frajerkowatego wyglądu. W kozuchu, łysy, po bokach długie włosy sobie puścił, fajkę pyka, buty nosi półcholewiane na wysokich, babskich obcasach. Taki od razu czujnemu oku podpadnie. Odprawił ciecia. Pochwalił za czujność.

– Za czujność, Charonie – powiedział – należy ci się gratyfikacja.

Walczak pić nie może, dwunastnicę mu owrzodziło, ciągle za brzuch się trzyma i stęka. Trzeba w innej niż gorzała postaci przydzielić mu nagrodę.

Walczak służbowy kaszkiet z łysiny ściągnął i posapując odszedł bardzo zadowolony.

– Telewizja... – rozmarzył się Kichawa, kierownik. – Domena fantazji i wyobraźni. Nie to co my, wyrobnicy dnia codziennego.

– Jaka tam domena fantazji – przerwał mu Magazynier Czesiek. – Od tygodnia mam poputy aparat i dopiero odpoczywam.

– Głowa tylko od telewizji boli – przytaknął Kolos. – Podobnież ma ona swoje promienie i na zdrowie one szkodzą.

– Znałem ci ja przed wojną jednego poetę – ciągnął Kichawa. – ulubieniec muz. Tak kazał na siebie mówić. Bawić się lubił, panienki, szampan i tak dalej.

– Rozmaici tu do piwnicy przyłazą – rzekł Magazynier Czesiek.

– Taka piwnica jak magnes wabi – dodał Spuchlak.

– Aktorka raz przyszała – przypomniał sobie Magazynier Czesiek. – Śpiewa, wszędzie jej pełno, wyszczekana taka, mówi, przyjęcie urzęda i łososiem stół ozdobić pragnie... Niektóрым coś odpalę. Jak mi się spodobają.

– I to jest przyjemność – pochwalił Kichawa. – Pomóc bliźniemu w potrzebie.

– Nygusy – zawarczał Kolos nieprzejednany. Za frajer chcą się urządzać.

– Racja – przytaknął Spuchlak. – Myślisz, że oni by ci pomogli, jakbyś był w potrzebie?

Kolos rękę w łokciu zgiął i drugą do niej przyłożył. Symbolem tym do przekonania Spuchlaka się przyłączył. Przeplukali gardła koniakiem. Zaterkotał telefon. Pomyłka. Prosilili teatr.

– Żeby chociaż cyrk – roześmiał się Kolos. – Znałem jednego akrobatę. Bardzo równy gość.

– Dyrektor naszego zjednoczenia – powiedział Kichawa – do innego resortu przeszedł. Na czele Przedsiębiorstwa Imprez Rozrywkowych go postawili. Cyrk też może mieć pod sobą.

– Nowak? – zdziwił się Magazynier Czesiek. – Jak on sobie z tym da radę?

– Tak jakby mnie do baletu poniekąd – Spuchlak z trudem uniósł się ze skrzyni i zamajtał krótkimi nóżkami. Widok był zabawny. Beczka czyli jego brzuch, i krótkie, cienkie nóżki.

– Nie martw się o niego – rzekł Kichawa, kierownik sali dancinowej. – Bardzo rzutki facet.

– Robiłem z nim kiedyś w Delikatesach... – zaczął Magazynier Czesiek. – O mało co siedzieć...

Dalsza rozmowa została przerwana. Jak duchy zjawili się ci dwaj, co pilnują awaryjnych piwnic pod magazynem. Duży i mały. Tak według wzrostu ich nazywają. Obaj w niebieskich kombinezonach, z torbami na narzędzia przewieszonymi przez ramię. Stanęli w drzwiach i na pański stół pokornie patrzyli. Mają nosa, jeżeli idzie o gorzałę. I chodzą cichutko. W tych awaryjnych piwnicach niewiele zajęć mają, tylko łażą i za piciem węszą. Podobno szczury tam na dole grasują. Tłuste, cwane. Wytruć ich nie można. A pomyśleć często jak ludzkie miewają.

– Jak tam towarzysze? – właśnie ich o te szczury Spuchlak zapytał.

Są – powiedział duży.

– Jakby ich więcej – dodał mały.

Im nie dano koniaku. Magazynier Czesiek polecił Kolosowi żyto przynieść. I tak ucieszyli się konserwatorzy. Pili na stojąco. Magazynier Czesiek nie pozwolił im siadać. Najniższa z nich piwniczna kasta. Należy takich na dystans trzymać.

– Raz, dwa, trzy! – dyrygował – Chlup!

Bawił się z nimi w wojsko. Oni znali jego słabość i doskonale grali swoją rolę. Pili na komendę. O zakąskę nie śmieli prosić. Otarli gęby, odplunęli i zniknęli w piwnicznych ciemnościach.

– Należycie ich potraktowałeś – stwierdził Kichawa, kierownik dancinowej sali. – Szczerze, ale surowo.

– Tam to jest dopiero Hades – rzekł Magazynier Czesiek, który nie lubił, jak jego piwnicę tak nazywano.

Kolos postukał butem w betonową podłogę.

– Tam są kazamaty, ciągnął się i ciągną.

– Tylko patrzeć, jak te szczury wyżej zaczął podchodzić – zauważył z wyraźnym wstrętem Magazynier Czesiek.

– Może bajer taki ładują – zastanowił się Kolos. – Sprawdź kto?

Racja jest po jego stronie. Tak się złożyło, że nie byli tam niżej ani razu.

– Czym się przejmować? – przeciął problem Kichawa. – Zależy nam na łownych kotach i ubytkach z winy szczurów nastąpią.

Spuchlak wyszczerzył rzadkie i poczerniałe zębiska. Zdanie Kichawy w pełni podzielał. Jak karczowisko te czarne pieńki w gębie Spuchlaka wyglądały.

– Nie w tym rzecz – zasepił się Magazynier Czesiek. – Szczury dla mnie to już samo dno.

Wyobraził sobie szczurzą wędrówkę do góry i z wielką ochotą przepił sprawę tęgim lykiem gruzińskiego koniaku. Jego goście w ślad za nim tę czynność równie ochoczo wykonali. A potem, to zaczęło się od Kichawy, młodego żonkosia i pantoflarza, zaczęli wydzwaniać do swoich żon. Chwyta czasem taka potrzeba. Czule i przepraszająco. Spuchlak na tym wypadł najgorzej.

– Ty beko bez dna! – wrzasnęła w odpowiedzi jego połowica i buch! odłożyła słuchawkę.

Spuchlak jeszcze chwilę wsłuchiwał się w tę milczącą słuchawkę. Ostrożnie odłożył na widelki.

– Pijak jestem, zgoda, dupy lubię, zgoda, ale swoich dzieciaków wychowam na ludzi, zobaczcie! – Nieudolnie spróbował przeżegnać się prawosławnym krzyżem.

– Na to trzeba treningu – z wyższością uśmiechnął się Magazynier Czesiek.

Sam nauczył się zegnać od pewnego białego Rosjanina, Pieti, tym prawosławnym sposobem. Inny niż nasz rzymski. To mu się spodobało. A Boga rozmaicie uszanować przecież można.

Spuchlak zmarszczył czoło, usta rozdziawił i tak już pozostał, dopóki nie podsunęli mu szklanki. Wypił. I o tym ruskim krzyżu i dzieciakach zaraz zapomniał.

Kolos miał śmiech co niemiara. Mógł się zabawić ich kosztem. Kawalerem był.

Magazynier Czesiek do Hani nie zadzwonił. Tylko pomyślał o niej. Do pracy nie chciała dziś iść, zły dzień miała. – Do czegoś innego zostałam przeznaczona – ona lubi muzykę, na pianinie gra – a nie w tych piwnicach wśród opojów i bydlaków życie marnować – ale daje sobie z nimi radę jak mało kto – ty, mężusiu okropny, to co innego, gruboskórny jesteś i nie czuły jak oni – nieprawda, jego też nieraz ciśnie, męczy aż strach.

Podrażnieni tym niefortunnym dzwonieniem, napili się znów. Nawet Kichawa kłął pod nosem.

Tu trzeba podkreślić zbawienny wpływ alkoholu. Zdenerwowanie odeszło jak ręką odjął. Tylko Magazynier Czesiek próbował jeszcze narzekać po swojemu.

– Żłudna moc gorzały. Na krótko ona...

Zagłuszyli go zgodnie. Ostatnio ma takie odbicia. Za czymś tęskni. Czegoś by chciał.

– Nie dopieszczony – zaszydził Spuchlak.

– Nie tylko nasz zacny Magazynier ma bolesne, nabrzmiałe dylematy – powiedział Kichawa, kierownik dancinowej sali. – Każdy się męczy na tym padole... – Z heroicznym wysiłkiem stłumił kichnięcie. I zakatarzonym sznapsbartyonem zanucił: – „...Hej, dziewczuchy, w

górze kiecki, jedzie ułan jazłowiecki!...” – Podchwycili nieskładnym chórem i od razu zrobiło się lżej, weselej.

Beztróską pieśń wojaków przerwał telefon z kuchni. Spuchlaka dopytywano odnośnie deseru. Napity jak bąk. Jednak w kwestii kulinarnej trzeźwo i biegle udzielił wskazówek swoim garkotłukom. Następnie zaczął się trochę niepokoić, czy jego niezbyt doświadczone pomagierki należycie wykonują zadanie. Wiercił się na skrzynce i pomrukiwał.

– Cynamonu nie za dużo... z cukrem też nie... rodzyneków dwie garści... – W tym pomruku dawały się zrozumieć pojedyncze słowa.

Nikt nie sprzeciwił się, kiedy zaprosił ich piętro wyżej do kuchni.

– Siedem dziewczuch! – mlasnął Kolos.

Tam w kuchni siedem dziewczyn pracowało. Takim haremem był nasz opój warcabista obdarzony. Magazynier Czesiek skarbiec swój na skoble i kłódki pozamykał. Z Kolosem po butelce wzięli do kieszeni. Na stanowisku pozostał ten stary, co kiedyś kierowcą był w Warssepie. Udali się wyżej, do księstwa mistrza Spuchlaka.

Byli już niezłe ugotowani, ale ten krótki spacer wystarczył, żeby znów organizmy do równowagi wróciły. Twarda była ich szkoła picia.

Dochodząc do schodów zatrzymali się na chwilę przy włączniku prowadzącym niżej, do tych awaryjnych piwnic. Właz półokrągły, stalową blachą obity, uzbrojony w masywne zasuwki – był lekko uchylony. Tam niżej w ciemność zajrzeli. Światelka jak błędne ogniki oświetlały żelazną drabinę. Powiało zatechłą, piwniczką duchotą.

– Samo dno – powiedział Magazynier Czesiek.

– Kto to wie – mruknął Kolos. – Może jeszcze niżej coś jest. Tajemnica wojskowa jakaś.

– A bo to można się czegoś od nich dowiedzieć? – wtrącił Spuchlak.

Ci z awaryjnych piwnic tacy jacyś. Sami z siebie mało co powiedzą. Małomówni raczej. Najdłużej tu Spuchlak siedzi, a oni jeszcze przed nim byli.

– Nic się od nich nie dowiesz – sam sobie odpowiedział Spuchlak.

I przez chwilę patrzyli w czeluść tego najgłębszego podziemia. Tylko Kichawa w nic się nie wdawał, nie popatrzył tam nawet i niecierpliwie do celu ich popędził.

Kuchnia zajmowała najwyższe piwniczne piętro. Gorąco tam było jak w łaźni. Od razu się spocili. Elektryczne piece hajcowały całą mocą. Na płycie bulgotały w kotłach zupy i sosy. Skwierczał tłuszcz na patelniach. Te siedem dziewczuch w fartuchach byle jak narzuconych na gołe ciała uwijało się klaskając bosymi stopami po kafelkowej podłodze. Zawiesziste zapachy i para wypełniały całe to obszerne pomieszczenie.

Spuchlak stanął na środku, wziął się pod boki i zapytał: – No i jak tam, nałożnice moje?

Przez szum wody splukującej naczynia w zlewach, chrzęst i zgrzyt odsuwanych garnków i łoskot tasaka, którym dzielono drób, nie wszystkie dziewczyny usłyszały zawołanie swojego szefa. Tylko te dwie najbliższe – jedna żółta wbijała do misy, a druga kręciła je z cukrem – spojrzały na niego i parsknęły śmiechem.

Spuchlak spróbował uchwycić jedną za pierś, co jej wyskoczyła jak kluska z niedopiętego fartucha. Odskoczyła zwinnie. Stracił równowagę i o mało co nie wpadł do kotła z obierkami. Kolos przytrzymał go za kołnierz. On, ten Kolos, rozglądał się po kuchni zacządziałym wzrokiem. Ale nie widok żarcia i smakowite zapachy tak go skołowały tylko te siedem obnażonych drażniąco kobiecych ciał, te kolana i uda coraz odsłaniające się i te piersi kolebiące się miękko, kiedy nad stołem i kuchenną blachą się pochylały.

– Gorączka – przesunął językiem po spieczonych nabrzmiąłych wargach. – Ciężko tu wytrzymać.

Spuchlak tymczasem Magazyniera Czeška i Kichawę od garnka do ganka prowadził. Podnosił pokrywki.

– Popatrzcie – chwalił się – jakie menu na noc przygotowałem.

Tu włożył palec i oblizał, tam znów warząchwia przegarnął, zapach w nozdrza jak myśliwski pies wciągał i poleciał: – Pieprzu i majeranku dokitować! Soli za mało! – Miał ten Spuchlak smak i wyczucie, nawet mocno opity potrawy nigdy nie spaskudził.

Magazynier Czesiek z uznaniem kiwał głową, oceniając smak i zapachy. Znał się na sztuce kulinarnej i podziwiał kunszt swego sąsiada z najwyższego piwnicznego piętra. Zatrzymali się przy garnku najmniejszym i Spuchlak chwiejąc się na krótkich, kabłąkowatych nogach w ten garnek z wyraźnym upodobaniem się wpatrywał. Tam miał swój cymes.

– Kremik – obwieścił – do deseru.

Postukał palcem w pokrywę.

– I po co człowiek się stara – powiedział z udanym raczej zniechęceniem. – Ochłają się gołdy i wsio rawno im będzie. – Powoli uniósł pokrywę. – Pokosztuj.

Magazynier Czesiek ostrożnie wskazujący palec do garnka wsunął, przegarnął w gęstej brunatnej masie i podniósł do ust. Krem wydzieliał słodką, korzenną woń. Posmakował. Twarz mu rozjaśnił szeroki uśmiech. Po nim spróbował Kichawa, kierownik. Też wyraził uznanie.

– To będzie krem na gruszki! – ucieszył się Spuchlak.

– Udało się – powiedział Kichawa.

– Co miało się nie udać! – rzekł buńczucznie ten kuchenny mistrz nad mistrze. – W Budapeszcie jeden fachman, Ferenc miał na imię, ode mnie przepis wziął... Jak się prosił!

– Lengiel oni na nas mówią – odezwał się Kolos.

Usiedli przy stole obitym blachą, gdzie piętrzył się stos mrożonych kurczaków. Kolos odbił flaszkę. Na potrzeby kuchenne mieli ze sobą jedno żyto i jeden koniak. Zaczęli od żyta.

– Popsuło się ono – zamruczał Kichawa, patrząc na kłosek ozdabiający nalepkę. – Ja osobiście podejrzewam, że chemicznego coś dorzucają.

– Łeb po życie boli – przyznał Magazynier Czesiek.

– Dziewuchy! – wrzasnął Spuchlak. – Zakąskę! – Czuł się tu prawdziwym panem. Znowu wziął się pod boki i patrzył po swoim haremie groźnym, przekrwionym wzrokiem.

Jedna z tych jego pomocnic, miała, ale nabita, o udach krągłych, czerwonych, wysuwających się spod krótkiego fartucha, uwinęła się żwawo i już biesiadnicy mieli przed spod krótkiego fartucha, uwinęła się żwawo i już biesiadnicy mieli przed sobą półmisek galaretek z drobiu i słoik chrzanu ze śmietaną.

Wypili zdrowie kuchennego bossa, Spuchlaka.

Kolos oglądał zachłannie tę małą, ale pękata. Troskliwie krzątała się wokół się wokół Spuchlaka. Galaretkę na talerzyk mu nałożyła, widelec i nóż podsunęła, bułeczkę przekroiła i posmarowała masłem. Dogadzała mu. W tym fartuchu utyłanym krwią i tłuszczem, rozgrzana gorącym bijącym z pieca, pochyła się nad kuchmistrem, piersiami go trąca, te kule młode, twarde z dekoltu fartucha wyskakują i widać sutki brązowe, co szczyty tych sprężystych wierzchołków ozdabiają. Kłuł w samo serce ten widok Kolosa. I nie wytrzymał.

Z tyłu za kuper ją ułapił. Huknęła go kułakiem między oczy. Stęknął.

– Chamskie nachalec! – powiedział sapiąc gniewnie.

Spuchlak zarżał jak koń, który mówi. Wyraźnie jego pupilką była ta miała, ale nabita. Przygarnął ją sobie, usadowił na kolanach i gmerać zaczął po tych cyckach niespokojnych. Sprężynowały mu pod palcami. Niby broniła się, ale tylko dla pozorów.

– A da mi szefunio dzień wolnego? – zapytała odpychając jego tłustą łapę, z paluchami, co tam pod fartuchem jak robaki gmerać zaczęły.

Kolos z bólem powieki opuścił. Ten widok nawet Magazyniera Czeška poruszył. Porównał tę małą, nabita ze swoją Lilką. Mała lepsza.

Zdatne dziewczuchy, no nie? – odezwał się Spuchlak i jego ruchliwe paluch spod fartucha wylazły.

– I w warcaby grać umieją!

One śmiać się zaczęły i mrugać do siebie.

– Pan kierownik najlepszy – powiedziała ta piegowata, która obierała kartofle. – Wygrać z nim nie da rady. – Piegowata i ruda, wiewiórka taka.

– Z kim ja już nie grałem – powiedział Spuchlak. – Z Niemcami.

Węgrów to lałem jak kotów. Jeden Rusek o spiryt ze mną trzy partie przegrał.

A dziewczuchy kuchenne ciągnie chichoczą i do siebie mrugają. Rozpracował szefa i w swoje warcaby chyba one z nim wygrywają.

Spuchlak łyk żyta odpił, swoją piesszoczę z rąk wypuścił. Ona zsunęła się z jego kolan i w pewnej odległości od mężczyzn na niskim taboreciku przysiadła. Wódki nie chciała pić. Skrzywiła usta i odsunęła szklanke, którą natarczywie podsuwał jej Kolos. Rękoma kolana oplotła i tym razem jej uda od spodu daleko widoczne, aż do tego miejsca, gdzie ciemne centrum się zaczyna. Tak siedziała sobie smarkula. W Kolosie krew burzyła. Łeb opuścił i te uda wzrokiem jastrzębia od spodu chwycił.

Kroki na korytarzu posłyszeli

– Czy aby nie komisja jakaś! – czujna trzeźwość zabłysła w oczach Spuchlaka.

Przykulił się. Zastygł w pogotowiu. Kolos na wszelki wypadek butelki pod stół schował. W półmroku uchylonych drzwi pokazały się twarze. Znajome. Ci z najniższej podziemnej kondygnacji. Duży i mały. I tak swoje głodne, zachłanne pyski w drzwi wsunęli. Oczy pokornie i nachalnie po stole myszkować zaczęły. Skąd się tu wzięli! Z tych awaryjnych piwnic kilka wyjść mają. Raz tu, raz tam pokazać się mogą zniecka.

Tym razem przegnali ich energicznie.

– Pójdiesz! – ryknął Spuchlak.

Zniknęli jak zjawy.

Magazynier Czesiek podparł głowę łokciami i na dziewczuchy już nie patrzył. Ta nagość pokazująca się zewsząd przestała go ożywiać.

Kuchenny wentylator nie był wyłączony i strumień chłodnego powietrza twarz mu rzeźwił. Ten chłód w kuchennej gorączce błogo owiewał. Za naturą zatęsknił Magazynier Czesiek. Puszcząskie ostepy i cisza. Tak oto do ostatniego urlopu powrócił. Wynałazł przypadkiem takie miejsce przy ruskiej granicy. Ustronne i dzikie. Wyboistą drogą przez stary, wysokopienny las jechali. A ten warkot wentylatora jak muzyka Fiata przy zmianie biegów. Syn wóz prowadził. Młody, do prowadzenia się rwie, umie to robić, refleks i wycucie rasowego kierowcy posiada. Tak jechali, jechali, wykroty i bagna, droga w ścieżkę się zamieniła. Magazynier Czesiek o resory zaczął się obawiać i zawrócić chciał nawet. Polana przed nimi się otworzyła. Cisza. Pustaka. Ani biwaków, namiotów, nic. Rozglądali się nieufnie. Jeszcze nie wierzyli. Podjechali bliżej. Zobaczyli wodę, a przy brzegu kilka zagród. I tak trafili do tego gospodarza. Nieufny, zarośnięty i milkliwy. Wilkiem na nich patrzył. Chałupa stara, drewniana, obszernie rozsiadła się na kamiennej podmurówce.

– Mało kto tu dojeżdża – powiedział Gospodarz i popatrzył na nich jeszcze nieufnie. – Tylko urzędowe osoby.

Zatrzymać się u niego zapragnęli. Zgodził się niechętnie.

– Dla miejskich ludzi niewygoda u nas.

– Możemy na sianie – rzekł Magazynier Czesiek.

– Siano gryzie – uśmiechnął się pierwszy raz Gospodarz. – Myszy buszują.

Jego żona stała na progu chałupy i też patrzyła na nich podejrzliwie. Jedną bosą stopą tarła drugą. Wieczorem Magazynier Czesiek wyłożył z samochodowego bagażnika wiktuały. Nabrał tego. Same specjały. Salami. Kraby w puszcze. Sajra i pasztety z drobiu. Soku pomarańczowego Dodoni kilka puszek. Był też koniak.

– Robimy degustację – zaprosił Gospodarza.

Zasiedli w ciemnej, niskiej izbie. Muchy brzęczały, zalatywało kwaśno mlekiem. Ział otwór chlebowego pieca. Salami zasmakowało Gospodarzowi, żuł pracowicie nielicznymi

zębami. Kraby zadziwiły gospodynię. Z obawą wsunęła do ust maleńki kawałek różowobiałego ni to mięsa, ni to ryby. Smakować zaczęła mlaskając.

– Czego to nie wymyślą.

– Chińczycy – powiedział Magazynier Czesiek – psy i koty też jedzą.

Gospodyni chleb swojego wypieku położyła na stole. Ogromny bochen owinięty w lnianą szmatę. Pieczony na kalmusie, tak tam na tatarak mówili. Węgorze marynowane. I grzyby. I miód.

Z pola wrócił syn Gospodarza w zagnojonych gumiakach i uszanej na wzór ruski czapce na głowie. Twarz miał tępawą, nalaną i bez zarostu. Bełkotał. Magazynier nalał gruzińskiego pięciogwiazdkowego koniaku do szklanek. Mało co mówili, jedli, popijali nieśpiesznie i obmacywali przyjezdnych ołowianym spojrzeniem. Później Gospodarz opowiedział bajdę wodną. O wielkim szczupaku, który wyciągnął z kajaka wędkarza. Pod wodę za rybą człowiek poszedł. Żyłka oplątała mu dłoń i nie mógł się wywinąć. Dwa miesiące z nim szczupak po jeziorze chodził. Dopiero zimą wyciągnęli ich z przerębli. Szczupak był jak potwór, trzydziestokilowy. A człowiek, lepiej nie mówić, strasznie wyglądał. Syn Gospodarza dorzucił do tej historii swoje uwagi bełkotliwym głosem. Na koniec Gospodarz huknął takim śmiechem jak echo studzienne i grzmot zarazem. Bardzo ten śmiech spodobał się synowi Magazyniera. Jacek to wesoły i bystry chłopaczek, książki wojenne jak ojciec polubił i krzyżem prawosławnym też żegnać się potrafi.

Gospodyni cały czas stała przy kuchni i tylko im jadło podawała. Gospodarz spił się pierwszy, zsunął się pod stół i tam zasnął. Oni przespali się w stodole pełnej ostrego aromatu traw i ziół, chrobotu myszy i pojękiwania czegoś. Rano wyszli przed zagrodę, wdrapali się na wzgórze i stamtąd mieli widok na trzy jeziora, każde w innym kolorze, zielone, niebieskie i granatowe.

– To moje – powiedział Gospodarz. – Własne.

Syn Magazyniera czekał na jego śmiech osobliwy. Ale z rana nie było śmiechu. Gospodarz zaprowadził ich do kładki w trzcinach. Tam stała łódka. Odbili od brzegu i popłynęli granatowa woda. I tak aż do zmierzchu. Las był wokół. Dymy szły z kominów tych kilku zagród, które znajdowały się na polanie. Prosto w górę. Na pogodę.

Wieczorem znów zasiedli do stołu. Był koniak i był bimber.

– Pan swoją okowitę – honorowo oznajmił Gospodarz – my swoją księżycówkę.

Siedzieli i gwarzyli.

– Towaru mamy w swoich piwnicach na cztery miliony – pochwalił się Magazynier Czesiek.

– Tyle pieniędzy – bełkotał syn Gospodarza.

– W piwnicy niedobrze żyć – powiedział Gospodarz. – Ciemno i pod ziemią.

Gospodyni przeżegnała się ukradkiem.

Rację przyznał Magazynier Czesiek wieśniakowi. – Ale co zrobić? Westchnął. – Gdzie będę miał lepiej.

– Tyle pieniędzy – powtarzał syn Gospodarza.

Jacek, syn Magazyniera, wyczekiwał na ten śmiech jak z beczki w wesołym miasteczku. Dopiero późną nocą Gospodarz wydał z głębi swoich bebechów, tę artyleryjską kanonadę. Tak zadudnił, kiedy Magazynier Czesiek opowiedział o kuchennym mistrzu Spuchlaku i jego wyczynach.

– Gość jeden z restauracji wybrzydzał na dewolaja, szefa kuchni proszą, wypadł Spuchlak jak bomba i z łyką wazową do niego zastartował. Albo talerz z kołdunami jednemu na głowę nałożył. Nieprzyjemności miał, partyjna egzekutywa, dyrektor, ale wyszedł z tego bez szwanku, nawet nagany mu do akt nie wpisali. Wpiszecie, zaprosił, z roboty się zwalniam, w agencji jakiejś się urządzę...

– Kołdunów ja też umiem nagotować – nieśmiało odezwała się gospodyni.

– Nie wtrącaj się, babo! – ofuknął ją Gospodarz. Okno otwarte. Kumkały żaby. Pies rozszczękał się nagle. Jazgotu zajadłego dostał i szarpał się na łańcuchu.

– Pewno dziki w kartofle idą – zabełkotał syn Gospodarza.

Wyszli odsikać się przed chałupę. Letnia noc. Księżyc świecił bladym światłem. Stali przy płocie i słuchali głosów lasu, łąk, jezior. I kaca żadnego po picciu nie było. Wstawali o świcie i wdrapywali się na kamieniste wzgórze. Stamtąd widok na trzy jeziora. Każde w innym kolorze. Zateknił za ta bezludną, daleką okolicą Magazynier Czesiek. Chłód z wentylatora wionął jak podmuch wiatru z tych trzech jezior. Tak to byle wentylator pomóc człowiekowi może. Napędu dorzuci i fantazja skrzydeł dostaje. A kiedy głowę uniósł i oczy otworzył, stała przed nim napełniona szklanka.

Spuchlak siedział na beczce z kwaszona kapustą i kość wysysał ze szpiku, tłuszcz spływał mu żółtymi soplami po brodzie.

Kolos spróbował przycisnąć się do tej rostej dziewczuchy z włosami w papilotach, która przy zlewie stała. Ona przytknęła palec do kranu i wodę na niego puściła.

– Ja mam narzeczonego! – powiedziała ze śmiechem, patrząc na jego głupawą minę i włosy mokrymi strakami opadające na czoło.

– A co to szkodzi – wymamrotał urażony Kolos.

Kichawa, kierownik nocnego lokalu, powstał gwałtownie z krzesła. Oczy miał wytrzeszczone i policzki niebezpiecznie wydymać mu się zaczęły. Spróbował ruszyć do przodu. Chwyciło go chybotanie. Wreszcie, przytrzymując się ściany. Począł suwać stopami. Nie dotarł jednak do drzwi. Trzewiami mu zatargało, wygiął się w łuk, zagulgotał i pawia w różnych kolorach puścił.

Dziewczyny zapiszczały.

– Cicho! – pogroził im pięścią Spuchlak. – Niedyspozycja człowieka złapała!

– Oto męki Tantalą – mruknął Magazynier Czesiek.

Kichawie rzygnięcie pomogło. Odetchnął z ulgą, popatrzył na nich zawstydzony i wytarł starannie usta chusteczką

– Paw ma to do siebie – rzekł Kolos – że truciznę wyrzuca. Tylko u mnie rzadko wychodzi. Taki mam żołąd.

Kichawa czerwony banknot z Waryńskim położył na stole.

– Przepraszam za ten wybryk organizmu. Nigdy tak mi się nie zdarzyło, żebym nie mógł zdążyć.

Dziewczynom w oczach kipiało od wesołości.

– Sprzątną gratis – Spuchlak z powrotem Waryńskiego w kieszeń kierownikowi wetknął.

Magazynier Czesiek z obrzydzeniem wpatrzył się w tego pawia, co wstrętną kałużą rozsiał się na podłodze. Duszkciem wychylił szklanice. Ognisty płyn pomógł. Paw jak paw. Przytrafia się niejednemu. Widok zwyczajny i mógł już patrzeć bez wstrętu.

Wkrótce powędrowali wyżej. Na parterze był nocny lokal i tam ich zaprosił Kichawa, który czym prędzej miejsce swojej słabości chciał opuścić. Wychodził godnie, powoli, ale chyba kark go palił od rozbawionych dziewczęcych spojrzeń.

Otworzył się przed nimi ciemny korytarz. Płatanina rur ogrzewczych i wentylacyjnych ponad głowami. Puszki po konserwach grzechotały na podłodze. Dalej znajdowały się schody, które prowadziły na zaplecze nocnego lokalu, królestwa kierownika Kichawy. Na ścianie wisiała czerwona skrzynka ze sprzętem przeciwpożarowym. Ruszyli schodami w górę. Stopnie wysokie, wyślizgane. Wspinaczka dla zmęczonych nóg.

– Coraz wyżej – powiedział Magazynier Czesiek.

– Z Hadesu do góry – przytaknął Spuchlak.

– Hades – smakował to słowo Kolos.

– Tak naprawdę – odezwał się półgłosem Magazynier Czesiek – do dołu się wędrowało. A my do góry.

– Co ty bredzisz? – zaniepokoił się Kichawa, kierownik.
– Na warunkowe zwolnienie nas puszczą. Nie dla was, podziemni troglodyci, moje refleksje – zaśmiał się Magazynier Czesiek i już po cichu sobie medytował
– Knigi! Wszystko przez te knigi! – wymownie stuknął się w czoło Kolos.

Tym razem skarcony nie został.

– Leta... – zastanowił się jego szef – ...to może być gorzała.

Drzwi były pomalowane na zielono, z tabliczką: Kierownik.

– Mój gabinet – powiedział Kichawa, wpuszczając ich do wnętrza.

Urządził się po dyrektorsku. Fotel miękki, ruchomy, i biurko na wysoki połysk. Na biurku kałamarze, metalowy przycisk w kształcie sputnika i urzędowe papiery w plastikowej aktówce. Nad biurkiem godło państwowe, a niżej dyplom za ofiarną pracę. Dywan puszysty i kotarę bordową zafundował sobie. Przyjemne to było gniazdo. Rozglądali się z uznaniem.

– Zastanawiam się jeszcze – powiedział Kichawa – czyby ściany tapetą nie obić. Delikatny rzucik... Oko odpoczywać będzie...

– Za pańskiego poprzednika było tu dużo gorzej – stwierdził Spuchlak.

– On nie miał gustu – skrzywił się Kichawa.

– Gdzie przeszedł? – zapytał Magazynier Czesiek.

– Ajencję prowadzi nad Zalewem – odparł Kichawa. – Knajpa z motelem.

– Lepiej mu czy gorzej... – zastanowił się Spuchlak.

– Chwali sobie – rzekł Kichawa.

Usiedli na kanapce obitej wzorzystą materią. Kichawa rozsiadł się na ruchomym fotelu, pokręcił kilka razy i nacisnął guziczek umieszczony na blacie biurka. Sygnalizacją się komunikował. Cztery razy guziczek przycisnął. Popatrzyli z zainteresowaniem.

– Założyłem połączenie sygnałowe z barem – wyjaśnił Kichawa.

Toteż nikogo już nie zdziwiło, kiedy za parę minut do gabinetu wsunął się z tacą pyzaty pikolak w białej kurtce. Na tacy stały cztery napelnione kielichy o wymiarze setkowym.

Kichawa uszczypnął pikolaka w malinowy policzek.

– Żebyś mi się dzisiaj nie upił, smarkaczu! – powiedział z udaną surowością.

Pyzaty pikolak jak uczeń szurgnął butami, ale w oczach zamigotał mu cwany, bezczelny błysk.

Bezszelestnie zamknął drzwi za sobą.

– Nowoczesność – cmoknął Spuchlak.

– Należy z duchem czasu iść – oświadczył Kichawa, kierownik, dziecinna duma go rozpie-rała. Spełnili toast za zdrowie bossa tego królestwa na parterze.

– Królestwo – podkreślił z naciskiem Magazynier Czesiek.

Kichawa przyjął ich uznanie z godnością.

– Owszem, nie narzekam.

Taki był rozparty i zadowolony. Indor wprost. Aż w pewnej chwili, kłapę gładząc, palce nagle cofnął i wzrok puścił, tam na kłapie swej czarnej marynarki bryzgi po pawiu dostrzegł. Stropił się wyraźnie. Palcami po blacie biurka zabębnił. Znowu na kłapę z troską popatrzył. Ukradkiem wyciągnął chusteczkę i trzeć zaczął tę kłapę ufajdaną. Mimo to pozostawiał na niej uparty rdzawy ślad. Elegancję szpecił. Dobił go na dodatek wzrok Spuchlaka w ten ślad po pawiu utkwiony. Wiercić się zaczął na obrotowym fotelu. Nerwowość go chwyciła.

– Zmieniamy miejsce? – zaproponował.

Oni przytaknęli ochoczo.

Bo jednak w miękkiej wygodzie i ciszy tego gabinetu długo usiedzieć nie można. Usypiało to puchowe gniazdko. Wyszli więc i dotarli do koktajl – baru, gdzie urzędowała ta słynna Olka Zwierz. Cicho uchylili drzwi i patrzyli na masywną kobietę, tyłem do nich odwróconą.

Olka Zwierz była w czarnej, ciasno opiętej spódnicy i kremowej bluzce z falbankami, a na stopach miała miękkie bambosze ozdobione puszystymi, koloru błękitnego pomponikami.

Krzątała się przy zlewie, przemywając i wycierając ściereczką do połysku smukłe kielichy na długich nóżkach. Tranzystorowe radio szemrało cichutko. Z głębi lokalu dochodziły już dźwięki muzyki, jeszcze pojedyncze, nieskoordynowane i kłócące się ze sobą. Orkiestra stroiła instrumenty. Patrzyli długą chwilę w ciasno opięty, potężny zad Olki Zwierz.

– A kuku!! – wydarł chrypliwy okrzyk Spuchlak.

Odwrócił się gwałtownie. Rosła, monumentalna kobieta, wzrostu wysokiego mężczyzny, o wielkich jak bufory piersiach i twarzy szerokiej, mięsistej, z grubymi wargami i nieco kaczym nosem, okolonej blond, nastroszoną w stylu afro fryzurą. Przywitali się z nią jak dżentelmeni, całując w ciężką, grubą dłoń, ozdobioną bransoletką i pierścieniami. Spuchlak, który od dawna gustował w tej obfitej urodzie, cmoknął ją nawet trzy razy. Gościnnie podsunęła im niziutkie stołeczki.

– Czy nie przeszkadzamy, madam? – zapytał Kichawa, kierownik.

– Skąd! – zaprzeczyła żywo. – Tacy goście!...

Klientów na wysokich stołkach za barem jeszcze nie było i mała wolny czas. Flaszkę pękata z piękną etykietą zdjęła z półki i nalala im hojną ręką do pełna w równie pękate kielichy.

– Martell – powiedziała.

– Drogi trunek – rzekł Kolos.

– Chłopcze... – Olka Zwierz spojrzała na niego jak na matołka. – Ja sobie mogę na to pozwolić.

Jeszcze chciała poczęstować ich sałatką z pomarańcz i solonymi migdałami. Ale nie mieli na nic apetytu. Złoty blask szedł od Olki Zwierz. Bogato ozdobiona. Bransoleta luźno opadała na dłoń, pierścieni kilka na palcach, a na szyi krzyżyk gruby na grubym wisiał łańcuszku.

– Tureckie wyroby? – zapytał Magazynier Czesiek.

– Włoskie – sprostowała z naciskiem. – Z wysoką próbą.

– Trochę towaru na szanownej pani wisi – zauważył Spuchlak. Oczy mu zachłannie do złota lgnęły.

– Co ma nie wisieć – odparła Olka Zwierz.

– Szampańska niewiasta – powtarzał z uznaniem Kichawa.

Uśmiechnęła się do niego ciepło, życzliwie. Zgodnie współpracowali ze sobą. Olka Zwierz osoba rozsądna i doświadczona, Kichawa też. Rozumieli się w lot i ona tylko kpiła z jego uporczywie powtarzanego przykazania: Nie należy nigdy przesadzać w niczym, umiar musimy zachować, a żaden prokurator, żadna kontrola krzywdy nam nie wyrządzą.

Na co Spuchlak od razu dorzucał wulgarnie: – Najwyżej na lachę skoczyć nam mogą!

– Kolego kuchmistrzu – strofował go Kichawa. – Cóż za język!

– Myślałem o lasce marszałkowskiej – odpowiadał Spuchlak, zadowolony ze swojej wiedzy o sprawach pozakuchennych.

Wracając jednak do rzeczy. Ten Martell, którym ich poczęstowała Olka Zwierz, pokazał swoją moc. Zabuzował we łbach. Połączył się z piwnicznymi trunkami. Ale na posepnie. Jeszcze ten widok, który mieli przed sobą, na wysokie stołki przy barze i pustą, ogromną salę dancinową z rzędami stolików przykrytych białymi obrusami. Fontanna pośrodku, podświetlona reflektorami, tryskała różnokolorowym strumieniem wody, który opadał jak mgła. Instrumenty, strojone przez muzyków, wydawały krótkie, smętne tony. W tym przednocnym czasie melancholia zaczęła wylać zewsząd.

– Ot! – Spuchlak ręką szeroki gest przed siebie wykonał. Jeszcze coś cisnęło mu się na usta, ale utknęło. – Ot – powtórzył.

Kichawa, kierownik, głowę podparł łokciami i patrząc na zagraniczne trunki stłoczone na półkach wzdychać zaczął i postękiwać.

– Co ci, stary kocurze! – Olka Zwierz napała na niego swym biustem znakomitym.

– Butelki kontempluję – wystękał Kichawa. – Czy może być lepszy widok?

– Jest tego od groma – przyznała i sypnęła z upodobaniem lawiną nazw zagranicznych wódek – Hennessy, Bisquit, Remy Martin, Jack Daniels, Chivas, Ballantine’s Seagram, Apricot Brandy, Negrita, Veterano, nawet pejsachówka.

Wyuczona doskonale. Barowa lady. I jeszcze niedbałym gestem pokazała kartony z papierosami. Też było tego. Benson, Dunhill, Rothman’s, Craren, Camel, Kent.

– Bogaty asortyment – przyznał ze szczerym podziwem Spuchlak.

Kichawa pokiwał bez zainteresowania głową i obwisł tak jakoś; stara twarz kłowna z sinym, wielkim nochalem a’ la Cyrano de Bergerac, ta jego mucha wytworna pod szyją też siadła, skrzydelka bordowe w białe groszki opadły na klapy.

Spuchlak również zmarkotniał. Nadęty, spęczniały, przytknąć szpileczkę, pęknie ten balon i śladu po nim nie zostanie.

Olka Zwierz skrzywiła twarz w mechanicznym, obojętnym uśmiechu. Zajął się starannym makijażem. Patrząc w lusterko umieszczone pod kalendarzem amerykańskich linii lotniczych TWA, wydeła swoje grube, murzyńskie wargi i pokrywała je krwawą szminką. W tym pochyleniu przy lusterku jej białe z niebieskimi żyłkami piersi wychyliły się z dekoltu bluzki i wyglądały jak samoistne jakieś żarłoczne stwory. A kiedy uniosła obnażone do barku mocne ramię, zamajaczyły ciemną plamą wygolone pod pachą włosy.

Magazynier Czesiek spoglądał szklanym, zmartwiałym wzrokiem na kobietę. Czy ona tam w tym ogromnym, niezmordowanym cielsku posiada serce w ogóle? Ocieężał, tępo powtarzał sobie to pytanie bez odpowiedzi. Odwrócił głowę i popatrzył w głąb sali dancingowej. Snuli się już kelnerzy, przygotowując swoje rewiry dla nocnych gości. Orkiestra ciągle stroiła instrumenty.

Olka Zwierz znów sięgnęła po Martella. Nalała. Tą kolejką ożywili się raptownie.

– Psiakrew!... – powiedział Kichawa, kierownik. – Taką szansę w życiu miałem... jak mało kto... Przed wojną tatuś miał własną knajpę i do Paryża mnie wysłał na praktykę... Doszedłem tam do młodszego kelnera... Gdybym dotrwał do wojny, ale tęskniłem... A teraz... – głowa zwisła mu jak tarcza słońca na złamanej lodydze – ...własne bistro czy jakiś tabak... Albo co najmniej oberkelner w dobrym lokalu... „Ritz”, „Maxim”... – jeszcze niżej opuścił głowę. – Lokale pierwszej klasy w zachodnim świecie... – Włosy miał rzadkie, wybrylantynowane obficie, zaczesane w pożyczkę z tyłu do przodu.

– A ja sztukę kulinarną trenowałem w Budapeszcie – odezwał się Spuchlak.

– Budapeszt! – machnął lekceważąco ręką Kichawa. – Co znaczy Budapeszt przy Paryżu...

– No, no!! – zaperzył się Spuchlak. – Taki „Gellert” na przykład... – Urwał, gdyż zauważył, że łapa Kolosa zbliża się ostrożnie a zdradziecko do wypiętego jak bukłak pełen nektaru zadu Olki Zwierz.

– Gdzie! – wrzasnął.

Łapa Kolosa odskoczyła jak oparzona. Zmierzyli się złym wzrokiem. Olka Zwierz uśmiechnęła się wyrozumiale. Opoje te chłopy. Od wody głupiej i przejmować się nimi nie warto. Tylko przyjemnie kobiecą próżność łaskotała ich niedzielność do jej ciała. Była zimna i nieczuła, ale na te dowody uznania łakoma.

Zaczesła swoje bujne, w stylu afro skotłowane włosy. Sposobiła się do nocnego posterunku za barem. Ostatni raz obejrzała twarz w lusterku, poprawiła pieprzyk na prawym policzku.

A oni wysączyli łąpczywie resztkę koniaku z kieliszków. Każdy z innego powodu. Magazynier Czesiek z nostalgii i smutku trudnego do wyrażenia. Kichawa, kierownik lokalowej nocy, do paryskich wspaniałych wspomnień. Spuchlak z Kolosem przepili do Olki Zwierz. Ona sama tylko umoczyła w kieliszku usta. Nie lubiła alkoholu.

– No – ziewnęła, przeciągając się całym swoim masywem. – Niedługo przyjdą te Araby.

– Araby! – zdziwił się Kolos.

– Przeważnie Araby do naszych blondyn startują. Do mnie też jeden w amory uderzył. Strasznie bogaty. Stawiał szampana za szampanem. A ja tylko wodę piłam.

– No i co? – zachłysnął się ciekawością Kolos.
Olka Zwierz wzruszyła ramionami.

– Nie był w moim typie.
Kolos zmarszczył czoło. Rozmyślał nad czymś posępnie.

– Te Arabcy – ciągnęła Olka Zwierz – chorobę paskudną przywieźli. W tamtym klimacie nie szkodzi, a tu franca gotowa. – Kolos popatrzył na swoje wielkie dłonie. – Jednak per saldo dziewczyny nie narzekają. Po tysiąc dolarów potrafią miesięcznie wyciągnąć. Taka Krzyworzeka...

– Wszystko ma swoją cenę – przyznał Spuchlak – ale żeby tysiąc miesięcznie... – Coś obliczał, poruszając bezgłośnie wargami.

– Niektóre w pijaństwo popadają – pogardliwie wydeła usta Olka Zwierz. – Taka jedna smarkula tu przychodzi. Ładna, nie powiem, ale wóde goli jak chłop. Nie wiem, czy taka kiedykolwiek potrafi się zabezpieczyć. – Podkreśliła tranzystorowe radio i głośniej zabrzmiała muzyka. – Ja nie narzekam. Dużo tu zostawiają i w rachunkach nie bardzo oblatani. Figury też przychodzą.

– Ci – ożywił się Spuchlak – to zeżreć lubieją.

– Stać ich – stwierdziła Olka Zwierz.

– W sobotę bankiet u nas urządzają – powiedział Spuchlak. – Zamówienie przysłali. – Wzrok utkwił w suficie i recytować zaczął: – Cielęcina frykando, wołowina górna, szponder, łosoś specjalnie wędzony, kurczaki kalibrowane po siedemset gram, parówki bez osłonek, kabanosy, pomidory inspektowe. – Pamięć do żarcia ma ten Spuchlak niezwykłą.

– Wyglądu i elegancji to oni nie mają – powiedziała Olka Zwierz. – Ale sympatyczni. Pomóc mogą. Daczę sobie nad Zalewem budujemy i jeden cały materiał budowlany nam załatwił. Telefon takiego wystarczył.

– Oni mają swoje sposoby – przyznał Spuchlak.

– Dacza – powtórzył Kolos. – A samochód Dacia się nazywa.

Od tego rozpoczął się temat samochodowy. Oni zmotoryzowani. Kichawa i Magazynier Czesiek po Fiacie 125p mają. Spuchlak Syrenkę wygrał w losowaniu. A Olka Zwierz po nocnej służbie do Volkswagena wsiada. Kolos jeszcze bez niczego. Ale on się nie liczy. Dopiero na dorobku przeciw. Spuchlak jako kierowca ekstraklasy zapragnął błysnąć. Przechwalał się, jaką to szybkość wyciąga i jak nieomylna jest jego ręka.

– Podrasowany silnik – twierdził.

Wyśmiewać się z niego zaczęli. Jeździ przecież jak zółw, niezdarnie i powoli.

Ale Spuchlak ich śmiechem wcale się nie zrażał i powtarzał z uporem: – Liczy się pewna ręka i refleks. A tym jestem przez naturę obdarzony.

– Porsche, to jest samochód – odezwał się nagle Kolos. – Najlepszy.

Magazynier Czesiek popatrzył na niego ze zdziwieniem. Kichawa przysnął tymczasem. Przykulił się na taboreciku i głowa opadła mu na kolana.

– Staruszek – poklepała go po policzku pokrytym siecią sinych żyłek Olka Zwierz.

Na wysokich stołkach za barem zasiedli pierwsi goście. Łysy, z sygnetem jak pieczęć na paluchu, i drugi, elegancki, przystojny, z bródką. Czarniawi obaj, nie nasi. Obok nich pojawiły się dwie młodziutkie blondyny, skąpo ubrane. Zapatrzył się Kolos w towarzystwo za barem. Oni po swojemu szwargotali. Dziewczyny też w ich języku biegle. Gadały jak nakręcone. Ten łysy jakby ważniejszy. Do niego garnęły się dziewczyny.

– To oni tak nasze dziwy pierdolą – zamruczał Kolos.

– Arabcy albo Włosi – powiedziała Olka Zwierz i zajęła się tym towarzystwem na wysokich stołkach.

Kolos wzroku z nich nie spuszczał. Gapił się jak rabuś na wystawę bogatego sklepu.

Z kuchni przybiegła zadyszana kuchareczka, ta mała, ale nabita.

– Szukam i szukam pana mistrza! – zawołała.

Piętro niżej był kłopot. Kurczaki przeznaczone do gorącego dania okazały się nieświeże. Zerwał się Spuchlak, duch kulinarny w niego wstąpił. Jak na tę bekę pełną tłuszczu i gorzały, pobiegł bardzo żwawo.

Nawet długo w kuchni nie zabawił. Wrócił niczym wódz po zwycięskiej batalii.

– Kurczaki pójdą jak woda – oświadczył. – Sosu węgierskiego narobiłem, ostry, pali. Każdy smród w tym sosie zginie.

Magazynier Czesiek odetchnął z ulgą. Zepsute kurczaki to jego kompetencja poniekąd. Z magazynu przecież.

Spuchlak sięgnął za plecami barmanki po butelkę z półki. Nim się obejrzała, tęgiego łyka pociągnął. Likier to jakiś był. Skrzywił się niemiłosiernie. – Cholerstwo. – I długo nie mógł dojść do siebie. Kaszlał i pluł, a oczy mu całkiem zmętniały. Kręcić się zaczął niespokojnie w tej ciasnej przestrzeni za barem.

– Może kawusi – zaproponowała Olka Zwierz. – Zaparzę ci takiego szatana...

Nie odpowiedział. Tylko popatrzył pełnym pożądliwości spojrzeniem w ten wąwóz między jej piersiami. Akurat jego głowa na tej wysokości się znajdowała. Oka Zwierz zmierzyła go wzrokiem pełnym lodowatego dystansu. Odwrócił się jak niepyszny i ruszył zdecydowanym krokiem na salę dancingową. Stał chwilę przy fontannie.

– Wymoczyć się chce czy co? – zdziwił się Kolos.

Spuchlak skierował się w stronę toalety.

– Jak nic do pani Jadwigi zacznie się dobierać – roześmiała się Olka Zwierz.

Patrzyli na drzwi osłonięte grubą bordową kotarą. Kotara falowała. Tam zniknął kuchenny szef, Spuchlak. Poszedł do babki klozetowej.

– Ile ona może mieć lat? – zapytał Kolos.

– Sześćdziesiąt z hakiem – odpowiedziała Olka Zwierz.

– Z taką starą babą! – pokręcił głową Kolos.

– Gorzała widzenie zmienia – rzekł Magazynier Czesiek.

Olka Zwierz ciepło na niego popatrzyła. Podobał się jej. Przystojny, masywny, o szpakowatych włosach i jasnym, przejrzystym spojrzeniu. Bardzo męski. Tak go sobie oceniała. Ale on był obojętny. Potarł kark i wzrok zmęczony od wódki w kalendarzu amerykańskich linii lotniczych TWA utkwiał. Srebrzysty samolot ozdabiał stronicę na ten miesiąc przeznaczoną. Jak rakieta wzbijał się w górę. Niebo było w kolorze błękitu i swą piękną urodą kusiło do wędrówki w przestworza. Znów do przyrody, lasów, łąk i jezior, zapragnął powrócić. Tym razem kulawy baran mu się przypomniał i posłyszał ten huk donośny, dwukrotny. Ostatni to był dzień urlopu. Fiatem wyjechał ze stodoły. Jacek składał wędziska. Magazynier Czesiek serdecznie żegnał się z Gospodarzem. Ani się obejrzał, jak do zastawionego stołu zasiedli. Przepijając do siebie zaczęli gęsto. Zapraszali go wsiowi na drugi raz. O szczupaku, rekinie tutejszych wód, Gospodarz bajdę powtórzył. Jacek niecierpliwie wyczekiwał na ten jego osobliwy śmiech. Skończyła się flaszka gruzińskiego koniaku i wsiowi swój bimber na stół postavili. Wtedy Magazynier Czesiek posłyszał pierwszy huk. Podbiegł do okna. Kulawy czarny baran łeb pochylił, rogi zakręcone wystawił i kopytami niecierpliwie rył ziemię. A lewy bok nowego Fiata porysowaną i pogiętą blachą jak raną ział. Magazynier Czesiek wyskoczył przez okno. Za nim Gospodarz. Odciągnęli barana, kłonicą go wytłukli. Wpędzili do szopy. Już bez humoru do stołu na powrót zasiedli. Wpędzili do szopy. Już bez humoru do stołu na powrót zasiedli. Magazynier Czesiek milcząc kielich za kielichem wychylał. Poszarzało. Z jezior dochodziło kumkanie żab. Leśna cisza powoli nerwy kołała. I wtedy drugi huk posłyszał. Przez chwilę nie dowierzał własnym uszom. Wybiegł na podwórze. Kulawy baran z szopy wyskoczył i powtórnie do czerwonego Fiata zaszarżował. Tym razem z drugiej strony go wziął.

– Czerwonego nie lubi – wymamrotał Gospodarz.

Cztery tysiące blacharka i lakiernictwo kosztowały. Nieudany to był powrót. I te trzy jeziora, każde w innym kolorze, wcale złego przypomnienia nie łagodziły.

– Głupi cham – powiedział półgłosem Magazynier Czesiek – drzwi szopy na haczyk zapomniał zamknąć.

– Do mnie mówisz, Czesławie? – pochyliła się do niego Olka Zwierz i owionęła go mdlącą wonią perfum.

Przy barze szwargot coraz głośniejszy i piski. Ten gruby zagranicznik z sygnetem jak pieczęć na włochatym paluchu nachalnie z dziewczynami sobie poczynał. Jedną klepał po udach, drugą obmacywał nieco wyżej. Zapatrzył się na te panienki powabne chłopackim wzrokiem Kolos i nie mógł dłużej tego znieść. Woda i tyle niedostępnych kobiecych ciał. Szajbą to mu odpaliło. Zębami zgrzytnął, te swoje bicepsy atlety naprężył i do baru zaczął się wrywać.

– Żeby takie ścierwo dupy nam kosiło!

Olka Zwierz osadziła go jak krnąbrnego żrebaka. Uchwyt w dłoni miała męski, żelazny.

– Nie odstraszaaj klientów, szczeniaku! – zasyczała i odpychając go za siebie zajęła pozycję za barem

– Would do you like something drink? – zapytała tamtych z drugiej strony.

Magazynier Czesiek długo i pieszczotliwie gładził Kolosa po upartej, okrągłej głowie.

– Nie skacz – powtarzał – nic to nie da.

Zaczynała się już lokalowa noc. Ocknął się w sam czas Kichawa, kierownik dancinowej sali. Oczy przetarł, spojrział na zegarek i łeb pod kran podstawił. Zmoczył się wodą obficie, włosy przeczesał i był gotów do służby. Przy okazji klapę wytarł na mokro. Usunął ten rdzawy ślad po pawiu. Popędził młodzieńczym krokiem na salę. Zacznie wydawać dyspozycje kelnerom i w obsłudze cudzoziemców pomagać. Szprecha ten Kichawa biegle w kilku językach. Tych obcych języków zazdrości mu Olka Zwierz, której mimo kursów słuchawkowych angielski ciężko wchodzi do głowy.

– Papuga – powiedziała.

– Poliglota – potwierdził Magazynier Czesiek.

Uspokoił się już Kolos. Pogodził się z losem, co mu kobiet skąpi.

Dostali jeszcze od Olki Zwierz po dawce dżinu. Poszło jałowcowym smrodem.

– Jak człowiek wytrzymać to może – zakrztusił się Magazynier Czesiek.

I przed oczyma stanęły mu te opróżnione flaszki z różnymi etykietami, wszystkie półlitrowe. Tak stały i jakby gęby im wyrosły, a te ich gęby krzywiły się złośliwą uciechą.

Zaprzagnął do domu wrócić. W drzwiach zdejmie buty, wsunie się bezszelestnie i od razu położy się na tapczan. Zdusi tę głupią potrzebę, żeby gadać i gadać. Więc położy się i Hania nic nie będzie wiedziała o dzisiejszym dniu. Najlepiej, jeśli ułoży się w nogach. Hania nie znosi wódczanego fetoru i zbudzić by się mogła od razu. Wstał z trudem. Ten dżin źle mu poszedł. Podłoga kołysała się pod nim jak pokład statku. Sala dancinowa wraz z fontanną tryskającą różnokolorowym pióropuszem wody przybliżyła się i oddalała nagłymi skokami. Cudzoziemcy za barem zamienili się w niekształtną masę i twarz Olki Zwierz też stała się niemożliwa do uchwycenia.

Kolos, wierny pomocnik, ujął go silnie pod pachę i opuścili koktajl – bar. Odprowadzał ich wyrozumiały, pobłażliwy uśmiech Olki Zwierz.

– Te chłopcy – powiedziała i wkrótce o nich zapomniała, zajęta towarzystwem na wysokich stołkach.

Toczyli się służbowym korytarzem. Potrącali ich kelnerzy, trzymający przed sobą tace z potrawami i napojami. Niektórzy z nich poznawali Magazyniera. Pozdrawiali go i patrzyli z zazdrością.

Portier otworzył szeroko drzwi. Też im pozazdrościł.

– Gotowi – powiedział.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi z łoskotem. Oddychać zaczęli łąpczywie. Niewiele pomogło. Noc była duszna i bezgwiezdna. Czarna, szczelna pokrywa cisnęła zewsząd.

Stali na ogromnych schodach przed wrotami nocnego lokalu, królestwa Olki Zwierz i Kichawy, kierownika, które było koroną podziemnych kondygnacji.

– Kolos! – wykrzyknął naraz Magazynier Czesiek. – Uciekaj stąd! Póki czas! – Odepchnąć spróbował pomocnika. – Rozumiesz!!

Kolos nie zrozumiał. Mocnym, czułym ramieniem swego szefa otoczył.

– A gdzie lepszą robotę znajdę – uśmiechnął się chytrze – jak u pana?

Magazynier Czesiek zatoczył się na tych monumentalnych, szerokich schodach, ozdobnych rzeźbionymi balustradami.

– Jak rozumiesz... – powiedział zupełnie trzeźwym głosem – ...będzie za późno.

Droga była niedługa, ale zmęczeni się obaj. Dotarli do parkingu. Kolos oparł się o latarnię. Pochrapywać zaczął leciutko. Zasnął na stojąco.

A Magazynier Czesiek takim ledwie, ledwie, sparaliżowanym piwniczną gorzałą kroczkiem zbliżył się do swojego Fiata i wsparł się o jego maskę. Już tam został. I nawet wrzasku Kolosa nie słyszał, którego obryzgała strumieniem wody polewaczka.

